

NOBELS



Rower bujany, instalacja przestrzenna Agaty Klimowskiej
(Instytut Sztuki UO, praca licencjacka)

W numerze m.in.:

- ❖ Andrzejak-Nowara
- ❖ Bugaj
- ❖ Dembska-Krause
- ❖ Hamada
- ❖ Kaczorowski
- ❖ Kozera
- ❖ Krzczunowicz
- ❖ Nicieja
- ❖ Olkusz
- ❖ Ożóg
- ❖ Patelski
- ❖ Pawelec
- ❖ Piecuch
- ❖ Suwiński
- ❖ Szmajke
- ❖ Wierciński

Spis treści

Kronika uniwersytecka	3
Aniołki dla Ani	11
Nagroda <i>Pro Memoria</i> dla prof. Stanisława S. Nicieji	12
Prof. Stanisław Gajda laureatem nagrody ministra	12
Z Instytutu Historii do PAU	13
Instytut Sztuki na salonach	13
Młodzi biolodzy podbijają świat	14
Opolskie akcenty katowickiego święta	15
Nagrody <i>Quality</i> za rok 2011/2012	15
<i>Pojedynek rozsądku z honorem</i> (rozmowa z prof. Andrzejem Szmajke)	16
<i>Opolscy samborzanie</i> (Stanisław S. Nicieja)	20
<i>Radio jest moją największą pasją</i> (Wiesław Olkusz o słuchowiskach radiowych Kazimierza Kowalskiego)	24
Wiersze Bartosza Suwińskiego	29
<i>Bzdury w naukowym przebraniu</i> (Ewa Pawelec)	30
<i>Zesłani za wiarę</i> (Tomasz Bugaj o Świadcach Jehowy na Syberii)	36
<i>Jak konspiracyjny „Żak” został profesorem</i> (Mariusz Patelski)	41
<i>Ja i studenci</i> (Bartłomiej Kożera)	47
<i>Sofa filozofa: Lustro</i> (Joachim Piecuch)	48
<i>Za szybkie pisanie –24</i> (Adam Wierciński)	49
<i>Konsul w willi wielkiego brata</i> (Andrzej Hamada)	52
<i>Diabeł łańcucki grasował też w Byczynie</i> (Włodzimierz Kaczorowski)	55
<i>Czysta Forma to pułapka?</i> (Małgorzaty Andrzejak-Nowary rozmowa z Jerzym Jarockim)	60
<i>Choć fundament mocny, posypała się fasada</i> (Martyna Friedla o spektaklu <i>Dwanaście stacji</i>)	64
<i>Gra w karty historii</i>	66
<i>Kresowa Atlantyda</i> (Andrzej Krzeczunowicz)	68
<i>Metropolia gnieźnieńska na 440 stronach</i> (Włodzimierz Kaczorowski o książce prof. Marcelego Kosmana)	69
<i>Aula</i> (Bronisław Sieczko)	70
<i>Wrocławskie początki opolskiej uczelni</i> (Urszula Dembska-Krause)	73
<i>Odeszli: Franciszek Dzionek</i> (Jerzy Duda)	81
<i>Sala pełna pytańników</i>	83
<i>Pani profesor i prezydenci</i>	84
<i>Co dla mnie cudem, dla Ciebie jest magią</i> (Monika Ożóg)	85
<i>W 17 minut dookoła biblioteki</i> (Beata Słowińska)	87
<i>De eventibus</i> (Krystyna Modrzejewska o konferencji romanistów na Uniwersytecie Opolskim)	89
<i>Między Wschodem a Zachodem</i> (Monika Ożóg)	90
<i>Kobiety u Zoli</i> (Anna Ledwina o promocji książki dr Anny Kaczmarek)	92
<i>Średniowieczny wóz i przewóz</i> (Marcin Böhm)	93
<i>Bliskie spotkania najwyższego stopnia</i> (Łukasz Twardawa, Roman Szablicki)	94
<i>Germaniści o Śląsku</i> (Gabriela Jelitto-Piechulik, Daniela Pelka)	95
Noty o autorach	97
Nowości wydawnicze	98

Zdjęcie na okładce: Tadeusz Parcej



Fot. Tadeusz Parcej

**Świąt Bożego Narodzenia
wypełnionych radością, ciepłem i życzliwością,
które oby pozostały w nas jak najdłużej,
życzą Władze Uniwersytetu Opolskiego
i Redakcja „Indeksu”**

Indeks. Pismo UO

Wydawca: Uniwersytet Opolski. Adres redakcji: 45-040 Opole, pl. Kopernika 11, Collegium Maius UO, pok. 18a
tel. 77 541-60-17, e-mail: indeks@uni.opole.pl, www.indeks.uni.opole.pl

Redaktor naczelna: Barbara Stankiewicz-Buchowska

Zdjęcia: Jerzy Mokrzycki, Jarosław Mokrzycki, Tadeusz Parcej. Opieka merytoryczna: prof. Stanisław S. Nicieja
Skład komputerowy: Henryk Kobiela, Druk: Quick Druk s.c. Dariusz Mroczkowski i Marek Mroczkowski

Kronika uniwersytecka

■ **17 października.** Prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, wzięła udział w pracach Rady Programowo-Naukowej Partnerstwo Wschodnie.

■ **19 października.** W pierwszym konsultacyjnym spotkaniu rozpoczynającym debatę publiczną nad przyjętym przez Zarząd Woj. Opolskiego projektem *Strategii rozwoju województwa opolskiego* wzięli udział przedstawiciele Uniwersytetu Opolskiego: prorektorzy – dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, prof. dr hab. Janusz Słodczyk i prof. dr hab. Marek Masnyk, a także kanclerz UO Ewa Rurynkiewicz i rzecznik prasowy UO Marcin Miga.

■ **21 października – 4 listopada.** W Studenckim Centrum Kultury można było obejrzeć wystawę prac studentów (cztery projekty dyplomowe) Instytutu Sztuki – w ramach Opolskiego Festiwalu Fotografii. Dyplomanci reprezentujący Instytut Sztuki to: Agata Hajdecka, Monika Jarmołowicz, Marta Macha i Joanna Mużelak. Prace powstały pod opieką promotorów: dr. Grzegorza Gajosa, dr. Magdaleny Hlawacz i dr. Bartosza Posackiego.

■ **22 października.** Prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk wzięła udział w spotkaniu zorganizowanym przez Urząd Marszałkowski *Depopulacja – prezentacja założeń programu Specjalnej Strefy Demograficznej*.

■ **23 października.** Prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, spotkała się z koordynatorami programu Erasmus.

■ Na placu przed Galerią Sztuki Współczesnej w Opolu uroczyste otwarto poplenerową wystawę studentów pierwszego roku Instytutu Sztuki UO (tegoroczny plener odbył się w Lubawce i miał charak-

ter interdyscyplinarnych warsztatów twórczych, które prowadzili prof. dr hab. Aleksander Dymitrowicz, dr Grzegorz Gajos i dr Magdalena Hlawacz).

■ **25 października.** Obradował – po raz pierwszy w tej kadencji – Senat UO.

■ Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja wzięł udział w debacie zorganizowanej przez Redakcję Nowej Trybuny Opolskiej *Czy uczelnie kształcą przyszłych bezrobotnych?* Jej uczestnikami byli także: rektor Politechniki Opolskiej prof. dr hab. Marek Tukien-dorf oraz prezesi znanych opolskich firm i urzędnicy państwowi.

■ **26 października.** 50. Forum Prawa Finansowego, zorganizowane przez Stowarzyszenie Prawa Finansowego „Aureus” przy Wydziale Prawa i Administracji UO, obradowało w auli nowego gmachu wydziału przy ul. Katowickiej. Tematem obrad, w których wzięła także udział prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, było

Opodatkowanie dywidendy otrzymanej przez spółkę osobową. Podczas spotkania podpisano porozumienie między Wydziałem Prawa i Administracji UO a opolskim oddziałem Krajowej Izby Doradców Podatkowych.

■ W auli Państwowej Szkoły Muzycznej w Opolu uroczyste obchodzono Regionalne Święto Edukacji. Podczas uroczystości Uniwersytet Opolski reprezentowała prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, a także kierownik Katedry Kulturoznawstwa i Folklorystyki dr hab. Teresa Smolińska, prof. UO, która otrzymała Nagrodę Marszałka Woj. Opolskiego za szczególne osiągnięcia w dziedzinie upowszechniania i rozwoju edukacji. Stypendium Marszałka Woj. Opolskiego odebrał student drugiego roku historii (studia magisterskie) Łukasz Malkusz.

■ **29 października.** Na Uniwersytecie Opolskim gościła delegacja BSB Ingenieurgesellschaft TGA z Berlina z Manfredem Baronem na



29 X 2012. Na Uniwersytecie Opolskim gościła delegacja BSB Ingenieurgesellschaft TGA z Berlina. Na zdjęciu stoją (od lewej): Klaus Galla, poseł Ryszard Galla, kanclerz UO Ewa Rurynkiewicz, Karolina Fuhrmann (tłumaczka), wicekanclerz Andrzej Kimla. W pierwszym rzędzie (od lewej): Manfred Baron i rektor UO Stanisław S. Nicieja

czele, której towarzyszył m.in. poseł Ryszard Galla.

■ **29 – 31 października.** W Instytucie Historii trwały IX Opolskie Dni Kultury Średniowiecznej, w tym roku poświęcone szlakom handlowym średniowiecznego Śląska. Więcej na str. 93.

■ Gościem rektora prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji była Anna Potocka, dyrektor Galerii Sztuki Współczesnej w Opolu. Rozmowa dotyczyła współpracy z Uniwersytetem Opolskim.

■ **5 listopada.** W przeddzień wyborów prezydenckich w USA, w Studenckim Centrum Kultury UO odbyła się zwieńczona głosowaniem debata pt. *Obama czy Romney – wybory Ameryki*, którą otworzyła prorektor UO ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, a prowadzili dr hab. Ryszard Wolny, prof. UO, i dr Stankomir Nicieja z Instytutu Filologii Angielskiej UO. W programie była prezentacja pt. *Jak się wybiera prezydenta w USA* (dr Stankomir Nicieja), a dr Tomasz Lebiecki tłumaczył, na czym polega amerykański system prezydencki.

■ W Wieluniu rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja spotkał się z czytelnikami swoich książek.

■ **6 listopada.** *Młodzi przeciwko narkotykom* – to tytuł konferencji zorganizowanej na Wydziale Teologicznym UO przez Katedrę Bioetyki i Etyki Społecznej oraz Wyższą Szkołę Teologiczną w Pecs (Węgry).

■ Zakład Studiów Strategicznych i Polityki Społeczno-Ekonomicznej Wydziału Ekonomicznego UO i Urząd Statystyczny w Opolu to organizatorzy otwartego seminarium naukowego pt. *Zintegrowany rozwój aglomeracji opolskiej w świetle wstępnych wyników narodowego spisu powszechnego ludności i mieszkań 2011*, które obradowało na Wydziale Ekonomicznym UO, a w którym uczestniczył prorektor UO ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk.

■ Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja był gościem Programu

III Polskiego Radia – tematem rozmowy były Kresy i poświęcona im twórczość profesora.

■ **7 listopada.** W Międzywydziałowej Bibliotece Nauk Ścisłych firma ABE-IPS sp. z o.o. oraz Biblioteka Główna UO zaprezentowały wystawę zagranicznej literatury naukowej z dziedziny chemii, matematyki, fizyki i biotechnologii (ok. 200 tytułów nowości wydawniczych światowych wydawców publikacji naukowych specjalizujących się w tych dziedzinach, m. in. John Wiley & Sons, Taylor & Francis, Elsevier Science, Springer Verlag). W otwarciu wystawy wzięli udział: prorektor UO ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk, Grzegorz Majerowicz, wiceprezes Zarządu ABE-IPS, Marek Jazikowski, przedstawiciel regionalny firmy oraz pracownicy naukowcy, bibliotekarze i studenci. W otwarciu wystawy towarzyszyła prezentacja nowej platformy książek elektronicznych EBL Ebook Library, umożliwiającej bibliotekom wypożyczanie poszczególnych tytułów książek lub zakup ich na własność.

■ Rektor prof. dr hab. Stanisław

S. Nicieja wziął udział w pierwszym etapie prac komisji konkursowej dotyczących wyboru dyrektora Archiwum Państwowego w Opolu.

■ Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk uczestniczył w spotkaniu środowisk administracji publicznej, nauki i biznesu na temat projektu *Strategii rozwoju województwa opolskiego do 2020 roku*, zorganizowanym przez Zarząd Województwa Opolskiego.

■ **8 listopada.** Gościem rektora prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji była Dorota Michniewicz, naczelnik Wydz. Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Miasta w Opolu, a gościem prorektor ds. nauki i zarządzania dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO – wicemarszałek woj. opolskiego Barbara Kamińska.

■ **10 listopada.** W Mielcu rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja spotkał się z czytelnikami swoich książek, promując najnowszą z nich – *Kresowa Atlantyda*.

■ **11 listopada.** Kolejne spotkanie z czytelnikami, podczas którego rektor prof. dr hab. Stanisław S.



7 XI 2012. Otwarcie wystawy w Międzywydziałowej Bibliotece Nauk Ścisłych. Na zdjęciu (od prawej): prorektor UO prof. Janusz Słodczyk, Marek Jazikowski, przedstawiciel regionalny ABE-IPS, dyrektor Biblioteki Głównej UO Danuta Szewczyk-Kłós i Grzegorz Majerowicz, wiceprezes zarządu ABE-IPS



13 XI 2012. Na Uniwersytecie Opolskim podpisano umowę o współpracy z gminą Dobrzeń Wielki. Na zdjęciu (od lewej): wójt gminy Dobrzeń Wielki Henryk Wróbel, prof. Mirosław Wiatkowski, prof. Czesława Rosik-Dulewska i rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja

Nicieja promował swoją najnowszą książkę, odbyło się w Tarnobrzegu.

■ **12 – 14 listopada.** W Instytucie Filologii Angielskiej obradowała konferencja pt. *Komunikacja w wieku nowych mediów*. Uczestniczyły w niej 52 osoby, w tym ośmiu delegatów z zagranicy (Wielka Brytania, Katalonia, Włochy, Japonia, Etiopia).

■ **13 listopada.** Opracowanie koncepcji zabezpieczeń przeciwpowodziowych dla gminy Dobrzeń Wielki, którą opracują hydrologi z naszej uczelni, to jeden z tematów umowy zawartej między Uniwersytetem Opolskim a gminą Dobrzeń Wielki. Podpisali ją: wójt gminy Dobrzeń Wielki Henryk Wróbel oraz rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja, dr hab. Mirosław Wiatkowski i prof. dr hab. Czesława Rosik-Dulewska (Samodzielna Katedra Ochrony Powierzchni Ziemi).

■ *Zabobony, czary i magia w Kościele starożytnym* to tytuł konferencji, zorganizowanej przez Katedrę Historii Kościoła i Patrologii Wydziału Teologicznego oraz

Instytut Historii UO na Wydziale Teologicznym UO. Więcej na str. 85.

■ **14 listopada.** W Villa Academica UO odbyło się Polsko-Niderlandzkie Forum Dyskusyjne z udziałem przebywającego w Opolu ambasadora Królestwa Holandii dr. Paula Marcela Kurpershoeka.

Spotkanie, w którym wziął udział prorektor prof. dr hab. Janusz Słodczyk, poświęcone było prezentacji regionu opolskiego, opolskich uczelni i przedsiębiorstw, a także propozycji podjęcia współpracy.

■ Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja wziął udział w drugim etapie prac komisji konkursowej



W przerwie obrad Polsko-Niderlandzkiego Forum Gospodarczego. Na zdjęciu (od lewej): konsul honorowy Królestwa Holandii w Polsce Wojciech Zipser, prorektor prof. Janusz Słodczyk, ambasador Paul Marcel Kurpershoek, poseł Adam Kępiński

dotyczących wyboru dyrektora Archiwum Państwowego w Opolu.

■ Ks. dr hab. Joachim Piecuch, prof. UO i dr Grzegorz Francuz, filozofowie z naszej uczelni, to prelegenci kolejnego, otwartego seminarium opolskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Filozoficznego, które odbyło się w Muzeum Śląska Opolskiego, a dotyczyło pojęcia przyjemności. Więcej na str. 83.

■ W Muzeum Diecezjalnym w Opolu odbyło się spotkanie promujące najnowszą książkę prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji *Kresowa Atlantyda* (Wydawnictwo MS w Opolu). Więcej na str. 66.

■ **15 listopada.** W Sali Plafonowej Collegium Maius UO podpisano umowę o współpracy między Uniwersytetem Opolskim a Urzędem Miasta Opola, dotyczącą m.in. podejmowania wspólnych działań (m.in. analizy eksperckie, pozyskiwanie inwestorów dla miasta, a tym samym miejsc pracy dla absolwentów UO, w tym absolwentów Wydziału Filologicznego). Miasto chce także nawiązywać współpracę z najzdolniejszymi studentami uni-



14 XI 2012. W Muzeum Diecezjalnym w Opolu odbyło się spotkanie promujące najnowszą książkę prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji *Kresowa Atlantyda* (fot. Jerzy Mokrzycki)

wersytetu i angażować ich w liczne projekty, często w zespołach interdyscyplinarnych. W imieniu uniwersytetu umowę podpisał rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja, miasto reprezentował prezydent Ryszard Zembaczyński, który zadeklarował też wolę współfinansowania pomnika Jonasza Kofty na wzgórzu uniwersyteckim. Podczas

spotkania, w którym uczestniczyła także prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, parafowano umowę partnerską pomiędzy światowym potentatem usług outsourcingowych – firmą Capgemini, reprezentowaną przez dyrektora Marcina Nowaka, a Uniwersytetem Opolskim. Do zawarcia tej



15 XI 2012. W Sali Plafonowej Collegium Maius UO podpisano dwie umowy: o współpracy z Urzędem Miasta Opola oraz z firmą Capgemini

umowy przyczynili się pracownicy Wydziału Matematyki, Fizyki i Informatyki oraz Wydziału Filologicznego, przy współpracy z Łukaszem Boreckim z Akademickiego Centrum Karier. Umowa formalizuje trwającą już współpracę pomiędzy partnerami (studenci i absolwenci filologii germańskiej oraz informatyki będą mogli odbywać w firmie Capgemini praktyki).

■ W Akademickim Inkubatorze Przedsiębiorczości UO gościli przedstawiciele Komisji Europejskiej: Patrick Amblard, dyrektor Wydziału ds. Projektów Polskich w Dyrekcji Generalnej KE ds. Polityki Regionalnej oraz Magali Lonoel z Wydziału ds. Projektów Polskich w Dyrekcji Generalnej KE ds. Polityki Regionalnej. Towarzyszyli im Jarosław Hawrysz z Dyrekcji Generalnej ds. Zatrudnienia, Spraw Społecznych i Równych Szans oraz Józef Sebesta, marszałek województwa opolskiego, Karina Bedrunka, dyrektor Departamentu Koordynacji Programów Operacyjnych i Małgorzata Stelnicka, zastępca dyrektora Departamentu Koordynacji Programów Opera-

cyjnych Urzędu Marszałkowskiego. Delegację podjął prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk. Ta wizyta nie była przypadkowa: Akademicki Inkubator Przedsiębiorczości został uznany za przykład prawidłowo i skutecznie zrealizowanych projektów w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Opolskiego na lata 2007 – 2013.

■ Prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masynek wziął udział w posiedzeniu komisji Nagród Quality.

■ W Światowym Dniu Filozofii na ulicy Krakowskiej w Opolu został odczytany *Manifest filozoficzny*, w Auli Błękitnej Collegium Maius UO można było wysłuchać wykładu dra Krzysztofa Skowrońskiego pt. *Gombrowicz inaczej*, a w Collegium Civitas UO wziął udział w grze miejskiej *Tożsamość Smitha*.

■ **16 listopada.** W posiedzeniu Stowarzyszenia Ludzi Aktywnych „Horyzonty”, w Sali Senatu Collegium Maius UO, wzięła także udział prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesława Piąt-

kowska-Stepaniak, prof. UO.

■ **16–17 listopada.** Uniwersytet Opolski był gospodarzem kolejnej Konferencji Rektorów Uniwersytetów Śląskich, podczas której naszą uczelnię reprezentowali: rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja oraz prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk. W konferencji wzięli udział rektorzy czeskich Uniwersytetów Śląskiego w Opawie i Ostrawie oraz rektorki Uniwersytetów Wrocławskiego, Śląskiego i Ekonomicznego w Katowicach. Gościem konferencji była także dr inż. Katarzyna Wiedera – dyrektor Instytutu Śląskiego w Opolu. Tematem posiedzenia było podsumowanie konferencji *Czesi i Polacy w dowcipie i anegdocie politycznej* oraz omówienie kwestii dotyczących projektu encyklopedii Śląska.

■ **19–24 listopada.** Kilkudziesięcioosobowa grupa studentów i nauczycieli z Ukrainy, Białorusi, Litwy i Rosji oraz Polski przyjechała do Opola na finał Międzynarodowej Olimpiady Ekonomicznej „Ubezpieczenia”, zorganizowanej przez Państwowy Uniwersytet



Uniwersytet Opolski był gospodarzem kolejnej Konferencji Rektorów Uniwersytetów Śląskich

Podatkowej Służby Ukrainy z Irpinia przy współpracy z Wydziałem Ekonomicznym Uniwersytetu Opolskiego. W trakcie pobytu w Opolu goście zwiedzili miasto, zapoznali się też z historią i ofertą dydaktyczną Uniwersytetu Opolskiego.

■ **19 listopada.** Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk wziął udział w seminarium dotyczącym programu Horyzont 2020 (następcy ramowych programów badawczych Unii Europejskiej), w którym udział wzięli m.in.: prof. dr Maria da Graca Carvalho – sprawozdawczyni programu Horyzont 2020 oraz prof. dr hab. Jerzy Buzek – sprawozdawca obecnie realizowanego, Siódmego Programu Ramowego UE.

■ Posłowie: Beata Kempa i Andrzej Dera byli gośćmi Studenckiego Koła Politologów – w trakcie spotkania w Collegium Civitas UO dyskutowali nad sytuacją opozycji na polskiej scenie politycznej.

■ **20 listopada.** Gościem Uniwersytetu Opolskiego był prezydent Landtagu Nadrenii-Palatynatu Joachim Metres oraz przedstawicie-

le administracji Landtagu. Podczas spotkania, którego gospodarzem była prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, omawiano warunki współpracy, a także możliwości kontynuacji kierunku studiów Europa Masters.

■ Prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk wziął udział w posiedzeniu Kolegium Prorektorów ds. Kształcenia oraz ds. Studenckich Uczelni Wrocławia i Opola, które odbyło się w Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu.

■ Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja spotkał się – w Gliwicach – z czytelnikami swoich książek.

■ **21 listopada.** Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, Oddział w Opolu i Wydział Ekonomiczny UO to organizatorzy seminarium pt. *Procesy kształtowania przestrzeni europejskiej*, które prowadził prof. dr hab. Zbigniew Ziolo z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie.

■ Na Wydziale Ekonomicznym UO prorektor ds. nauki i finan-

sów prof. dr hab. Janusz Słodczyk otworzył finał Międzynarodowej Olimpiady Ekonomicznej „Ubezpieczenia” – jurorami byli pracownicy dydaktyczni.

■ Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja otworzył i wziął udział w ogólnopolskiej konferencji zorganizowanej wspólnie przez Instytut Historii UO oraz Liceum Ogólnokształcące nr 3 w Opolu, a zatytułowanej *Polacy-Niemcy-Ukraińcy. O przeszłości dla przyszłości w miejscach pamięci*.

■ **22 listopada.** W Auli Błękitnej Collegium Maius UO prof. dr hab. Jan Malicki, dyrektor Biblioteki Śląskiej w Katowicach, historyk literatury, znawca literatury staropolskiej oraz śląskiej wygłosił – w cyklu Złotej Serii Wykładów Otwartych – wykład pt. *Znaczenie zbiorów regionalnych dla kultury narodowej i europejskiej*. Gościowi towarzyszyli: rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja i dziekan Wydz. Filologicznego UO prof. dr hab. Andrzej Ciuk. Więcej na str. 87.

■ Wołodmyr Popowycz – wicegubernator Obwodu Ivanofrankiv-



20 XI 2012. Na Uniwersytecie Opolskim gościła delegacja z Landtagu Nadrenii-Palatynatu



22 XI 2012. Prof. Jan Malicki, dyrektor Biblioteki Śląskiej w Katowicach, wygłosił pierwszy w tym roku akademickim wykład (w cyklu Złotej Serii Wykładów Otwartych). Fot. Jerzy Mokrzycki

skiego oraz Oleg Tkacz, pracownik Przykarpackiego Narodowego Uniwersytetu im. W. Stefanyka w Ivanofrankivsku rozmawiali z prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesławą Piątkowską-Stepaniak, prof. UO i rektorem prof. dr hab. Stanisławem S. Nicieją o nawiązaniu współpracy z Uniwersytetem Opolskim. Prorektor ds. promocji i zarządzania spotkała się także z młodzieżą ukraińską (oraz jej opiekunami), finalistami polsko-ukraińskiego etapu Międzynarodowej Olimpiady „Ubezpieczenia”, organizowanej przez Państwowy Uniwersytet Podatkowej Służby Ukrainy w Irpinii.

■ Podczas otwartego zebrania Opolskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Socjologicznego prof. dr hab. Andrzej Sakson, socjolog, pracownik Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (zainteresowania badawcze: mniejszości narodowe i etniczne, przemiany społeczne na ziemiach zachodnich i północnych Polski; migracja i uchodźcy w Polsce i Europie; współczesne stosunki niemiecko-polskie), wygłosił wykład pt. *Stereotyp Polski i Polaków we współczesnych Niemczech*.

■ **23 listopada.** W Urzędzie Marszałkowskim Woj. Opolskiego podpisano umowę o realizacji

projektu pn. *Stypendia doktoranckie – inwestycja w kadre naukowe województwa opolskiego*. Umowę w imieniu naszej uczelni podpisał rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieją, kierownikiem projektu jest prof. dr hab. Krystyna Czaja.

■ Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk był gościem Wydziału Ekonomicznego Uniwersytetu Technicznego w Ostrawie. Celem wizyty było omówienie możliwości opracowania międzynarodowych projektów badawczych w ramach konsorcjum „Progress 3”, w którym uczestniczy Uniwersytet Opolski wraz z innymi uczelniami Polski, Czech i Słowacji. Omawiano także sprawę nawiązania współpracy z Wydziałem Ekonomicznym Uniwersytetu Ostrawskiego.

■ Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieją był gościem uroczystej gali zorganizowanej z okazji 60-lecia istnienia opolskiej rozgłośni Polskiego Radia.

■ Sala gimnastyczna Studium Wychowania Fizycznego oraz Studentckie Centrum Kultury UO to miejsca, w których zorganizowano *Gałę Badmintona* – jej otwarcia dokonała prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, a poprowadził mgr Zbigniew Zagórow-

ski, kierownik Studium Wychowania Fizycznego i Sportu. Podczas gali wyróżnienie otrzymał zawodnik Przemysław Urban, rozegrano też pokazowe gry w badmintona (single i deble), publiczność miała też szansę konsultacji z zawodnikami techniki i taktyki gry.

■ **24 listopada.** Prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, reprezentowała Uniwersytet Opolski podczas uroczystego koncertu charytatywnego „Serce za serce”, zorganizowanego przez Fundację Rozwoju Kardiologii im. prof. Z. Religi w Zabrzcu.

■ **26 listopada.** Z wizytą w Opolu przebywał premier RP Donald Tusk – w spotkaniu z szefem rządu, w opolskiej filharmonii, wzięli także udział rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieją oraz prorektorzy: dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO i prof. dr hab. Marek Masnyk.

■ Z przedstawicielami Opolskiego Centrum Rozwoju Gospodarki spotkał się prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk. Spotkanie było okazją do dyskusji na temat wypracowania modelu współpracy Uniwersytetu Opolskiego z OCRG (planowane jest podpisanie umowy o współpracy). Podczas spotkania omówione zostały perspektywy realizacji wspólnych projektów unijnych.

■ **26–27 listopada.** Podsumowanie działalności naukowo-edukacyjnej Stowarzyszenia „Dinopark” w latach 2003 – 2012 było przedmiotem obrad konferencji naukowej zorganizowanej przez stowarzyszenie oraz Katedrę Biosystematyki UO w sali konferencyjnej „Ostrówek” Urzędu Marszałkowskiego Woj. Opolskiego. W spotkaniu wzięł udział prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk.

■ **27 listopada.** W Instytucie Historii UO otwarta została wystawa *Każń profesorów lwowskich Wzgórza Wuleckie 1941*, zorganizowana przez Instytut Pamięci Narodowej we współpracy z II LO w Kędzierzynie-Koźlu.



23 XI 2012. W Urzędzie Marszałkowskim Woj. Opolskiego podpisano umowę o realizacji projektu pn. *Stypendia doktorskie – inwestycja w kadre naukową województwa opolskiego*, którego kierownikiem jest prof. Krystyna Czaja

■ Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja oraz prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk uczestniczyli w spotkaniu z członkami Państwowej Komisji Akredytacyjnej, wizytującej Wydział Teologiczny UO w dniach 27 – 29 listopada br.

■ Prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, wzięła udział w pierwszym w tej kadencji posiedzeniu Senackiej Komisji ds. Organizacji i Rozwoju UO oraz Senackiej Komisji ds. Kadry Naukowej i Zatrudnienia.

■ Prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk wzięł udział w spotkaniu z opolską kurator oświaty Haliną Bilik oraz dyrektorem Departamentu Edukacji Urzędu Marszałkowskiego Woj. Opolskiego Waldemarem Zadką.

■ **27–28 listopada.** *Opozycja polityczna w krajach Europy Środkowo-Wschodniej w latach 1945 – 1989.* To tytuł międzynarodowej konferencji zorganizowanej przez Instytut Historii UO, Instytut Politologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie oraz wrocławski oddział IPN, którą otworzyli: rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja, prorektor Uniwer-

sytetu Pedagogicznego w Krakowie dr hab. Kazimierz Karolczak, prof. UP i dyrektor wrocławskiego oddziału IPN prof. dr hab. Włodzimierz Suleja. W obradach wzięło udział 23 naukowców z ośmiu państw europejskich.

■ **28 listopada.** Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk podpisał umowę o współpracy Uniwersytetu Opolskiego z Opolskim Ośrodkiem Doradztwa Rolniczego w Łosiu – w zakresie Odnawialnych Źródeł Energii oraz działań mających na celu rozwój obszarów wiejskich i rolnictwa. Jednym z głównych punktów współpracy będzie współdziałanie w wydawaniu publikacji oraz organizacji szkoleń, seminariów i konferencji, a także współdziałanie na rzecz zachowania dziedzictwa kulturowego, przyrodniczego i ekologicznego wsi, współpraca dotycząca kształcenia studentów Uniwersytetu Opolskiego (zajęcia dydaktyczne, praktyki i staże studenckie oraz wykonywanie prac dyplomowych związanych tematycznie z potrzebami OODR). Podczas spotkania prorektor prof. dr hab. Janusz Słodczyk odebrał przyznaną Uniwersytetowi Opolskiemu statuetkę „OPOLSKA OZE”.

■ **29 listopada.** Na Zamku Kró-

lewskim w Warszawie rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja odebrał Nagrodę *Pro Memoria* przyznaną corocznie za najlepszą pracę historyczną przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Więcej na str. 12.

■ Obradował Senat UO.

■ **30 listopada – 1 grudnia.** Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu był miejscem pierwszego w tej kadencji posiedzenia Uniwersyteckiej Komisji Finansowej, z udziałem podsekretarza stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego prof. dr hab. Marka Ratajczaka, odpowiedzialnego za finanse ministerstwa oraz prof. dr hab. Jacka Gulińskiego. Tematem posiedzenia, w którym uczestniczył prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk, były finanse uczelni wyższych w roku 2013 oraz finansowanie badań i innowacji w perspektywie finansowej 2014–2020.

■ **1 grudnia.** Kapituła Fundacji „Zacny Uczynek” przyznała tegoroczne stypendia dla studentów, w tym – studentki Uniwersytetu Opolskiego Anny Wyrwas (II rok stosunków międzynarodowych, studia magisterskie). Uroczystość odbyła się w Warszawie, a uczestniczyła w niej prorektor ds. promo-

cji i zarządzania dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO.

■ **1–2 grudnia.** *25-lecie polskiej misji konsularnej we Lwowie 1987–2012.* To tytuł konferencji, która odbyła się we Lwowie, z udziałem konsula generalnego RP we Lwowie Jarosława Drozda i ambasadora Ukrainy w Warszawie Markijana Malskiego. Moderatorem dyskusji dotyczącej znaczenia Lwowa i Konsulatu Generalnego RP we Lwowie w relacjach polsko-ukraińskich był rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja.

■ **4 grudnia.** Jubileusz 45-lecia pracy dydaktycznej dr hab. Barbary Kubis, prof. UO świętowano w Instytucie Historii, wspólnie z prezesem Polskiego Towarzystwa Historycznego prof. dr hab. Janem Szymczakiem.

■ **4–7 grudnia.** Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz

Słodczyk, dziekan Wydziału Ekonomicznego prof. dr hab. Stanisława Sokołowska oraz prodziekan ds. nauki i współpracy z zagranicą dr hab. Sabina Kauf, prof. UO, przebywali z wizytą na Wydziale Społeczno-Ekonomicznym Uniwersytetu w Poczdamie. Celem wizyty było podpisanie trzyletniej umowy o współpracę na lata 2013–2015, a także ramowego programu współpracy na rok 2013. Wydział Ekonomiczny UO współpracuje ze wspomnianym wydziałem partnerskim już od prawie 20 lat, co polega m.in. na wspólnych realizacjach projektów naukowo-badawczych, udziale studentów i pracowników obu uczelni w konferencjach naukowych i seminariach naukowo-dydaktycznych.

■ **6 grudnia.** W Sali Plafonowej Collegium Maius UO odbyła się uroczystość wręczenia Nagród

Quality pracownikom Uniwersytetu Opolskiego, przyznawanych za działalność na rzecz podnoszenia jakości kształcenia w roku akademickim 2011/2012. W uroczystości uczestniczył prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk. Więcej na str. 15.

■ **12 grudnia.** Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk spotkał się z przedstawicielami firmy PPU INKOM S.C. Katowice. Rozmowa dotyczyła możliwości nawiązania współpracy związanej z rozwojem systemu transportowego Opole+. W spotkaniu uczestniczył także dziekan Wydziału Przyrodniczo-Technicznego dr hab. Stanisław Koziarski, prof. UO.

Zebrała: Barbara Stankiewicz
Fot. Jarosław Mokrzycki

Aniołki dla Ani

W dniach 5 i 6 grudnia br. na Wydziale Historyczno-Pedagogicznym UO odbył się VIII Kiermasz Świąteczny zorganizowany przez studentów II roku pedagogiki. Opiekunem kiermaszu była **dr Ewelina Konieczna**. Pod jej okiem od początku bieżącego roku akademickiego wszyscy studenci uczęszczający na zajęcia z terapii manualnej z wielkim zaangażowaniem przygotowywali wyroby na kiermasz. Wśród nich można było znaleźć wykonane ręcznie bombki choinkowe, aniołki z masy solnej, stroiki i drzewka świąteczne, biżuterię oraz wiele innych drobiazków. Na stoisku nie zabrakło również domowych wypieków. Warto też wspomnieć o loterii fantowej (nagrody ufundowali wspierający akcję sponsorzy). Zgodnie z tradycją zebrane pieniądze studenci przekazali na cel charytatywny. W tym roku trafiły one do sześciolatniej **Ani Sasin** z Opola, podopiecznej Fundacji Pomocy Osobom Niepełno-

sprawnym „Słoneczko”, która wymaga kosztownej rehabilitacji.

Organizatorzy Kiermaszu Świątecznego pragną serdecznie podziękować wszystkim, którzy w sposób

pośredni lub bezpośredni zechcieli wesprzeć naszą akcję. Bez Was nie dalibyśmy rady.

Studenci II roku pedagogiki UO



Fot. Jerzy Mokrzycki

Nagroda *Pro Memoria* dla prof. Stanisława S. Nicieji

29 listopada br. w Zamku Królewskim w Warszawie rektor Uniwersytetu Opolskiego **prof. Stanisław Sławomir Nicieja** odebrał Nagrodę *Pro Memoria* przyznawaną corocznie za najlepszą pracę historyczną przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Tą prestiżową nagrodą rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja został wyróżniony za długoletnie dokumentowanie polskiej przeszłości na Kresach, a zwłaszcza za dwie ostatnie książki pt. *Lwów. Ogród snu i pamięci* oraz *Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych*. Jury pod przewodnictwem profesorów **Tomasza Szaroty** (Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk) i **Andrzeja Kunerta** (sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa) wyróżniło pracę rektora za *wyjątkowe walory dokumentacyjne, barwę i literackość języka oraz wysoki kunszt edytorski opolskiego*



Prof. Andrzej Kunert wręcza prof. Stanisławowi S. Nicieji Nagrodę *Pro Memoria*

Wydawnictwa MS Bogusława Szybkowskiego. Nagrodę, w obecności m.in. marszałka Senatu **Bogdana Borusewicza** i **Jana Lityńskiego** z Kancelarii Prezydenta RP wręczył sekretarz Rady **prof. Andrzej**

Kunert. Wydawca książek – **Bogusław Szybkowski** otrzymał wysoko cenioną w środowiskach księgarskich specjalną plaketkę.

(bas)

Prof. Stanisław Gajda laureatem nagrody ministra

Minister nauki i szkolnictwa wyższego Barbara Kudrycka przyznała nagrody pracownikom naukowo-technicznym za całokształt dorobku, za działalność naukową, dydaktyczną i organizacyjną w 2011 r. Wśród laureatów tych nagród jest **prof. dr hab. Stanisław Gajda** z Instytutu Filologii Polskiej UO.

Prof. dr hab. Stanisław Gajda, absolwent Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, poprzedniczki

Uniwersytetu Opolskiego, zawodo- z opolską uczelnią związany jest od 1969 r. Wieloletni dyrektor Instytutu Filologii Polskiej oraz kierownik Katedry Języka Polskiego. Aktywnie uczestniczy w pracach wielu organizacji naukowych: Międzynarodowego Komitetu Sławistów, Komitetu Językoznawstwa Polskiej Akademii Nauk (przewodniczący Komitetu w latach 1999 – 2007, przewodniczący Komisji Sławistycznej od 1990 r.), Komite-

tu Słowianoznawstwa PAN, Rady Języka Polskiego, Rady Naukowej Instytutu Języka Polskiego PAN, Rady Naukowej Instytutu Badań Literackich PAN, Komitetu Badań Naukowych (1997 – 2004), Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów Naukowych (od 1999 r., w której od 2007 r. przewodniczy Sekcji Nauk Humanistycznych), Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego, Polskiego Towarzystwa Językoznawczego, Opolskiego To-

warzystwa Przyjaciół Nauk. Członek korespondent Polskiej Akademii Nauk od 2010 r.

Zainteresowania badawcze prof. dra hab. Stanisława Gajdy skupiające się na języku polskim oraz językach słowiańskich, dotyczą teorii i historii języka, onomastyki, socjolingwistyki, teorii tekstu, stylistyki, leksykologii i kultury języka. Prace nad tymi zagadnieniami znalazły wyraz w ponad 300 publikacjach (m.in. *Podstawy badań nad językiem naukowym*, *Wprowadzenie do teorii terminu*, *Przewodnik po stylistyce polskiej*), które stanowią niepodważalny wkład w rozwój językoznawstwa polskiego i sławistycznego. Światowe uznanie i pozycję w sławistyce

przyniosły mu dokonania zawarte w seriach wydawniczych *Najnowsze Dzieje Języków Słowiańskich* (t. 1 – 14) oraz *Komparacja Systemów i Funkcjonowania Współczesnych Języków Słowiańskich* (t. 1 – 4). Obie serie, będące efektem wielkich międzynarodowych programów badawczych, obecne są w bibliotekach sławistycznych całego świata. Był organizatorem V Kongresu Polonistyki Zagranicznej, który w lipcu 2012 r. odbył się w Opolu.

Jest członkiem redakcji czasopism naukowych krajowych i zagranicznych: „Stylistyka” (założyciel i redaktor naczelny od 1992 r.), „Stil” (Belgrad), „Slavia” (Praga), „SlavTerm” (Moskwa), „Kwar-

talnik Opolski”, „Studies in Polish Linguistics” (Kraków), „Nowa Polszczyzna” (Kraków), „Studia Slavica” (Opole – Ostrawa), „Studia Pragmalingwistyczne” (Warszawa), „Kwartalnik Polonistyczny” (Kielce).

W uznaniu osiągnięć naukowych i organizacyjnych oraz za działalność dydaktyczną został uhonorowany tytułami *doktora honoris causa* Uniwersytetu Świętych Cyryla i Metodego w Skopje i Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Od 2002 r. jest Honorowym Członkiem Czeskiego Towarzystwa Językoznawczego.

(bas)

Z Instytutu Historii do Polskiej Akademii Umiejętności

Dr Monika Ożóg, adiunkt w Zakładzie Archeologii Instytutu Historii UO, została wybrana na członka Wydziału Filologicznego Polskiej Akademii Umiejętności.

Tytuł doktora nauk humanistycznych w zakresie historii sta-

rożytniej Monika Ożóg uzyskała na Uniwersytecie Gdańskim. Jest także historykiem sztuki (studia magisterskie na KUL-u), autorką monografii *Kościół starożytny wobec świątyń oraz posągów bóstw*, WAM Kraków 2009, organizator-

ką konferencji na temat magii i zabobonów w Kościele starożytnym, która odbyła się 13 listopada br. na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Opolskiego (więcej na str. 85).

Obecnie przygotowuje się do obrony pracy habilitacyjnej. (b)

Instytut Sztuki na salonach

Na salonach – bo nie dość, że pracownicy (i absolwenci) Instytutu Sztuki UO po raz kolejny zdobyli nagrody w prestiżowych konkursach, m.in. na tegorocznym Salonie Jesiennym, to zadomowili się już całkiem niezle w świeżo wyremontowanym i pięknie wykończonym budynku przy ul. Wrocławskiej (jeszcze piękniejszym, jeśli się ma w pamięci widok dotychczasowej siedziby instytutu przy ul. Solskiego, wystarczy spojrzeć na zdjęcia na str. 104).

I tak Grand Prix tegorocznego Salonu Jesiennego zdobył **dr Bartosz Posacki** (Instytut Sztuki UO) za pracę pt: *Arka (za interesujący dialog pomiędzy źródłowymi odruchami a nowymi językami, wzmocniony oryginalnym wykorzystaniem archetypów kulturowych)*. Nagrodę Prezydenta Miasta Opola zdobył natomiast absolwent Instytutu Sztuki **Józef Chyży** – *za przekonujący ślad prawdy zapisu, artykulację szlachetnie czystej naiwności*.

Prestiżowa organizacja IPA (International Photography Awards 2012) w tegorocznym konkursie fotografii profesjonalnej odbywającym się w Los Angeles wyróżniła (już po raz drugi) **dra Grzegorza Gajosa** za cykl: *Tokyo Metro* w kategorii *Fine Art – Deeper Perspective*.

Dr Magdalena Hlawacz z kolei zdobyła wyróżnienie na 4. Grand Prix Młodej Grafiki Polskiej w Krakowie za prace z cyklu *Make up: Make up 02*, 2012; *Make up 03*,



Laureaci nagród tegorocznego Salonu Jesiennego (od lewej): Bartosz Posacki, Józef Chyży, Jerzy Beski i Bolesław Polnar. Fot. Tadeusz Parcej

2012. Razem – dr Magdalena Hlawacz, dr Grzegorz Gajos i dr hab. **Aleksandra Janik** (do 2010 r. pracownik Instytutu Sztuki UO) zaprezentowali, w piątej edycji międzynarodowej wystawy sztuki współczesnej ARTISTERIUM w Tbilisi (Gruzja), wspólny pro-

jekt pt. *Wunderkammer. Protest... przeciw kierowaniu się wyłącznie rozsądkiem*. ARTISTERIUM to międzynarodowe wydarzenie artystyczne, na które składają się: wystawa główna oraz wydarzenia towarzyszące, takie jak projekty kuratorskie, projekty w przestrze-

ni miejskiej, warsztaty, wykłady. Co roku w ARTISTERIUM bierze udział kilkudziesięciu artystów z różnych stron świata.

W Międzynarodowym Konkursie na Rysunek im. Michała Elwiro Andriolliego (wernisaż odbył się 16 listopada br. w Nałęczowie) nagrodę prezesa lubelskiego oddziału Polskiego Związku Artystów Plastyków otrzymał **dr hab. Marian Molenda, prof. UO** (w tegorocznym konkursie udział wzięło 130 artystów z Niemiec, Polski, Belgii, Czech, Finlandii, Indonezji, Rumunii, Szwecji, Ukrainy, Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii). W październiku i listopadzie br. prace Mariana Molendy (malarstwo i rzeźba) prezentowano także na wystawie w Muzeum Miejskim w Krnovie (Czechy).

Jury ogólnopolskiego konkursu *XXXI KONFRONTACJE 2012* w Lesznie wyróżniło natomiast pracę **dr hab. Moniki Kamińskiej, prof. UO** (Pracownia Grafiki Warsztatowej Instytutu Sztuki UO).

(b)

Młodzi biolodzy podbijają świat

Wspomaganie rozwoju bioce-nozy murawy kserotermicznej Festuco-Brometea w ramach rekultywacji obszaru poeksploatacyjnego Górażdże Cement SA Heidelberg Cement Group – to tytuł projektu Koła Naukowego Biologów UO, nagrodzonego w konkursie Quarry Life Award.

Nasi studenci z III roku biologii: **Paweł Kandziora** – koordynator, **Anna Knurowska**, **Szymon Król**, **Weronika Lepich**, **Magdalena Piwińska**, **Ewa Poślińska** i **Adrian Stencel** zdobyli drugie miejsce w konkursie ogólnopolskim, a szóste w światowym. Głównym celem nagrodzonego projektu jest restytucja murawy kserotermicznej na

wybranym fragmencie terenu spągowej części wyrobiska Górażdże Cement w Górażdżach. Projekt nastawiony jest szczególnie na odtworzenie cennych walorów roślinności kserotermicznej i związanej z nią entomofauny oraz innych, wybranych grup bezkręgowców.

Do finałowej piątki najlepszych prac w konkursie krajowym zakwalifikowano także drugi projekt z trzech zgłoszonych do konkursu przez członków Koła Naukowego Biologów UO: *Awifauna łęgowa poeksploatacyjnego obszaru kopalni Malerzowice* autorstwa zespołu: Ewa Poślińska – koordynatorka, Paweł Kandziora, Anna Knurowska, Szymon Król, Magda-

lena Piwińska). Autorką trzeciego (*Ochrona Cephalanthera damasodium na terenie Kopalni Wapienia „Górażdże” poprzez monitorowanie oraz utrzymanie optymalnych warunków środowiska dla ich rozwoju*) jest studentka II roku biologii **Katarzyna Łuczak**.

Quarry Life Award jest konkursem naukowo-dydaktycznym organizowanym przez firmę Heidelberg Cement i jej spółki zależne na całym świecie. Celem konkursu jest promowanie bioróżnorodności zarówno w trakcie, jak i po zakończeniu prac wydobywczych na terenach poszczególnych kopalni.

(b)

Opolskie akcenty katowickiego święta

Wieczorem 19 października br. przed budynkiem rozgłośni Polskiego Radia Katowice, świętującej właśnie jubileusz 85-lecia nadawania i 75-lecia przeniesienia do budynku przy ul. S. Ligonia, uroczystie odsłonięto pomnik patrona ulicy – Stanisława Ligonia, autorstwa dr. hab. Mariana Molendy, prof. UO z Instytutu Sztuki Uniwersytetu Opolskiego.

Pomnik to mosiężna ławka, na której przysiadł sobie Stanisław Ligoń, urodzony w 1879 r. w Królewskiej Hucie (dzisiejszy Chorzów) pisarz, malarz, ilustrator, działacz kulturalny, reżyser i aktor. W radiu debiutował pod koniec 1927 roku. W styczniu 1934 roku został dyrektorem katowickiej rozgłośni. Po wojnie zamieszkał w Jerozolimie. Zmarł w Katowicach w 1954 roku. W jego pogrzebie wzięło udział około 10 tys. osób.

Po odsłonięciu pomnika, w studiu koncertowym Polskiego Radia Katowice, odbyła się uroczystość wręczenia nagród im. Stanisława Ligonia. Tegorocznymi laureatami „Karlików” zostali: **prof. dr hab. Jan Malicki** – dyrektor Biblioteki Śląskiej, **Tadeusz Strugała** – dyrygent, **Karol Cebula** – przedsiębiorca i społecznik ze Strzelec Opolskich, Honorowy Senator Uniwersytetu Opolskiego oraz **red. Tadeusz Chmiel** – dziennikarz Radia Katowice.

Nagrody im. Stanisława Ligonia wręczane są przez Radio Katowice od 1983 r. Kapituła wyróżnia nimi osoby zasłużone dla regionu śląskiego w takich dziedzinach jak kultura, twórczość radiowa, działalność społeczna i polityczna. Laureatami nagrody byli m.in. Jerzy Duda-Gracz, prof. Zbigniew Religa oraz Zespół Pieśni i Tańca Śląsk.

(b)



Prof. Marian Molenda i jego mosiężny Stanisław Ligoń

Nagrody *Quality* za rok 2011/2012

Rozstrzygnięto kolejną edycję Nagród *Quality*, przyznawanych za działalność na rzecz podnoszenia jakości kształcenia w Uniwersytecie Opolskim. Nagrody za rok akademicki 2011/2012 otrzymali: **dr inż. Bożena Frąckowiak-Wojtasek** (Wydz. Chemii), **dr Marcin Krzesaj** (Wydz. Ekonomiczny), **dr Dorota Świtła-Trybek** (Instytut Filologii Polskiej),

dr Anna Kaczmarek (Katedra Kultury i Języka Francuskiego), **dr Magdalena Pizarska-Przy siężna** (Instytut Historii), **dr hab. Robert Geisler, prof. UO** (Instytut Socjologii), **dr Edward Nycz** (Instytut Nauk Pedagogicznych), **dr Agnieszka Bartecka** (Instytut Fizyki), **dr Małgorzata Rajfur** (Katedra Biotechnologii i Biologii Molekularnej), **dr inż. Apolo-**

nia Klepacz (Katedra Inżynierii Procesowej), **dr hab. Zbigniew Kwiatkowski, prof. UO** (Wydział Prawa i Administracji), **ks. dr hab. Norbert Widok, prof. UO** (Wydz. Teologiczny), **mgr Małgorzata Nicieja** (Studium Języków Obcych), **mgr Jacek Cieśliński** (Studium Wych. Fizycznego i Sportu).

(b)

Pojedynek rozsądku z honorem

Z prof. dr. hab. Andrzejem Szmajkę, psychologiem, dyrektorem Instytutu Psychologii Uniwersytetu Opolskiego, rozmawia Barbara Stankiewicz

– W książce *Współczesny człowiek w świetle dylematów i wyzwania: perspektywa psychologiczna jest artykuł Pana Profesora dotyczący kulturowych uwarunkowań agresji. Wynika z niego m. in., że Polska jest enklawą „kultury honoru”. A enklawa to przecież coś w rodzaju odizolowanego skrawka, otoczonego zewsząd innością, odmiennością...*

– Autorzy koncepcji „kultury honoru”, czyli David Cohen i Richard Nisbett, zwracają uwagę na naturalne, a zarazem racjonalne warunki sprzyjające kształtowania się kultury honoru. Naturalne warunki, w których kształtuje się kultura honoru, panowały wówczas, kiedy w państwie było wyraźnie wyodrębnione centrum i znacznie od niego oddalone pogranicze. Ramię prawa było wtedy za krótkie, żeby sięgnąć na owo pogranicze. W związku z tym oficjalne ramię prawa nie było w stanie zapewnić mieszkańcom pogranicza skutecznej obrony i ochrony. W tych warunkach problem zapewnienia sobie bezpieczeństwa spadał na poszczególne jednostki. W związku z tym, na tymże pograniczu postępowano według systemu norm, który nazywamy kulturą honoru, a które pozwalają na posługiwanie się przemocą, a nawet czasem obligują do tego, żeby się tą przemocą posługiwać. Te normy nakazywały: na każdą prowokację trzeba odpowiedzieć, aby uzyskać reputację osoby, z którą lepiej nie zadzierać. Bo taka reputacja odstraszała potencjalnych agresorów! W praktyce oznaczało to, że nie można pozwolić wejść sobie na głowę, a czasami nawet lepiej zginąć za sprawę, bo wtedy naszą dobrą reputację odziedziczy rodzina. Wynikało z tego, że w pewnych sytuacjach mamy nie tylko prawo, ale nawet bezwzględny obowiązek stanąć w obronie kogoś lub czegoś. Np. gdy jest zagrożona nasza własność, dobre imię, bezpieczeństwo nasze lub naszych bliskich (nawet jeśli tym bliskim jest pies, którego sąsiad nazwał parszywym kundlem). Działamy pod wpływem tego odwetowego imperatywu nawet wtedy, gdy to zagrożenie jest symboliczne, bo ktoś tylko kpi, żartuje, szydzi... „Z nas szydzić?! O nie! Tego za żadną cenę nie można puścić płazem!”.

– Czyli jak w tytule książki Grzesiuka – *Boso, ale w ostrogach?*

– Tworzyła się równowaga strachu: skoro każdy potencjalny napastnik wiedział, że nawet najmniejszy, najbardziej niepozorny mężczyzna będzie się bił do końca, to wchodząc z nim w konflikt, już ryzyko-

wał, choćby zranieniem. Więc dwa razy się zastanowił, zanim spróbował zaczepki. Gdyby wszyscy się zachowywali racjonalnie, a więc oceniali wcześniej siłę agresora: że jest większy, silniejszy albo ma większy rewolwer, więc trzeba ustąpić; a jeśli przeciwnik jest mniejszy – przystępuję do walki, to wtedy ten największy albo z największym pistoletem łatwo zyskałby dominację. W związku z tym szybko pozbyłby się wszystkich mężczyzn ze zdobytego terytorium, mówiąc brutalnie: przejąłby stada i kobiety, a to w efekcie zakończyłoby się niekorzystną dla tej populacji nadmierną jednolitością genetyczną. I przed taką właśnie sytuacją system norm nazywany kulturą honoru znakomicie zabezpieczał, bo prowadził do utrzymywania się pokoju opartego na równowadze strachu. Coś takiego, jak w okresie zimnej wojny: stało naprzeciw siebie dwóch olbrzymów (USA i ZSRR) i obaj wiedzieli, że jak tylko zaczną, to odwet będzie tak straszny, że właściwie lepiej nie zaczynać. Takich warunków, które uzasadniałyby istnienie kultury honoru we współczesnym świecie tak naprawdę już nie ma, przynajmniej w Stanach Zjednoczonych, Hiszpanii, w Polsce...

– W Polsce też?

– Obiektywnie rzecz biorąc – takich warunków już w Polsce nie ma. Nie ma, jak w siedemnastym wieku, Dzikiach Pól, gdzie kultura honoru kwitła i była jak najbardziej na miejscu. Więc naturalnych, rzeczywistych warunków nie ma, ale jeśli chodzi o mentalność, o ocenę skuteczności działania prawa – to jak najbardziej, mamy warunki sprzyjające podtrzymaniu kultury honoru. Pod tym względem jesteśmy enklawą. Bo wprawdzie jesteśmy krajem na tyle cywilizowanym, na tyle dobrze rozwiniętym od strony prawnej, i na tyle obiektywnie bezpiecznym (wskaźnik zabójstw jeden z najniższych w Europie, niższy niż w Wielkiej Brytanii czy Francji), że obiektywnie rzecz biorąc, nie ma specjalnie powodu kierować się normami kultury honoru, ale jednocześnie w świadomości społecznej funkcjonuje przekonanie, że np. policja jest słaba lub skorumpowana, sądy opieszale, aparat państwa nieudolny... Słowem: istnieje, subiektywnie, niebezpieczeństwo, że nas rozgrabią, oszukają, narażą na niebezpieczeństwo, a w związku z tym trzeba sprawy brać we własne ręce. A więc mentalnie, owszem, dalej jesteśmy na Dzikich Polach.

– **Jakież więc są te nasze odwieczne zagrożenia, że tak trwale zadomowiła się u nas kultura honoru?**

– Owszem, kultura honoru uaktywnia się w sytuacjach zagrożenia, ale pod warunkiem, że z jakichś powodów ludzie dochodzą do wniosku, że system oficjalnego prawa jest z różnych względów i powodów niewydolny. Wyobraźmy sobie, że przyszedł kataklizm: tajfun, powódź... W takiej sytuacji służby, które zajmują się utrzymaniem porządku, są tak zajęte, że choćby były najsprawniejsze, nie są w stanie wszystkiego załatwić. I to już jest sytuacja postrzegana przez ludzi jako sygnał, że trzeba brać sprawy we własne ręce...

– **I powoływać społeczną komisję do zbadania przyczyn katastrofy pod Smoleńskiem, choć działała komisja rządowa, działa prokuratura...**

– W społeczeństwie, w którym te normy kultury honoru są stosunkowo żywe i popularne, a my do takich należymy, o wiele łatwiej jest o to, żeby pojawiły się takiego typu zachowania pewnych grup społecznych, jakie się u nas pojawiły. Bo jeżeli stosunkowo duża grupa ludzi ma przekonanie, że oficjalny system prawa jest nie do końca wydolny, nie do końca można mu ufać, to pojawiają się tendencje, żeby nie zdawać się na ich decyzje, samemu spróbować coś rozstrzygnąć, łatwiej wtedy również o jakieś formy protestu, np. otwarty bunt.

– **Czemu tak wielu Polaków chce, żeby to był zamach, a nie katastrofa komunikacyjna? Skąd to pragnienie?**

– Jest takie prawo psychologiczne, które można nazwać „efektem powagi konsekwencji”. Chodzi o to, że niekiedy to samo zachowanie człowieka, ten sam czyn, prowadzi do różnych konsekwencji. I okazuje się, że im większe, bardziej dramatyczne są te konsekwencje, tym bardziej jesteśmy umotywowani do tego, żeby znaleźć jakieś wyjaśnienie, dlaczego tak się stało, znaleźć winnego... Jeżeli konsekwencje są poważne, to i przyczyna musi być poważna. W przypadku katastrofy skutki były ogromnie poważne. W historii nie było jeszcze takiej katastrofy, tu zginęło 96 osób, w tym prezydent i ludzie z samej wierchuszki, no więc skoro coś takiego się stało, to przyczyną katastrofy nie mogła być przecież błahostka. Poważna przyczyna bardziej pasuje do poważnego skutku, w jakiś sposób gloryfikuje ofiary, czyni z nich bohaterów. Choć, oczywiście, nie znamy prawdy, nie wiemy, jak doszło do tej katastrofy, bo prace nad jej wyjaśnieniem

trwają, a w dodatku pojawiają się niejasności, sprzeczne doniesienia... Jak się człowiek o tym wszystkim dowiaduje, to zwyczajnie zaczyna być zły na tzw. czynniki oficjalne, bo czuje się traktowany jak idiota.

– **Jest jednak w Polakach jakieś pragnienie, że jeśli coś złego nas spotkało, to powód nie mógł być przyziemny, banalny...**

– To nie jest tęsknota tylko Polaków, ten efekt powagi konsekwencji wydaje się być prawidłowością przynajmniej zachodnioeuropejską i amerykańską, bo nie wiem, jak to wygląda wśród ludzi Wschodu.

– **Nieprzypadkowo na sztandarach mamy i Boga, i honor, i ojczyznę...**

– Sądzę, że takie wyczulenie mają wszyscy, choć być może inaczej to nazywają. Myślę, że tego typu sztampa, związana z – nazwijmy to – wojskowo-militarnym patriotyzmem, jest dość powszechna wśród wszystkich nacji. Czy u nas bardziej niż u innych? Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie.

– **Ale to my chlubimy się wywołaniem tylu powstań, które były niejako z góry przegrane...**

– Czeska szlachta, na przykład, wyginęła w 1620 pod Białą Górą, a takie daty znajdziemy w historii większości krajów europejskich. Serbowie mieli swoje Kosowe Pole, Chorwaci ginęli w bitwie z Turkami na Krwawym Polu... My – bez Białej Góry – daliśmy



Rys. Leszek Ōdak

się jako państwo podzielić między zaborców w XVIII wieku, więc nie jesteśmy aż tacy heroiczni.

– Czy trafne jest przypuszczenie, że im wyższy stopień rozwoju społeczeństwa, jego zorganizowania, większy rozmiar i znaczenie klasy średniej – tym mniejsza skłonność do pielęgnowania kultury honoru?

– Na to wygląda. Nie znam takich danych, ale wydaje mi się, że tak jest – dotyczące różnych regionów odmiany kultury honoru są dość mocno związane z poziomem cywilizacyjnym albo wręcz z zamożnością. Z moich badań wynika, że Polacy okazywali się bardziej honorowi na tle Niemców, Włochów... Dwa lata temu jeden z moich magistrantów, opolskich zresztą, student narodowości ukraińskiej studiujący w Polsce, prowadził takie badania na Ukrainie i porównał Ukraińców z Polakami. Okazało się, że w porównaniu z Ukraińcami – my jesteśmy kompletnie bez honoru. Choć jest drobna różnica: ten ich wzór nie do końca jest taki honorowy. Ale na poziomie przyznawania prawa do fizycznej reakcji na wszelkiego rodzaju uchybienia, Ukraińcy są jeszcze bardziej „liberalni” i przyzwalający niż Polacy. Ktoś uchybił narzeczonej, obraził pamięć przodków, nie przeprosił za potrącenie kogoś na chodniku i został za to uderzony przez „obrażonego”. Pytanie do badanego brzmi: na ile to zachowanie (uderzenie) jest usprawiedliwione? W Polsce dość wyraźnie widać zróżnicowanie – my próbujemy dostosować reakcję do ciężaru zniewagi. W sześciostopniowej skali, poziom 5 i 6 jest wśród Polaków zarezerwowany dla sytuacji, kiedy ktoś się źle wyraża o prowadzeniu matki czy żony. Jak mówi źle o pamięci naszych przodków – nasza agresja też jest dopuszczalna, ale „wyceniona” już nie tak wysoko, tylko na ok. 4. Natomiast jak ktoś mówi za naszymi plecami coś złego o nas samych – to tylko 2,5. U Ukraińców charakterystyczne jest to, że u nich każda zniewaga jest niemal na szóstkę, nie różnicują kalibru doznanej zniewagi. Przeciwnieństwem są Niemcy, bo u nich wszystko jest w okolicy jedynki, co oznacza, że nie dają sobie prawa do agresywnej reakcji. A ponieważ wszelkie kodeksy honorowe dość precyzyjnie zajmują się tym, co obraża, i w jakim stopniu – czy obraza była duża, czy niewielka, a więc jak należy na nią zareagować (jeśli się strzelać, to z jakiej odległości) – to ten polski wzór najbardziej przystaje do takiej wyrafinowanej wersji kultury honoru. W zależności od ciężaru zniewagi albo bijemy na oślep, albo przystępujemy do zrytualizowanego pojedynku.

– Na przykład pojedynków z policją.

– Kibice to oddzielna populacja, która pod względem akceptacji posługiwania się przemocą jest - bez względu na różnice kulturowe i narodowościowe - do siebie stosunkowo podobna (i niemieccy, i Brytyjcy kibice uważają, że przemoc jest jak najbardziej dopuszczalna, to ich łączy). Zakładaliśmy, że kibice to nie jest grupa reprezentatywna dla ogółu polskiego społeczeń-

stwa. Większość mojej próby badawczej to byli studenci, i to prestiżowych polskich uczelni, z Krakowa, Wrocławia... Tymczasem okazało się, że pod względem dopuszczalności używania przemocy w różnego typu osobistych sytuacjach, polscy studenci prestiżowych uczelni niewiele różnią się od polskich kibiców – podobnie pojmują honor, a więc nieoczekiwanie polscy kibice okazali się w jakimś sensie grupą dość reprezentatywną.

Niemieccy kibice, podobnie jak polscy kibice, tak samo często biją się z innymi kibicami, ale tam studenci okazują się mieć inne niż kibice wzorce zachowania. Sposób oceniania, reagowania polskich studentów okazał się dużo bardziej zgodny z regułami kultury honoru niż studentów niemieckich. Zakładam, że w przypadku naszych kibiców ten sposób myślenia o dopuszczalności przemocy w różnego rodzaju sytuacjach też jest taki mało restrykcyjny. Z tej perspektywy mogę powiedzieć, że pod względem stosunku do posługiwania się przemocą – jako sposobem rozwiązywania niektórych sytuacji społecznych – polska kultura tym się charakteryzuje, że polscy studenci i polscy kibice są blisko siebie. Bliżej niż np. Niemieccy.

– Dlaczego więc ten element kultury honoru, który odnosi się do stosunku wobec używania przemocy (rozumianej dość szeroko), znajduje u nas tak trwale żyzny grunt?

– Według mojej wiedzy w Polsce bardziej niż np. w Niemczech te normy kultury honoru się przechowały. Albo odrodziły, trudno powiedzieć. Ja skłaniałbym się ku twierdzeniu, że raczej przechowały, biorąc pod uwagę naszą historię. My o wiele dłużej niż Niemcy mieliśmy do czynienia z takim aparatem sprawowania władzy, który postrzegaliśmy albo jako słaby i niewydolny, albo nie swój. I to jest właśnie powód, dla którego w naszej mentalności utrzymało się przekonanie, że władzy tak do końca nie należy ufać, albo – jeśli już można ufać, to...

Polacy – z tej perspektywy patrząc – są troszeczkę podobni do katolików w Irlandii Północnej – prawo reprezentują tam i wykonują „ci wredni Angole”. U nas do 1918 roku prawo było ustanawiane przez zaborców i wykonywane przez carskich, pruskich albo austro-węgierskich żandarmów. Potem przez 20 lat było wprawdzie nasze państwo, ale w mentalności Polaków lata zaborów istniały przecież dalej, mieliśmy parę znanych postaci, które wręcz idealnie oddają istotę, sens myślenia honorowego...

Przed wojną sposób traktowania zachowań sprzecznych z prawem, a jednocześnie zgodnych z normami kultury honoru (na przykład pojedynków), był często karykaturalny. Pisze jeden z historyków, cytując przedwojenne źródła, że w jakimś kasynie pułku lotniczego, bodaj w Grudziądzu, doszło do zwady między dwoma oficerami. Był rok 1924. Pojedynki – rozkazem naczelnego wodza z roku 1918 – były zakazane, ale mimo to panowie wyzywają się na pojedynek. Co robi dowód-

ca pułku? Zamyka ich w areszcie? Nie, posyła specjalny samolot do Torunia po pistolety, żeby chłopcy mieli z czego strzelać. I chłopcy strzelają. W Przemyślu, w 1928 roku, w zakładzie gastronomicznym porucznik piechoty strzelał pięciokrotnie do równie podpitego jak on porucznika, choć zabił go już za drugim strzałem. I oto sąd w Przemyślu uniewinnia owego porucznika, argumentując, że obraza honoru może być zmazana tylko na drodze orężnej. Werdykt kuriozalny, ale takie werdykty zapadały. Te sytuacje pokazują, że ten wzór myślenia przetrwał, mimo że to państwo już było nasze. Wiadomo było np., że w ujeżdżalni I pułku szwoleżerów w Warszawie pojedynki – mimo że zabronione – się odbywały, i co więcej – że bierze w nich udział gen. Wieniawa-Długoszowski albo jako sekundant, albo jako udostępniający ujeżdżalnię do tych celów. Ale nigdy nikogo na tym łamaniu prawa nie złapano, ani nikomu nie wytoczono za to procesu, choć cała Warszawa o tym przecież wiedziała. To było dwudziestolecie międzywojenne. Potem mamy wojnę i okupację – wszystko wróciło, bo znowu pojawił się wróg, obcy. Dalej – 1945 rok, a więc władza, która jest czerwona, nie nasza, mówiąc krótko. I do 1989 roku trwamy w konfiguracji: my i oni.

– A po 1989 roku?

– Cohen i Nisbett przywołują przykład południa i południowego zachodu Stanów Zjednoczonych. Tam był ten Dzikie Zachód – Teksas, Arizona. A na starym południu, m.in. w Wirginii, było trochę inaczej niż w Nowej Anglii, którą zasiedlili brytyjscy rolnicy, najczęściej protestanckiego wyznania, ze swoim etosem pracy. Na południu wśród osadników przeważali natomiast różni szkoccy szlachetkowie z pogranicza szkocko-brytyjskiego, którzy przywieźli ze sobą swoje nawyki. Luizjana z kolei była francuska, ludzie ją zasiedlający przywieźli swoje wzorce zachowania, sposób myślenia obowiązujący wśród europejskiej szlachty, gdzie honor był wyniesiony do rangi jednej z najwyższych cnót. I to – powiadają Cohen i Nisbett – przechowało się w mentalności ludzi tam mieszkających. A w stanach południowo-zachodnich był Dzikie Zachód, tam nie czekało się na szeryfa, bo można było stracić stado lub życie, trzeba więc było utrzymać reputację człowieka, któremu nie można jeździć

po głowie. Jak ją utrzymywać? Na każdą prowokację odpowiadać natychmiast i w taki sposób, żeby nikt nie miał wątpliwości, że z tym człowiekiem i z jego rodziną nie warto zadzierać, bo nawet jak go zabijemy – rodzina go pomści.

W Polsce mamy do czynienia mniej więcej z taką sytuacją, jak na tym starym południu Stanów Zjednoczonych. U Niemców, których dla porównania badałem, jest taka anegdota. Kiedy sobie Fryderyk II Wielki zbudował Sans-Souci, to obok był młyn. Ten młyn strasznie hałasował. Fryderyk II próbował jakoś pozbyć się tego sąsiedztwa, chciał więc podkupić młynarza, aż w końcu zaczął mu grozić, na co młynarz odpowiedział: w końcu są jeszcze w Prusach trybunały. Tak zwykły młynarz powiedział cesarzowi! To pokazuje, jaka była już wówczas świadomość, że to państwo jest państwem prawa. Prawa, które chroni, nie pozwala skrzywdzić.

Nasza tradycja i nasza kultura jest na przeciwległym biegunie – z tymi Dzikimi Polami, Kmicicami i Bohunami, którzy ciągiem robią jakieś straszne rzeczy... Literatura i tradycja jeszcze te wzorce utrwaliła. Gdyby tak spytać Polaków, kogo wołają: Skrzetuskiego czy Kmicica, to myślę, że odpowiedzieliby w większości, że Kmicica. Bo Skrzetuski taki nudny. Kmicic za to, no cóż, facet jest dziki, ale zawsze honorowy. Grzeszy, morduje, jest okrutny, ale proszę: na końcu zdobywa piękną kobietę, sławę i łaskę króla – takie wzorce pielęgnowała i przekazała nam polska literatura (nie wiem, jak teraz, ale przecież w oficjalnym spisie lektur Trylogia Sienkiewicza figurowała przez wszystkie lata PRL-u). I to też współpowoduje, że taka mentalność może sobie trwać. Wszyscy bohaterowie „Pana Tadeusza” to też są przecież – tak rozumiani – ludzie honoru, od Soplicy zaczynając. Bo czymże jest zajazd – to klasyczny przejaw kultury honoru: bierzemy sprawy w swoje ręce, bo sądy nie dają rady.

– To się nigdy nie skończy?

Trudno oczekiwać, że w ciągu 20 lat zapomnimy o tym naszym wielowiekowym bagażu. Bo jeśli ktoś w 1989 r. miał 30 lat, to do dziś zdażył już tym bagażem podzielić się ze swoimi dziećmi, wnukami...

– Czekajmy więc. Dziękuję za rozmowę.

Prof. dr hab. Andrzej Szmajkę jest specjalistą w zakresie psychologii społecznej i osobowości. Jego badania dotyczą percepcji interpersonalnej, autoprezentacji, atrakcyjności interpersonalnej, egotyzmu. W kręgu jego zainteresowań naukowych mieszczą się również psychologia zachowań politycznych i psychologia sportu. Jest autorem ponad 90 publikacji, m.in. książek: *Samoutrudnianie. Dobre i złe strony rzucania kłód pod własne nogi*, (współautor: prof. D. Doliński); *Samoutrudnianie jako sposób autoprezentacji: Czy rzucanie kłód pod własne nogi jest skuteczną metodą wywierania korzystnego wrażenia na innych?* (rozprawa habilitacyjna); *Autoprezentacja: maski – pozy – miny*. Od 2008 r. prof. dr hab. Andrzej Szmajkę jest dyrektorem Instytutu Psychologii Uniwersytetu Opolskiego.



Stanisław S. Nicieja

Opolscy samborzanie

O pozycji miasta w historii kraju decyduje jego położenie geograficzne, kształt architektoniczny, potencjał gospodarczy, ale przede wszystkim ludzie, którzy miastu dają duszę, mądrość i urodę.

Te miasta święcą triumfy w historii, które miały szczęście, że w ich murach rodzili się bądź przez jakiś czas przebywali ludzie nieprzeciętni, czasem wybitni, a nawet genialni. Mądre społeczeństwa szczerzą się takimi jednostkami, nie przeszkadzają a sprzyjają w rozwoju ich talentów, z czasem wznoszą im pomniki i z satysfakcją wpisują na chlubne karty swoich dziejów.

Sambor był miastem, z którego wyszło wiele wybitnych postaci, m.in.: Artur Sandauer (1913 – 1989) – eseista i krytyk; prof. Emanuel Machek (1852 – 1930) – światowej sławy okulista, zginął tragicznie potrącony na ulicy przez motocyklistę; znakomici trzej prawnicy, rektorzy Uniwersytetów Jagiellońskiego i Lwowskiego Edward Fierich (1817 – 1896), Maurycy Kabat (1814 – 1890) i Juliusz Makarewicz (1872 – 1955) – twórca polskiego kodeksu karnego, zwanego kodeksem Makarewicza; Maria Jarema (1908 – 1958) – malarka, rzeźbiarka, scenografka, współtwórczyni teatru Cricot Tadeusza Kantora w Krakowie; gen. Karol Trzaska-Durski (1849 – 1935) – komendant 2. Brygady Legionów Polskich; Roman Dallmajer (1844–?) – poeta romantyczny, twórca wierszy patriotycznych, powstaniec styczniowy; Zygmunt Kawecki (1876–1955) – pisarz, dramaturg, autor m.in. „Widziadła” i „Poczekal-

ni I klasy”; prof. Władysław Abraham (1860 – 1941) – jeden z najwybitniejszych znawców dziejów polskiego Kościoła, rektor Uniwersytetu Lwowskiego i ojciec gen. Romana Abrahama; Zygmunt Steuermann (1899 – 1941) – syn burmistrza Sambora, legendarny piłkarz „Korony Sambor”, pierwszy polski „hat-trickowiec” czyli strzelec trzech goli pod rząd w reprezentacji Polski (było to w meczu z Turcją w 1926 r., trzy bramki strzelił w ciągu pierwszych 21 minut meczu), później polskimi „hat-trickowcami” byli m.in. Ernest Pohl, Włodzimierz Lubański i Zbigniew Boniek, Nathan Rotenstreich (1914 – 1993) – filozof, rektor Uniwersytetu w Jerozolimie. Zygmunta Steuermanną zamordowano w getcie lwowskim.

Mistrz Skowroński

W artykule tym pragnę poświęcić więcej miejsca samborzanom, którzy po wojnie zwiążali swój los z Opolem. Należała do nich Maria Piwońska (1908 – 1991) – przez kilkadziesiąt lat związana z naszą uczelnią. Ale nim przypomnę piękną kartę, jaką zapisała w historii Opola, pragnę skupić uwagę czytelnika na biografii jej kolegi z gimnazjum samborskiego Zdzisława Skowrońskiego (1909 – 1969) – komediopisarza, dramaturga, scenarzysty filmowego. W latach sześćdziesiątych XX wieku wybił się na pozycję pierwszorzęd-

nego polskiego artysty. Z Jerzym Antczakiem, również kresowianinem z Włodzimierza Wołyńskiego, który po wojnie ukończył gimnazjum w Opolu, wybitnym reżyserem, twórcą m.in. ekranizacji *Nocy i dni* oraz Józefem Słotwińskim, przed wojną związanym z Brzeżanami i Lwowem, twórcą Telewizyjnego Teatru Sensacji „Kobra” i pomysłodawcą serialu o kapitanie Klosie, Zdzisław Skowroński tworzył wielką trójkę, która obok Adama Hanuszkiewicza wpłynęła w sposób decydujący na kształt polskiego Teatru Telewizji, unikatowego w skali europejskiej. Nigdy już później teatr klasyczny nie trafiał do widowni wielomilionowej. Dla Jerzego Antczaka Skowroński napisał sześć sztuk, których inscenizacje krytyka polska zaliczyła do czołowych osiągnięć polskiej kultury połowy XX wieku.

Najważniejszą spośród nich był *Mistrz*. W bohaterów tej sztuki wcielili się wówczas najbardziej znani polscy aktorzy: Janusz Warnecki, Zbigniew Cybulski, Ignacy Gogolewski, Andrzej Łapicki, Ryszarda Hanin – aby poprzestać na tych kilku nazwiskach. Sztuka ta weszła na trwałe do historii polskiego teatru i filmu zwłaszcza dzięki genialnej inscenizacji Jerzego Antczaka. Stała się rewelacją w Polsce i zdobyła „Prix Italia” na bardzo ważnym wówczas międzynarodowym festiwalu filmowo-teatralno-radiowym w Palermo. Świeciła też triumfy w telewizji jugosłowiańskiej, gdzie rolę Mistrza zagrał jeden z czołowych aktorów belgradzkich Viktor Stracić.

Zdzisław Skowroński w *Mistrzu* pokazał nie tylko pierwszorzędną klasę literacką, umiejętność budowa-

nia napięcia, sugestywność dialogów, urodę słowa, ale jednocześnie znakomitą znajomość psychiki ludzkiej i to w sytuacji, gdy niezbywalnymi wartościami jest potrzeba uznania, poszanowanie godności osobistej i kult prawdy w ekstremalnych okolicznościach, gdy za obronę tych wartości trzeba zapłacić życiem.

Akcja *Mistrza* dzieje się w czasie okupacji. Stłoczeni w piwnicy ludzie czekają na selekcję, a wybrani przez okupantów zakładnicy mają być rozstrzelani za wysadzenie przez partyzantów pociągu wojskowego. Niemiec, przeglądający kenkarty (dowody osobiste) selekcyjonowanych, wybierał inteligentów: pianistę, adwokata, notariusza, lekarza, profesora gimnazjalnego. Stary aktor z prowincjonalnego amatorskiego teatru miał w kenkarcie wpisany zawód buchalter. Dla Niemca wydał się więc „elementem mało wartościowym” i darował mu życie. Ale aktor (zagrany genialnie w nagrodzonym laurem europejskim filmie przez Janusza Warneckiego) postanowił ujawnić swój zawód. Aby udowodnić, że mówi prawdę, wyciągnął z kieszeni karteluszek, na którym wielki przedwojenny aktor Stefan Jaracz napisał kilka słów uznania dla talentu swego kolegi z prowincjonalnego teatru. Gesta powieć wziął karteluszek z autografem Jaracza i nie zważając, jaką wartość miał ten zapisek dla przesłuchiwanego, nonszalanckim gestem podarł na kawałki. Aktor, podnosząc z ziemi drżącymi rękoma strzępy bezcennego dlań dokumentu, powiedział do niemieckiego oficera: *Mogę panu powiedzieć po niemiecku, z pamięci, monolog Makbeta przed zamordowaniem króla Duncana*. Rozbawiony Niemiec zgodził się, a stary aktor, recytując Szekspira, uświadomił sobie i swemu katowi tragiczną aktualność tekstu wobec skazańców stojących pod ścianą. Recytacja aktora poruszyła i wzbudziła uznanie esesmana. Stwierdził, że rzeczywiście ma do czynienia z aktorem i wspaniałomyślnie postanowił go dołączyć do grupy skazańców ustawianych pod ścianą do rozstrzelania.

Świadek śmierci aktora

Historia podobna rozegrała się w Samborze w 1943 roku. Wówczas to oddział AK wysadził w powietrze pociąg z amunicją w Kalinowie pod Samborem, gdzie znajdowała się niemiecka kolonia Kaisdorf. Była to reakcja polskiego podziemia na hitlerowskie represje i niemieckie przyzwolenie na poczynania banderowców. Pech chciał, że w czasie wysadzania pociągu zginął kierownik składu Jan



Maria Piwońska (pierwsza z lewej) – samborzanka, wykształciła wielu opolskich historyków. Obok niej koledzy z uczelni, również kresowianie: prorektor doc. Zbigniew Romanowicz (ze Stryja), dziekan Wydziału Matematyki Fizyki i Chemii Adam Myślicki (z okolic Trembowli), psycholog prof. Witold Kruk-Ołpiński (ze Lwowa). Kresowiancy stanowili zdecydowaną większość kadry opolskiej WSP

Pawluszkiewicz, przed wojną nauczyciel szkoły w Kulikowie. W odwecie Niemcy zorganizowali łapankę w Samborze i dla zastraszenia Polaków rozstrzelali kilku samborzan w egzekucji ulicznej. Z tego akapitu wynika, że Niemcy zorganizowali łapankę w odwecie za śmierć Pawluszkiewicza, o to chodziło? Chyba nie. Świadkiem tego była Maria Piwońska, koleżanka szkolna Zdzisława Skowrońskiego, która mając dobrze podrobioną kenkartę, szczęśliwie wyszła z tej selekcji.

Skowrońscy i Piwońscy byli w Samborze rodzinami zaprzyjaźnionymi. Maria i Zdzisław w czasach szkolnych sympatyzowali z sobą. Później rozdzieliły ich lata studiów. Ona ukończyła historię w seminarium prof. Stanisława Łempickiego na Uniwersytecie Lwowskim, on polonistykę w Krakowie. Później przysłała wojna, którą Skowroński przeżył w niewoli w oflagach w Arnswaldzie i Grossborn, gdzie wspólnie z dramaturgiem Leonem Kruczkowskim i Józefem Słotwińskim zorganizowali Teatr Obozowy.

Maria Piwońska przeżyła wojnę, mieszkając w miasteczku we Lwowie i rodzinnym Samborze. Uczyła na tajnych kompletach. Imiała się różnych prac doraźnych i konspirowała w AK. Po wojnie, po krótkim epizodzie w Rymanowie, gdzie była kierowniczką szkoły, osiadła w Opolu i stała się jedną z najbardziej znanych śląskich nauczycielek i teoretyków dydaktyki. Przez kilkadziesiąt lat była wykładowczynią w opolskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej – poprzedniczce Uniwersytetu Opolskiego. W dydaktyce ciągle eksperymentowała, dając swoim studentom dużą swobodę w obmyślanu takich sposobów uczenia historii, aby była ona zawsze dziedziną atrakcyjną, pełną powabu, dramaturgii i szkołą mądrości życia. Piwońska była na Śląsku prekursorem wykorzystania historii regionalnej w edukacji i uczeniu miłości do swej małej ojczyzny. Miała mir wśród studentów i zadziwiające pomysły dydaktyczne, m.in. inscenizacje na lekcjach historii. Wykształciła wiele roczników opolskich nauczycieli historii. Była odkrywczą talentu prof. Adama Suchońskiego. Po jej śmierci ufundowano ogólnopolską nagrodę za najlepszą pracę magisterską z dydaktyki historii, noszącą jej imię.

Ze Zdzisławem Skowrońskim utrzymywała luźne kontakty. Kilka razy gościła go w Opolu, m.in. gdy był tu na wieczorze autorskim. Bardzo cieszyła się z wielkiego międzynarodowego sukcesu jego *Mistrza*. Była przekonana, że główna inspiracja do napisania tej sztuki wiązała się z historią wysadzenia pociągu w Kalinowie pod Samborem, którą Skowroński znał z opowieści rodzinnych i koleżeńskich.

Jestem uczniem Marii Piwońskiej i pamiętam zajęcia na uczelni, kiedy wspólnie oglądaliśmy *Mistrza* w reżyserii Jerzego Antczaka i jej opowieść uzupełniającą o aktorze amatorskiego teatru, którego rozstrzelali Niemcy. Nie przyszło mi wówczas do głowy, aby zapisać to nazwisko, a teraz, gdy minęło od śmierci Marii Piwońskiej ponad 20 lat, nikt już nie zidentyfikuje tego aktora. Żadne dokumenty z tamtej egzekucji się nie

zachowały – zatonała Atlantyda.

Pozostała legenda, której nie da się zweryfikować, Nie ma też potrzeby, gdyż Zdzisław Skowroński nadał jej kształt przejmujący.

Barbara Kaźmierczak-Drozdowska napisała: *Sztuka Skowrońskiego jest pięknym pomnikiem wystawionym aktorstwu polskiemu w najcięższych, najtrudniejszych dla niego latach. Bohater, stary aktor, który nigdy – podróżując z prowincjonalnymi zespołami – nie mógł się doczekać ani swojej wielkiej roli, ani też uznania dla swej wielkiej pasji teatru, w czasie okupacyjnej łapanki zagrał Makbeta po raz pierwszy i ostatni w życiu. Za tę rolę, za pełne ekspresji i bogate w treści słowa monologu, wypowiedziane w dodatku po niemiecku do niemieckiego oficera wygarniającego ludzi z mieszkań na kolejną egzekucję, sam skazał się na śmierć. Jest to śmierć wzniosła, patetyczna, na skalę tragedii właśnie szekspirowskiej.*

Z naszą uczelnią przez wiele lat związana była Janina Cieślak-Bunda, która początkowo, po opuszczeniu Sambora, trafiła do Budkowic, by następnie przenieść się do Opolu i podjąć pracę w WSP, gdzie zyskała opinię znakomitej dydaktyczki w zakresie nauczania początkowego.

W Wojutyczach pod Samborem urodził się Jan Ganczarski (rocznik 1936) – długoletni nauczyciel i dyrektor szkoły podstawowej w Opawicy, gdzie wykształcił całe pokolenie młodzieży. Jego żona, Eugenia, z domu Węgrzyn (1940 – 2011), również kresowianka z Wołowego pod Lwowem i nauczycielka, była niezwykle aktywną działaczką społeczną i długoletnim sołtysiem Opawicy, zdobywczynią lauru „Sołtys Roku 2005”. Ich synem jest Marek Ganczarski, obecny dyrektor Centrum Informatycznego Uniwersytetu Opolskiego.

Samborski autostopowicz

Sambor jest miejscem urodzenia Bogusława Laitla (rocz. 1938), syna kapitana WP, Hermana Laitla (1902 – 1966), którego francuska rodzina uległa polonizacji, mieszkając w Boryni, w okolicach Turki i Sambora. Bogusław Laitl niewątpliwie zostawił swój ślad w historii, bo był pomysłodawcą jednego z najoryginalniejszych zjawisk w polskiej masowej kulturze drugiej połowy XX w., jakim był autostop. Ruch ten objął ponad milion młodych Polaków, którzy przemierzali za darmo Polskę wzdłuż i wszerz różnymi wehikułami, pokazując jedynie kierowcy książeczkę z charakterystycznym znakiem i dziękując uśmiechem.

Laitl wspólnie z kolegą, Tadeuszem Sową, byli pierwszymi polskimi autostopowiczami. Ich wspólny pomysł i wielka przygoda, która znalazła później tak licznych naśladowców, zaczęła się 11 września 1957 roku. Mieli wówczas po 19 lat i byli studentami AGH w Krakowie. Z głupia frant poszli do Wojewódzkiej Komendy Milicji i namówili tamtejszego komendanta, aby wystawił im zaświadczenie, że jako biedni stu-



Prekursorzy autostopu: Bogusław Laitl (z prawej) i Tadeusz Sowa (fot. Lucjan Fogiel)

denci chcą objechać dookoła Polskę i *zwiedzić zakłady przemysłowe, a głównie huty*. Komendant, po krótkim wahaniu, wystawił im taki glejt. I to się właśnie nazywa trafić na życiowy fart.

Po okresie stalinizmu, kiedy społeczeństwo żyło pod ciągłą obserwacją, został w ludziach lęk, że milicja może w każdej chwili zatrzymać jadącego (bez delegacji) w szoferce bądź na pace samochodu, na przysłowiowego łebka, pasażera. Z tego powodu mogły być poważne nieprzyjemności. Glejt, który otrzymali Laitl i Sowa od komendanta MO, rozwiązywał tę sprawę. Ich pierwsza wrześniowa wyprawa objęła trasę 2,5 tysiąca kilometrów, a podwoziło ich 39 kierowców.

Zachowały się zdjęcia tych śmiałków i fantastów, nazywanych przez prasę „włóczykijami”, którzy nie tylko prowadzili dziennik podróży, ale też go zilustrowali. Fotografie przedstawiają dwóch przystojniaków z kurzawą włosów na głowach, zaczesanych na modną wówczas „mandolinę”, w drelichowych kurtkach oklejonych herbami miast polskich, w spodniach z licznymi zamkami na kieszeniach, z wielkim proporcem w rękach z napisem: *Ten kierowca fajny chłop, co popiera Autostop*.

Tak to się zaczęło. A później poszło jak burza. Dziś już jest na ten temat fascynująca literatura, m.in. tom relacji pt. *Autostop w PRL*, wydany przez Jakuba Czupryńskiego i tam opowieści o wielkiej przygodzie najbardziej zasłużonych polskich autostopowiczów, głównych organizatorów tego ruchu w PRL: Andrzeja Piwońskiego, Leszka Sopocińskiego, Krzysztofa Wacyka; wiecznych wędrowców i nestorów Auto-Stopu – Aleksandra Melecha, Wiesława Harlendera, a także pisarzy – Edwarda Stachury, Andrzeja Stasiuka, Sławomira Schutego. Ale Laitl z Sową byli pierwsi i w ich biografiiach na zawsze zostanie zapisana chwa-

ła pionierów autostopu – tej pięknej młodzieńczej przygody, którą w Polsce przeżyło szczególnie pokolenie bigbitowców i polskich hipisów. Ich swoistym hymnem była niezapomniana piosenka Karin Stanek *Jedziemy autostopem: Autostop, autostop, wsiadaj bracie, dalej hop...*

Laitl, wracając autostopem na studia do Krakowa z winobrania w Zielonej Górze, zatrzymał się na dłużej w Opolu, bo nie mógł trafić na kierowcę, który jechał w kierunku Krakowa i był zmuszony tu przenocować. W akademiku spotkał studentów Studium Nauczycielskiego i postanowił zmienić uczelnię na opolską, wiążąc się z Opolem na dobre. Tu został nauczycielem, wychowawcą, tu się ożenił i stał się jednym z najbardziej rzutkich organizatorów kul-

tury w mieście: szefem Dyskusyjnych Klubów Filmowych, przewodnikiem, wiecznie niespokojnym duchem. Do dziś została mu ta jego dawna czupryna, tylko przyprószone siwizną, i rozwichrzona broda.

Stanisław S. Nicieja



We wrześniu 1957 r. Bogusław Laitl i Tadeusz Sowa przejechali autostopem 2,5 tys. kilometrów (fot. Lucjan Fogiel)

Wiesław Olkusz

„Radio jest moją największą pasją”

O słuchowiskach Kazimierza Kowalskiego słów kilka

*Słowo mówione jest żywe i uduchowione,
słowo pisane jest jedynie cieniem*

Platon

Niedawna śmierć (12 października 2012) Kazimierza Kowalskiego, nestora opolskich literatów, urodzonego wprawdzie w Chełmnie na Pomorzu, lecz od sześćdziesięciu lat wrośniętego w literacko-artystyczny pejzaż Opolszczyzny, zobowiązuje do przypomnienia jego wielostronnej działalności zarówno jako dziennikarza i animatora kultury, jak i pisarza, a przede wszystkim twórcy i reżysera słuchowisk radiowych.

W Opolu osiedlił się autor *Strip-teasu* pod koniec 1952 r., pełniąc przez rok funkcję dyrektora Opolskiej Orkiestry Symfonicznej, który to epizod w jego biografii nieoczekiwanie zakończyła brzemienna w skutkach propozycja objęcia stanowiska kierownika Redakcji Literackiej Rozgłośni Opolskiej Polskiego Radia (1954). W 1953 r. powołał do życia Opolski Zespół Pisarski, przekształcony później (w lipcu 1955 r.) w lokalny oddział Związku Literatów Polskich. Był inicjatorem i współorganizatorem Festiwalu Artystycznych Ziem Zachodnich i Północnych „Wiosna Opolska” (1960 – 1973), które stanowiły rozszerzoną kontynuację zapoczątkowanych w 1957 r. przez Redakcję Literacką zimowych Turniejów Poetyckich, a nadto zredagował (niektóre opracowując graficznie) 14 tomików z radiowej serii „Zeszyty Literackie”, jak również almanachy artystyczne, towarzyszące kolejnym „Wiosnom Opolskim”. Tę bogatą działalność na rzecz lokalnego środowiska kulturalnego dopełniają liczne posłowia, którymi Kowalski opatrywał tomiki wierszy poetów opolskich, a także życzliwe ułatwianie debiutów młodym twórcom i kształcenie (w latach 1994 – 1995) adeptów sztuki radiowej (w ramach zajęć z komunikacji społecznej, prowadzonych w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Opolskiego).

Jako pisarz zadebiutował Kowalski partyzancką opowieścią *Złoty róg*, zamieszczoną na łamach młodzieżowego pisma „Znicz”, którego zresztą był współzałożycielem. Od tego czasu opublikował prawie 20 powieści i tomów opowiadań, a ten niebagatelny dorobek literacki dopełniają nadto utwory dramatyczne, wystawiane na deskach Państwowego Teatru Ziemi Opolskiej (poprzednika Teatru im. J. Kochanowskiego) oraz Teatrów Małych Form w Opolu i Katowicach (*Skąd nasz ród; Najdroższej Katarzynie; Najważniej-*



Kazimierz Kowalski (fot. Przemysław Nijakowski)

szy dzień; Dziadek w nie swoim ubraniu; Odnaleziona lista; Ludzie w lasach), scenariusz pełnometrażowego filmu (*Piękny był pogrzeb, ludzie płakali*) oraz antologia słuchowisk, zatytułowana *Długi powrót Odysa* (1984).

Sygnalizowany tu różnorodnością uprawianych przez Kowalskiego gatunków i form styk literatury i teatru najpełniej dokumentuje twórczość radiowa, sytuująca się właśnie pomiędzy wspomnianymi obszarami sztuki. W kwestii rangi tego medium, jakim jest radio, szczególnego miejsca słuchowiska w całokształcie własnych dokonań artystycznych głównie ze względu na rezonans społeczny opolski pisarz wypowiadał się zresztą wielokrotnie¹, a najobfitszy dorobek właśnie

¹ Zob. np.: „Słuchacze często podejmowali dyskusję z autorami słuchowisk, nierzadko również podsuwali nowe tematy”: P. Zawada [K.

w zakresie audiodramaturgii (ponad 120 słuchowisk) stanowi widomą konkretyzację autorskich przeświadczeń i predyspozycji.

Bogata ilościowo oraz różnorodna pod względem tematycznym i formalnym dramaturgię radiową Kowalskiego cechuje niemal zawsze prymarność wobec twórczości literackiej. To w słuchowiskach bowiem pojawiają się nie tylko ci sami bohaterowie, ale także motywy i wątki, które później – rozbudowane, łączące się ze sobą w przeróżnych konfiguracjach – spotkać można w pozaradiowych utworach autora *Strip-teasu bez uciechy*: opowiadaniach (np. *Stachu i jego ciotka* z tomu *Ucieczka na łąki zielone* poprzedza słuchowisko z 1979 r. *Ciotka Tekla*), powieściach (np. *Szalone z miłości* inspirowane takimi dramata radiowymi emitowanymi w 1981 r. jak *Sara, wdowa po Elimelechu* i *Domniemana prawda o miłości i śmierci Anny Oświecimówny*), dramatach (np. sztuka sceniczna z 1973 r. pt. *Najdroższej Katarzynie*, będąca adaptacyjnym połączeniem dwóch słuchowisk: *Świętej pamięci* z 1969 r. i *Ostatniego wieczoru* z 1970 r.), wreszcie scenariuszach filmowych (np. film telewizyjny *Piękny był pogrzeb, ludzie płakali* poprzedzony identycznie zatytułowanym słuchowiskiem z 1962 r., a także nowelą z opublikowanego w 1965 r. tomu *Upieranie się przy nadziei*). Dramat radiowy stanowił więc w każdym przypadku jakby pierwszy zapis pomysłów, których wartość poddawana była później weryfikacji w innym tworzywie artystycznym. Nie oznacza to oczywiście schematyczności czy szkieletowości, osłabiającej walory słuchowiska, a wręcz przeciwnie – koncepty myślowe przybierały postać zamkniętą, dopracowaną, precyzyjnie wpisując się w reguły dramaturgii radiowej. Wytrwałe podejmowanie identycznych tematów tłumaczy tu chęć poszukiwania adekwatnej formy do przekazywanych treści, pragnienie oddziaływania na odbiorcę za pośrednictwem różnych mediów, a wreszcie i dążenie do perfekcjonizmu.

Dla rozległego obszaru wyobraźni artystycznej Kowalskiego inspirację stanowiły zarówno czas miniony, jak i szeroko rozumiana terażniejszość, przy czym obie te sfery zaplecze swe znajdowały i w bacznej obserwa-



Z opolską rozgłośnia Polskiego Radia Kazimierz Kowalski (na zdjęciu czwarty z prawej) był związany od początku jej istnienia

cji rzeczywistości, i w aktywności społecznej pisarza, i w lekturze utworów literackich oraz dokumentów z różnych epok pochodzących. Rzecz przy tym charakterystyczna, iż prowadząca Kowalskiego po śladach przeszłości dociekliwość historyka-archiwisty łączyła się zarówno z dążnością do wnikliwej penetracji ludzkiej psychiki, jak i z instynktem moralisty, konkretyzując się w postaci słuchowisk, w których w kunsztownej równowadze pozostawał konkret historyczny oraz żywioł fikcji, wykład i akcja dramatyczna, poznanie intelektualne i emocjonalne zaangażowanie.

Fascynacja czasem minionym ujawniła się już w debiutanckim słuchowisku *Appassionata* (1954), traktującym o pobycie Ludwika van Beethovena w Głogówku i inicjującym typ utworów radiowych (np. *Nikt nie postawił ci pomnika* 1957, *Wstawcie ul do pokoju* 1964), w których udramatyzowany wykład o przeszłości narodowej, zwłaszcza w jej regionalnym wymiarze, spletał się z przekazem dydaktycznym. Realizował on charakterystyczne w latach 50. i 60. XX wieku zapotrzebowanie społeczne na określone idee, wartości czy symbole grupowej identyfikacji, co rzutowało na konstrukcję postaci (uproszczenia psychologiczne, zasada kontrastu bohaterów), szablonowość fabuły, przewagę dyskursywnych replik i obecność patosu. To stereotypowe zarysowanie konfliktu, przebiegającego zawsze na linii: niemiecki „wyzyskiwacz” i śląski chłop, uparcie broniący swej polskości, pozwalało także w szerszej perspektywie interpretacyjnej przeciwstawić zantagonizowanej przeszłości waloryzowany, rzekomo bezkonfliktowy czas terażniejszy.

Myślenie o historii w kategoriach tradycji², tak typowe dla wczesnych słuchowisk Kowalskiego, w la-

Kowalski, *Na marginesie pracy redakcji audycji artystycznych Rozgłośnia Polskiego Radia w Opolu w latach 1956-1961*, „Kwartalnik Opolski” 1964, nr 1, s. 112 oraz „Słuchowiska traktuję równie poważnie, jak prozę beletrystyczną, z tym, że podchodzę do nich o wiele bardziej emocjonalnie, gdyż zdaję sobie sprawę z ich bezpośredniego działania na te sto, czy nawet więcej tysięcy osób, które właśnie słuchają”: *Znowu, po raz któryś wierzę*. Z Kazimierzem Kowalskim rozmawia S. Chaciński, „Opole” 1981, nr 11, s. 22.

² Zob.: J. Szacki, *Tradycja. Przegląd problematyki*, Warszawa 1971, s. 273: „Zjawiskiem pospolitym wydaje się w tradycji przekształcanie [...] person w ludzi jednej bryły, ludzi jednej idei, jednego czynu”.

tach późniejszych zastąpiła tendencja do sugerowania relatywnego wymiaru świata wartości, którą wiązać należy z tym rodzajem pamięci czasu minionego, który Erich Auerbach określał jako myślenie historyczne³. W tym ujęciu historia przybierała postać labiryntu, a jej zawłośći najpełniej odsłaniały nie tyle dzieje anonimowej zbiorowości, co konkretny los jednostkowy, i nie katastrofy zbiorowe, lecz tragedie indywidualne. W sposób najdoskonalszy artystycznie typ słuchowisk absorbujących odbiorcę wydarzeniami, które wprawdzie zaistniały dawno, lecz przedłużenie swoje znajdują w chwili obecnej, zaświadczać „tautologiczny” charakter procesów historycznych, reprezentują dramaty, tematycznie nawiązujące do Wielkiej Rewolucji Francuskiej (*LA MORT nad wanną Marata* 1981; *10 thermidora, późnym popołudniem* 1984; *Jeden dzień z życia Robespierre’a* 1988). Ich fabuła, w dużej mierze utkana ze skrupulatnie gromadzonych opinii historyków, stenogramów z procesów, raportów policyjnych, listów i testamentów stała się dogodną platformą do przeprowadzenia rozrachunku ze współczesnością, możliwością ukazania, iż za na pozór różnymi pobudkami działań jednostki i społeczeństwa kryją się za-

³ E. Auerbach, *Mimesis. Rzeczywistość przedstawiona w literaturze Zachodu*. Przeł. i wstępem opatrzył Z. Żabicki, t. I, Warszawa 1968, s. 72-73: „Rzeczywistość historyczna wprowadza do postępowania jednostek motywy sprzeczne, czyni chwiejnymi i dwuznacznymi zachowania się grup [...]”.

wsze identyczne mechanizmy. Na scenie historii zmieniają się wprawdzie aktorzy i rekwizyty, lecz dramat odgrywany jest wciąż ten sam.

W jeszcze inny nurt utworów o tematyce historycznej wpisują się słuchowiska z lat 70. i 80., w których Kowalski prezentował własną wersję epizodów z życia krzywdząco zapomnianych kobiet, odgrywających niebagatelną rolę w biografiami znanych polityków, pisarzy, malarzy i muzyków (np.: *Jadwiga Janczewska, kto to jest?*; *Delfina Potocka, kto to jest?*; *Jeanne Hébuterne, kto to jest?*). Wyeksponowane w drugiej części tytułów słuchowisk cele dydaktyczno-poznawcze łączyły się z osobistym zaangażowaniem emocjonalnym autora audiodramatów wobec referowanej rzeczywistości⁴. Konkret historyczny, którego zaplecze stanowiły fragmenty listów, wierszy, wspomnień czy anegdoty, dopełniany był zawsze bezpośrednim upominaniem się o prawo jednostki do samostanowienia, decydowania o własnym losie bez względu na konwencje i opinię publiczną, wreszcie i o tolerancję rasową, religijną i przekonań.

Przejawiana przez pisarza skłonność do wyszukiwania w historii kontrowersyjnych epizodów i weryfikowania w imię prawdy obiegowych sądów połączona

⁴ „Ja za każdym razem stoję po stronie opisywanych kobiet, bronie ich”: *Wróciłem na łąki zielone*. Z Kazimierzem Kowalskim rozmawiała M. Fedorowicz, „Trybuna Opolska” 1982, nr 16, s. 4.



W redakcji. Kazimierz Kowalski – na zdjęciu trzeci z prawej

z pasją penetrowania psychiki kobiecej oraz głęboko osobistym, emocjonalnym stosunkiem do prezentowanych wydarzeń i ludzi, konkretyzowała się też w postaci sięgania do źródeł pozahistorycznych: legend, apokryfów, mitów czy toposów literackich. W pobliżu zatem dramatów radiowych, ukazujących heroiny „szalone z miłości” sytuują się słuchowiska, prezentujące „historie kobiet szukających zrozumienia dla miłości, której miały w nadmiarze” (np.: *Sara, wdowa po Elimelechu; Romeo i Julia nie umierają; Ofelia, dziewczyna Hamleta; Domniemana prawda o miłości i śmierci Anny Oświęcimówny*).

Repetycja mitu umożliwiała też Kowalskiemu diagnozowanie rzeczywistości współczesnej. Nawiązując do Eliotowskiego rozumienia klasycyzmu⁵, mit potraktował pisarz jako niewyczerpany rezerwuwar ludzkich dramatów czy archetypów osobowościowych, poddając go nieustannej konfrontacji ze współczesnością. W słuchowisku *Pada deszcz, schrońmy się do kina* (1975) prezentacja dwóch rzeczywistości: rozgrywającej się tu i teraz oraz naznaczonej kulturowo, mitologicznej (mit orficki) prowadzi do pesymistycznej oceny tej pierwszej, w której coraz częściej dochodzi do zrywania więzi z dziedzictwem cywilizacyjnym. Konsekwencją odwrócenia się od antycznej tradycji staje się zubożenie sfery intelektualnej i duchowej, dehumanizacja człowieka, dewaluacja tych wartości, które przez wieki stabilizowały egzystencję jednostki. Za najciekawszy jednak przykład posługiwania się mitem na zasadzie prefiguracji, bliskiego zwłaszcza tradycji francuskiego dramatu mitologicznego (Jean Anouilh, Jean Cocteau, André Gide, Jean Giraudou, Jean-Paul Sartre) uznać należy *Długi powrót Odysa* (1984), w którym to słuchowisku w antyczny schemat fabularny wpisany został los współczesnego Odysa i dzisiejszej Kalipso. Obecność wielu sygnałów współczesności (m.in. emigracja zarobkowa, piractwo powietrzne i morskie, bojówki Baader-Meinhof czy IRA, zamach na papieża) pozwoliła na artykulację krytycznej oceny dzisiejszej rzeczywistości, nieuporządkowanej, odheroizowanej, zagrożonej anarchią społeczną i atrofią moralną, której przeciwstawiony został stabilny porządek świata homeryckiego. Z kolei psychologiczny relatywizm XX-wiecznego Laertiady łączył się ściśle z zakwestionowaniem tradycyjnego wektora wędrówki Odysa. Stereotyp dośrodkowy, który waloryzował DOM jako jeden z dwóch (obok ŚWIATA) biegunów przestrzennych, w słuchowisku unieważnia sensy pierwotnie przezeń wnoszone. Dramat współczesnego Odysa polegał bowiem na tym, że powrót nie może się dokonać; nie ma już DOMU, nie ma możliwości odzyskania utraconych ról społecznych (zwłaszcza męża i ojca),

⁵ „Tradycja to sprawa [ogromnego] znaczenia [...]. Warunkiem jej jest zmysł historyczny, [który] wymaga rozumienia przeszłości istniejącej nie tylko w przeszłości, lecz i teraźniejszości”: T. S. Eliot, *Czym jest klasycyzm*, w: T. S. Eliot, *Szkice literackie*. Red., wybór, przedmowa i przypisy W. Chwałewik, przeł. H. Pręcikowska, M. Żurowski, W. Chwałewik, Warszawa 1963, s. 3.



Z okazji jubileuszu 30-lecia opolskiej rozgłośni Polskiego Radia redaktorzy Kazimierz Kowalski i Maria Rudnicka sadzą pamiątkowe drzewko przed ówczesną siedzibą rozgłośni przy ul. Piastowskiej w Opolu. Na zdjęciu także red. Leszek Opałacz i Mirosław Gil, asystent operatora

jako że Penelopa wyszła powtórnie za mąż i urodziła córeczkę, zaś Telemach zwabiony blichtrzem ŚWIATA opuścił DOM i zapomniał o ojcu.

Głęboka zaduma nad sensem egzystencji, złożonością ludzkiej psychiki, relatywizmem wszelkich działań i emocji obecna jest również w słuchowiskach o tematyce współczesnej, czy to utrzymanych w konwencji werystycznej, czy metaforyczno-refleksyjnej. W tej pierwszej grupie „radiosztuk” eksponowana była przede wszystkim problematyka etyczno-społeczna, zwłaszcza kwestia rozliczania bohatera z prawdy, odkrywania masek i rozszyfrowywania póż (np.: *O maski – pytania bez odpowiedzi* 1957; *Piękny był pogrzeb, ludzie płakali* 1962; *Udawanie* 1963), samotności (np.: *Między tak i nie* 1959; *Samotność* 1972), granic dopuszczalnego kompromisu moralnego i odpowiedzialności za swoje postępowanie (m.in.: *Najważniejszy dzień* 1969; *Otwórz drzwi szerzej* 1973), „wysferzania”, ztraty autentyczności w wyniku zerwania ze środowiskiem, w którym się wzrastało (m.in.: *Kto spuścił wodę ze stawu* 1976; *Rzykanci* 1979) czy wreszcie ubezwłasnowolnienia człowieka przez władzę i partię (m.in.: *Ten pociąg nigdy nie przyjedzie* 1960; *Rozmowy kontrolowane* 1989). Prezentowana w tych słuchowiskach fabuła miała zaplecze w wydarze-

niach doświadczanych osobiście przez Kowalskiego bądź znanych mu z bacznej obserwacji życia społecznego. Nie cofał się wówczas autor *Szalonych z miłości* przed zjadliwym sarkazmem, a ironiczne akcenty tak rozkładał, iż nie deformując obrazu świata, prowadziły one jednak do jego jednoznacznie krytycznego zdefiniowania.

Diametralnie odmienny charakter miały sztuki reprezentujące nurt metaforyczno-poe-tycki (np. *Chwila, gdy dzień się zaczyna* 1964; *Bajka o ludziach zza siódmej między i siódmego krzaku tarniny* 1978; *W ziemię przemienianie. Elegia Kazimierza Kowalskiego na śmierć Katarzyny* 1980; *Mgła* 1990); znamionowało je wyciszenie dynamiki wydarzeń zewnętrznych, dążność do uchwycenia subtelnych i ulotnych odcieni nastrojowych, zlirowanie refleksji grawitującej w stronę poetyckiej paraboli, w niektórych zaś przypadkach (np. w *Drodze* 1966) redukcja słowa na rzecz dominacji pozajęzykowych środków wyrazu (zwłaszcza muzyki, ale także odgłosów naturalnych czy niezleksykalizowanego gestu fonicznego – płaczu, westchnienia itp.). I tak np. w utworze *Chwila, gdy dzień się zaczyna* tytułowa pora dnia jest komponentem czasoprzestrzennym, organizującym strukturę mikrosluchowiska i sygnalizującym moment zadumy nad enigmatycznością świata i losu ludzkiego. Kolejne sekwencje sytuacyjne, pozbawione akcyjności, kłamrował wówczas bezpośrednio sformułowany imperatyw moralny, w którym ujawniała się humanistyczna miłość do człowieka, zwłaszcza niepokornego, odtrąconego, skrzywdzonego przez ludzi i los. Podobnie dwoisty poziom wykładni tytułu – konkretny i metaforyczny – organizował fabułę *Mgły*. Ramowe sekwencje werystyczne sytuowały bohaterów w realnej czasoprzestrzeni, której opresyjność była wynikiem uwarunkowań pogodowych. Ten wymiar fizycznego zagrożenia ulegał jednak pomniejszeniu w obliczu katastrofy psychicznej, jaką było poruszanie się po omacku w obszarze uczuć. Gęsta mgła otulająca w tym świecie bohaterów stawała się zatem przyczyną nieustannych kolizji i bolesnych okaleczeń psychicznych, które skutkowały w postaci totalnej samotności człowieka wśród ludzi. Kształt poetyckiej metafory przybierał również obsesyjnie podejmowany przez Kowalskiego motyw przemijania. W sluchowisku *W ziemię przemienianie* schopenhauerowskie nieomal przeżycie czasu i śmierci połączone było ze stoicką postawą ataraksji, przy czym tak wyraźnie akcentowana morderczą rolę czasu, zacierającego materialny ślad obecności człowieka, nie stała się jednak źródłem pesymizmu, dramatycznego napięcia czy dezaktywizującego poczucia bezsensu istnienia, co

jednoznacznie zaświadcza końcowy fragment utworu: „Zostanie ciepło ręki, którą położyłaś na mej głowie, mówiąc: nie płacz, [...] nie płacz dziecko, jestem przy tobie, otrzyj łzy, a ja popłaczę sobie za ciebie”.

Rozpiętości tematycznej sluchowisk Kowalskiego towarzyszyła wielość konwencji i stylów, wariacyjność sposobów artystycznego ujmowania rzeczywistości oraz elastyczność formuły estetycznego przekazu, co w istotny sposób decydowało o wysmakowanym charakterze faktury fonicznej. Dążąc do różnicowania form wypowiedzi, posiłkował się autor *Mgły* zarówno klasycznymi odmianami sluchowiska, jak i gatunkiem hybrydycznym, jakim jest *feature*. Śmiało też eksperymentował, często rezygnując z prymatu słowa na rzecz oddziaływania na odbiorcę pozajęzykowymi środkami wyrazu⁶. Z kolei w sluchowiskach, w których dominantę stanowiło słowo, dbał Kowalski zarówno o nośność znaczeniową, jak i o walor brzmieniowy zdań, ich rytmikę i melodię. To niezwykle wyczulenie na urodę słowa sprawiało, iż posługiwał się i epigramatyczno-aforystycznym dialogiem, i zdaniem o sentencjonalno-metaforycznym kształcie, i wreszcie silnie zrytmizowaną prozą poetycką.

Wskazane tu jakości warsztatu pisarsko-reżyserkiego, społeczny rezonans, potwierdzany listami do Redakcji Rozgłośni Regionalnej, licznymi nagrodami w kraju (14 sluchowisk uhonorowanych na konkursach ogólnopolskich, uzyskana w 1982 r. Nagroda I Stopnia Przewodniczącego Komitetu do Spraw Radia i Telewizji) i za granicą (m.in. w 1978 r. I nagroda w międzynarodowym konkursie OIRT za utwór *Ofelia, dziewczyna Hamleta*), wyemitowanie kilkunastu sluchowisk w Finlandii, NRD, Słowacji i na Węgrzech oraz ponad 70 w programie ogólnopolskim to fakty świadczące, że Kowalski – autor sluchowisk i ich reżyser zarazem – wpisał się znacząco nie tylko w pejzaż kultury regionu, ale także i w świadomość odbiorcy ponadregionalnego.

Wiesław Olkusz
Fot. Ryszard Łabus

⁶ Jak pisał Bogusław Nierenberg „Nikt tak jak on [Kowalski] nie kochał i nie rozumiał radia i sztuki radiowej. Jedną z [...] jego radiowych «obsesji» było stworzenie takiej audycji, która byłaby nieprzekładalna na żaden inny język przekazu”: B. Nierenberg, *Słowo wstępne*, w: K. Kowalski, *Pięćdziesiąt lat przemija, radio opolskie trwa. Bardzo poważnie i trochę żartobliwie o 50-leciu opolskiej Rozgłośni PR*, Opole 2002, s. 5.

Bartosz Suwiński

Stery

Noce za nocami ciemno idą
dnie się dłużej dniami.

Czoło strapionego młodzieńca
w cieniu zwieszonych ciemiów
z odjętym od ust słowem.

Pokrzep go różo winem
niech mocniej trzyma ster
cierpliwiej zadaje rany.

Dni za dniami idą
noce się dłużej nocami.

Ale może tym razem?

On wie, że słowa nie są tajemnicą
języka, on wie, że nie jedyną.

Światliki wodzą na pokuszenie,
znikają błędne ogniki, sęki.

Podniesie na siebie rękę, poczeka?
Zrezygnuje z wierszopisa w sobie?

Niósł swój czas jak pies kość,
oparł się o nagrobek chwili,

o gorzkie żale, gracowane ścieżki,
które prowadzą w labędzi kląngor.

Blik

cierpka radość uwięziona
w zieleni jabłek



Mgła (fot. Tadeusz Parcej)

Ewa Pawelec

Bzdury w naukowym przebraniu

Chyba każdy kiedyś słyszał jakąś miejską legendę. Mogła być lokalna i specyficzna dla Polski (np. z czasu mojego dzieciństwa czarne wołgi porywające dzieci czy też słynny, kupiony na targu owczarek kaukaski, który na białego niedźwiedzia wyrósł), a mogła objąć swoim zasięgiem cały świat, jak opowieści o spuszczonej w klozecie podrośniętych aligatorkach, nawiedzających kanały ściekowe wielkich miast amerykańskich.

Podobne „legandy” funkcjonują w nauce. Bywają to opowieści, którymi nauczyciele często ubarwiają lekcje, ciekawostki, które podają dla obudzenia klasy, przykłady naukowe i pseudonaukowe używane w mediach. Do różnych celów – od rozrywki, po poważną argumentację i wnioskowanie przez analogię. Czasami prawdziwe, zazwyczaj przynajmniej częściowo mylące, nawet jeżeli zawierają jakiś kawałek prawdy naukowej. Zakradają się nawet do podręczników szkolnych i akademickich. Skąd takie „legandy” się biorą i czemu służą? Bo ich żywotność wskazuje, że do czegoś się jednak przydają.

Skąd się bierze mit naukowy?

Mity naukowe (no bo jak nazwać takie pseudonaukowe zmyślenia?) biorą się zazwyczaj z jakiegoś faktu bądź teorii, zniekształconej metodą na głuchy telefon. Źródłem jest często publikacja naukowa niezrozumiana przez popularyzatora bądź też zrozumiana, ale przedstawiona metodą analogii, podkolorowana i uproszczona dla potrzeb czytelnika. Niejednokrotnie taki mit powstaje właśnie przez dosłowne przyjęcie obrazowego zilustrowania teorii i wnioskowanie na tej bazie – coś na zasadzie: *jeżeli układy kwantowe to coś takiego, jak kot Schrodingera, to układy kwantowe są puszyste i miauczą*. Bardzo wiele mitów jest podbudowanych niechęcią do wszystkiego, co oficjalne – może to być nauka, ale może też być chociażby religia (wiele mitów z historii nauki jest opartych na niechęci do katolicyzmu).

Większość owych mitów to opowieści barwne i czasami sensacyjne, dlatego też rozpowszechniają się metodą *jedna pani drugiej pani*. Są źródłem pomysłów do filmów czy książek, bywają – co gorsze – argumentami w rozmaitych debatach zupełnie niezwiązanych z dziedziną nauki, z której wzięto bazowy fakt. Jedną z bardzo wyraźnych ich cech jest to, że są praktycznie nie do zabicia metodą wytłumaczenia – ponieważ zazwyczaj są łatwiejsze do zrozumienia oraz barwniejsze

niż opowieść poprawna naukowo. Ponieważ rozchodzą się metodą plotki, to docierają też do znacznie większej liczby osób niż ewentualne wyjaśnienie, którego wysłuchają raczej ludzie bliżej zainteresowani nauką. Mogą też być wykorzystywane bardziej komercyjnie, jak chociażby „dowodzona naukowo” prawda o tych nieszczęsnych dziesięciu procentach możliwości mózgu (o czym niżej), podobno jedynie na co dzień przez nas użytkowanych.

Trzmiel, co nie lata

Przyjrzyjmy się mitowi o trzmielu-nielocie. Brzmi on: *naukowo dowiedziono, że trzmiel latać nie może, a widzicie, przecież lata!* Służyć to może zarówno próbie zdyskredytowania nauki i usprawiedliwieniu własnego nieuctwa (po co się uczyć, skoro nauka tak prostych rzeczy wyjaśnić nie potrafi), ale i próbom zmotywowania człowieka przekonanego, że coś mu się na pewno nie uda (*mówią ci, że nie możesz zrobić tego czy owego – popatrz na trzmiela: mówią mu, że latać nie może – bądź jak trzmiel, udowodnij, że możesz!*). „Prawda” o trzmielu jest dość stara. Z artykułu Kena Zetie na ten temat, opublikowanego w IOP Physics World Magazine: „John H. McMasters twierdzi, że ta opowieść była bardzo znana w latach trzydziestych dwudziestego wieku na niemieckich politechnikach, poczynając od uczniów znanego eksperta od aerodynamiki, Ludwiga Prandtla, z Göttingen. Podobno znany szwajcarski inżynier od aerodynamiki, którego imienia McMasters nie wymienia, rozmawiał sobie spokojnie z biologiem przy kolacji. Biolog zapytał o lot trzmiela i Szwajcar wykonał na serwetce obliczenia, zakładając sztywne gładkie skrzydła i podobne ograniczenia. Oczywiście, wyszło mu, że siła nośna jest niedostateczna i stwierdził, że obliczenia trzeba będzie usprawnić. Jednocześnie biolog rozpowszechnił historię, że trzmiel nie może latać, prawdopodobnie w celu wykazania, że przyroda jest bardziej wyrafinowana niż nasza inżynieria, a media opowieść podchwyciły. Prawda, tak wtedy jak i teraz, specjalnie efektowna nie była, więc poprawna historia nigdy nie została opublikowana”.

Sam John McMasters w liście, który można znaleźć w Internecie, pisze: „Dawno temu [1989] napisałem artykuł dla *American Scientist* zatytułowany *Lot trzmiela i podobne mity na temat owadziej inżynierii* (Am. Sci., Vol. 77, pp. 164–8). Podałem tam coś, co nadal zdaje się być poprawnym opisem historii na temat: *czy ekspert od aerodynamiki dowiódł, że trzmiel*

nie może latać? Długo usiłowałem się też dowiedzieć, kim był ekspert, który nam to zrobił [...]. Po tej publikacji otrzymałem list – ba, też mi list, było w nim nawet pół tuzina kopii kawałków tekstu z książki *Le Vol Des Insects* (Paryż, 1934), słynnego entomologa Augusta Magnana. W książce tej na stronie ósmej wstępu znajduje się fragment: *zastosowałem do owadów prawa oporu powietrza i razem z p. Sainte-Langue doszedłem do wniosku, że ich lot jest niemożliwy*. I tak mamy wreszcie winowajcę – Sainte-Langue, asystent Magnana, który widocznie był jakimś inżynierem”.

Tak więc niekoniecznie prawdziwa jest historia o obliczeniach przy kolacji, natomiast zdecydowanie da się tutaj zidentyfikować pierwszą poważną publikację wyniku tych obliczeń. A wynik taki wychodzi jedynie wtedy, jeżeli weźmie się założenia podane w artykule Kena Zetie – czyli sztywne, gładkie skrzydła, machające jedynie góra-dół. W przypadku skrzydeł owadzich jest to oczywiście zupełnie nieprawdziwe – zdjęcia wykazują, że skrzydła owadów są, po pierwsze, giętkie, po drugie owady machają nimi w ósemkę. Na dodatek jeszcze w niektórych obliczeniach zakłada się, że cała powierzchnia nośna trzmiela to jedynie owe skrzydła – tułów jest kompletnie zaniedbywany (a wystarczy obejrzeć zdjęcie trzmiela, by wiedzieć, jak jest duży!).

Problem trzmiela jest bardzo charakterystyczny dla opisu genezy mitu naukowego – historia ma jakieś jądro naukowe, ponieważ istniały obliczenia, które wykazały zbyt małą siłę nośną, a wyniki ich zostały opublikowane. Historia przemówiła do ludzi, którzy chcieli wierzyć, że pomysłowość natury jest większa niż ludzkie „szkiełko i oko”. Mit ten pokazuje także, jak bardzo niezrozumiałą dla ludzi własnością nauki jest to, że praktycznie każde obliczenie zakłada określone przybliżenia i że jeżeli coś nie wychodzi, to należy bardzo dokładnie sprawdzić, czy nie przesadziliśmy z uproszczeniem modelu. Niestety, przybliżenia i modele to coś, co jest bardzo odległe od popularnej wizji nauki, a jeżeli już ktoś o tym słyszał, to przesadza w drugą stronę, na zasadzie: *te wszystkie naukowe bzdury niepewne są i to, że ktoś coś wyliczył, to i tak jest nieważne...*

Mocarny motyl

Teoria chaosu deterministycznego przewiduje, że dla nieliniowego układu chaotycznego dowolna różnica w warunkach początkowych daje różnicę w wynikach, rosnącą eksponencjalnie z czasem. Było to odkrycie zaskakujące głównie dla samych naukowców, ponieważ jednym z podstawowych założeń eksperymentu naukowego jest możliwość kontroli wszelkich parametrów, mających wpływ na wynik eksperymentu. Więc samo istnienie eksperymentu, w którym nie można przewidzieć z sensowną dokładnością wyników, znając z równie rozsądną dokładnością dane wejściowe, było szokujące. Edward Lorenz, zajmujący się

najbardziej znanym układem chaotycznym, czyli pogodą, w swoim artykule z 1963 roku zastosował porównanie: *Pewien meteorolog powiedział, że jeżeli ta teoria jest poprawna, to uderzenie skrzydeł mewa mogłyby być wystarczające do zmiany pogody na świecie*.

Po jakimś czasie, być może pod wpływem słynnej, właśnie przez Lorenza odkrytej struktury geometrycznej (zwanej też atraktorem Lorenza), mewa zamieniła się w motyla i to właśnie motyl zdobył sławę – może okazał się bardziej poetycki.

Idea układu chaotycznego nie była taka całkiem nowa – w języku angielskim istnieje historyjka-przysłowie, jak to z braku gwoźdźcia odpadła podkowa, z braku podkowy zginął koń, z braku konia zginął jeździec, z braku jeźdźca przegrano bitwę, a z przegraną bitwą przepadło i królestwo. Efekt motyla wpasował się więc w tę historyjkę wspaniale i przyjął się szeroko. Szybko też zaczął służyć jako przykład pasujący do wszystkich dostatecznie skomplikowanych układów (zwłaszcza w historii czy polityce), chociażby dlatego, że potwierdzał naukowo ludową prawdę – a to bardzo lubiana sytuacja. Przysłużył się także literaturze czy filmowi, zwłaszcza w połączeniu z pomysłem podróży w czasie (ponieważ wtedy można porównać rozmaite wyniki ludzkich poprawek). Przydatny jest zwłaszcza nawoływaczom do przystopowania rozmaitych ludzkich działań – bo skoro mamy układ, którego zachowań nie jesteśmy w stanie przewidzieć w dostatecznym horyzoncie czasowym, to zapewne w sytuacji zrobienia czegokolwiek – otrzymamy efekty straszne a przerażające.

Problem z efektem motyla polega nie na tym, że zasadniczo został źle zrozumiany, ale że został przesadnie rozszerzony. Uznano, iż każdy dostatecznie skomplikowany układ o wielu zmiennych jest koniecznie układem nieliniowym i chaotycznym, a każda zmiana w takim układzie doprowadzi jego ewolucję do zupełnie innego punktu niż w sytuacji braku zmiany. Rzecz w tym, że to rozszerzenie i uproszczenie jest oczywiście nadużyciem – dowolne machanie motylimi skrzydłami będzie miało chociażby niesamowicie małą szansę na wywołanie tornada w Polsce. Istnieje wiele układów, a jakże, nieliniowych (także sam układ Lorenza!), które po lekkiej zmianie parametrów układu po prostu przestają być chaotyczne, a zmiana warunków początkowych da pewną niedużą (stałą w czasie trwania eksperymentu) rozbieżność warunków końcowych. Na dodatek niektóre układy nieliniowe charakteryzują się raczej stabilizacją, niż kojarzonym zwykle z efektem motyla rozchwianiem – niezależnie od tego, jak ustawimy warunki początkowe, efekt końcowy będzie po prostu, wcześniej lub później, ten sam. I to wszystko zgadza się z teorią chaosu, nie zgadza się tylko z osadzonym już w naszej wyobraźni obrazkiem, że zdeptanie motylka przez podróżnika **musi** spowodować absolutną i ogromną zmianę po tych kilkudziesięciu milionach lat (opowiadanie Raya Bradbury’ego, na podstawie którego powstał film „Grzmot”). Wręcz

przeciwnie, w przypadku 999 gwoździ wypadających z 999 podków, w tychże 999 przypadkach wcale ani podkowa nie odleci, ani koniowi to nie zaszkodzi. I pewien amerykański internauta, na którego stronie ujrzałam szokujący dla mnie zapis (*jakaż to potworna szkoda, że nie zjawił się na farmie rodziców, którą zniósł w miesiąc później huragan – boć przecież zjawiając się, zmieniłby warunki i przez efekt motyla od tegoż huraganu farmę by wybronił*), też powinien sobie jednak dać spokój z oskarżeniami...

Spływające szklane okna

Szkło jest bardzo ciekawym stanem skupienia materii – stałym, ale jednak nieuporządkowanym i krystalicznym, jak klasyczne dla opisów w fizyce ciała stałego metale czy sole. Niejednokrotnie, dla lepszego uzmysłowienia uczniom czy studentom, czym szkło różni się od kryształów, przeprowadza się porównanie szkła z cieczą – że jego budowa wewnętrzna jest nieuporządkowana, podobnie jak budowa wewnętrzna cieczy. Niestety, tę analogię często ciągnie się dalej – *skoro szkło jest cieczą, to znaczy, że płynie!* To ładne porównanie często podparte jest pokazem – *popatrzcie na witraże w starych katedrach, wszystkie kawałki szkła są grubsze u dołu niż u góry, widzicie? Po prostu przez ten czas szkło ściekło na dół...*

To bardzo piękna historia, ma tylko tę wadę, że jest zełgana. Ciecz płynie, ponieważ siły międzycząsteczkowe w niej są niezbyt duże, w wyniku czego cząsteczki łatwo przesuwiają się względem siebie. Dlatego ciecz można łatwo zdeformować czy podzielić. W przypadku szkła poszczególne molekuly związane są ze sobą całkiem silnymi wiązaniami! Dlatego zresztą, jak każdy widzi, szkło w temperaturze pokojowej jest całkiem przyzwoicie twarde.

Przykład z witrażami jest nieco podejrzany, jeżeli tylko się nad nim chwilę zastanowić – przecież znamy rozmaite obiekty szklane znacznie starsze od katedr. Zachowało się całkiem sporo rozmaitych amfor i innych naczyń z czasów Rzymu, a nawet starożytnego Egiptu. Jak to jest, w takim razie, że widząc na nich klasyczne dla szkła efekty starzenia – tęczowość czy zmatowienie powierzchni – jakoś nie widzimy, żeby się zdeformowały? Przecież są starsze, a i szkło jest w nich cieńsze. Powinny więc obwisnąć.

Ponieważ opowieść o spływających szklanych oknach jest bardzo popularna, to niejeden fizykochemik, przypominając ją sobie ze szkoły, próbował obliczyć, jak to rzeczywiście jest. Niestety, bardzo ciężko o jakieś dokładne obliczenia, udają się raczej oszacowania. Ale i tak okazuje się, że czas potrzebny do tego, by jakaś płyta szklana stała się na dole grubsza o 5 proc. oceniany jest na 10 milionów lat, a nawet więcej! Na dodatek, jeżeli przeprowadzić takie obliczenia dla ciał mających budowę krystaliczną, czyli metali, można otrzymać czasy... wielokrotnie mniejsze! Rzecz w tym, że współczynnik określający szybkość płynięcia danego materiału, zwany lepkością, jest dla szkła całkiem duży, wielokrotnie większy niż np. dla ołowiu. Dlatego też, jeżeli by miały pospływać w dół te szklane okna, to znacznie wcześniej wypłynąłby spomiędzy nich łączący je ołów, co jakoś nie jest widoczne...

Dlaczego w takim razie płytki witraży są grubsze u dołu niż u góry? Bo rzeczywiście są. Rzecz w tym, że płytki szklane w średniowieczu produkowano, rozkręcając do dużej prędkości bryłę miękkiego szkła osadzoną na końcu pręta. Bryła ta w naturalny sposób była potem grubsza na obrzeżach niż w środku, tak więc i płytki z jednej strony były grubsze niż z drugiej. No a osadzenie ich grubszą stroną w dół, to już prosta logika – tak są stabilniejsze...

Niewykorzystany mózg

Dość powszechne jest przekonanie, że wykorzystujemy tylko część możliwości swojego mózgu: połowę, nieokreśloną część, a nawet 10 proc., czyli raptem jedną dziesiątą! Nie do końca wiadomo, skąd wziął się taki pomysł. W swoim eseju Eric Chudler podaje jako jedną z możliwości, że być może pomysł o wykorzystywaniu drobnej części mózgu powstał w wieku dziewiętnastym, kiedy to dyskutowano poważnie nad tematem: czy w mózgu istnieją określone ośrodki odpowiedzialne za jego działanie, czy też pracuje on jako całość. Jednym z argumentów na korzyść tej drugiej teorii były doświadczenia Marie-Jean-Pierre Flourensa, który chirurgicznie usuwał części mózgu gołębiom i wykazywał, że tzw. deficyty zwiększały się wraz ze zwiększaniem się powierzchni usuniętej części mózgu. Idąc za tymi doświadczeniami i próbując dowiedzieć, że pamięć jest rozłożona w mózgu równomiernie, Karl Spencer Lashley wykonywał podobne doświadczenia na szczurach. Jego eksperymenty dowiodły, że nawet



Rys. Leszek Ołdak

duże braki w tkance mózgowej nie zaburzały szczurzych umiejętności – np. zdolności odnajdywania drogi w labiryncie. Dopiero uszkodzenia przewyższające określony, całkiem wysoki limit dawały widoczne zaburzenia w szczurzym zachowaniu. Na przykład w eksperymencie, wykonanym w roku 1935, Lashley dowiódł, że określone typy uczenia się szczurów nie były zaburzone nawet przy usunięciu 58 proc. tkanki mózgowej! Całkiem prawdopodobne jest, że właśnie te eksperymenty były źródłem prezentowanej tu nadinterpretacji, że jedynie mała część mózgu jest w ogóle użytkowana. Oczywiście, jest to nadinterpretacja – testy sprawdzające zachowanie szczurów były stosunkowo proste, a nasza dzisiejsza wiedza wskazuje, że za proste umiejętności może odpowiadać określony region mózgu – w skrócie, że tkanka, którą Lashley usuwał, nie odpowiadała akurat za umiejętności, które testował.

Mimo to w wielu wypowiedziach publicznych prezentowano ideę o wykorzystywaniu przez człowieka tylko niewielkich możliwości mózgu – byli to na przykład psycholog William James, fizyk Albert Einstein czy antropolożka Margaret Mead. Owszem, osoby znane i sławne, natomiast niemające przygotowania z neurologii. I tak historia poszła w świat.

Owych 10 proc. nie zdołały zwalczyć nawet całkiem nowoczesne badania tomograficzne (pojawiły się tylko ewentualne odmiany mitu, czyli twierdzenia, że 10 proc. mózgu wykorzystujemy jedynie w danej chwili), ponieważ ich wyniki, prezentowane szerokiej publiczności, pokazują raczej różnice w czynności mózgu, a nie jego czynność w ogóle. Na tej zasadzie, przy wykonywaniu określonego zadania, niektóre części mózgu na obrazie tomograficznym przedstawiane są jako kolorowe czy jaśniejsze, co pokazuje, że owa część mózgu jest bardziej czynna niż inne. Nie znaczy to jednakże, że reszta mózgu jest całkowicie nieczynna! Wystarczy inaczej ustawić poziom zakolorowania wykresu tomograficznego, a okaże się, że inne części mózgu też są czynne.

Przekaz o małym wykorzystaniu ludzkiego mózgu jest bardzo cenny dla rozmaitych guru, którzy wyciągają od ludzi pieniądze, sugerując, że zdołają ich nauczyć pełnego wykorzystania mózgowych możliwości (co ma oczywiście prowadzić do wielkiego sukcesu i ogólnej szczęśliwości). Wykorzystuje się to także w reklamach, w charakterze barwnego ozdobnika (wykorzystujesz tylko 10 proc. mózgu, a my wykorzystujemy cały samolot!). Oczywiście nikt się nie zastanawia nad tym, dlaczego w takim razie człowiek po uszkodzeniu mózgu praktycznie zawsze zauważa różnicę w swoich możliwościach, tak umysłowych, jak i fizycznych (niedowładny, afazja).

Pewien student medycyny zapytał profesora o to, czy rzeczywiście wykorzystujemy jedynie 10 proc. swojego mózgu. Profesor spojrział na niego z niejaką niechęcią i podsumował: – Pan może i tak, ale ja na pewno nie!

Żona Nobla i matematyka

Pewnie i Państwo słyszeli o tym, że Nagrody Nobla w dziedzinie matematyki nie ma, ponieważ Nobel odczuwał głęboką niechęć do tej dziedziny i ludzi ją uprawiających, a powodem tej niechęci był romans, jaki jego żona miała z matematykiem.

Tymczasem problem z tą rozpowszechnioną argumentacją zaczyna się już na bardzo podstawowym poziomie, ponieważ Alfred Nobel nie był żonaty. Miał natomiast kochankę, długoletnią. Rzecz w tym, że nie ma żadnych doniesień o tym, aby splamiła się ona jakimkolwiek romanssem. Podobnie nie ma żadnych wiarygodnych śladów na temat innej wariacji mitu, tj. uwiedzenia mu narzeczonej.

Pojawiają się też pomysły innych, prywatnych źródeł niechęci Nobla do matematyków, a za głównego winowajcę niejednokrotnie uznaje się znanego szwedzkiego matematyka, Gostę Mittag-Lefflera. Problem w tym, że ci dwaj panowie najprawdopodobniej się w ogóle nie znali – Nobel wyemigrował ze Szwecji, kiedy matematyk był jeszcze studentem i wracał do niej tylko raz w roku, w dniu urodzin swej matki (mieszkał w Paryżu). Jakie więc powody niezaliczenia matematyki w poczet nauk nagradzanych Nagrodą Nobla można uznać za prawdopodobne?

Przede wszystkim trzeba pamiętać, że Nobel w swoim testamencie określił, że nagrody przyznawane są osobom, które *w danym roku najbardziej przysłużyły się dobru ludzkości*. Dlatego też dziedziny, jakie wyspecyfikował, to fizyka, chemia, medycyna, literatura i działalność pokojowa, wybrane pod kątem *poprawy jakości życia ludzkiego*. Testament precyzował też, że w naukach miała to być nagroda za odkrycia i wynalazki. Matematyka, jako dziedzina teoretyczna, do tej ogólnej idei zupełnie nie pasowała. Swoją drogą należy też zwrócić uwagę, że tzw. Nagroda Nobla z ekonomii nie jest nagrodą *stricte* noblowską – została ona dodana przez Bank Szwecji w roku 1969.

Dodatkowym powodem niechęci do ustanowienia nagrody za osiągnięcia w matematyce mogło być i to, że takowa nagroda już w Szwecji istniała. Na prośbę wspomnianego już słynnego matematyka szwedzkiego Gosty Mittag-Lefflera przyznawał ją król szwedzki, Oskar II, a laureatami jej byli tak słynni matematycy, jak Weierstrass czy Poincare. Ustanawianie własnej, rywalizującej z królewską, nagrody mogło wydawać się Noblowi... lekko niepolityczne.

Nagrody Nobla jako działające na wyobraźnię obrosły zresztą wieloma mitami. Jeden z nich to powszechne przekonanie, że Albert Einstein dostał Nobla za teorię względności (nie precyzuje się zazwyczaj, którą z nich). To przekonanie jest nieprawdziwe – decyzja komitetu mówi, że nagroda jest przyznana za całokształt działalności, *ze szczególnym uwzględnieniem wyjaśnienia efektu fotelektrycznego*. Ponieważ to właśnie wyjaśnienie było jedną z podwalin teorii kwantów, mocno później przez Einsteina zwalczanej (słynne

stwierdzenie o Bogu, który nie gra w kości), to trzeba powiedzieć, że jest to piękny przykład ironii losu.

Wielki Mur Chiński

Wielki Mur Chiński nie jest zasadniczo jednolitym obiektem. Składa się na niego wiele drobniejszych murów, często swym przebiegiem uwzględniających położenie rozmaitych pasm górskich na południowym krańcu Wyżyny Mongolskiej. Sumarycznie jego długość wynosi około 1500 mil (2400 kilometrów). Pierwsze fortyfikacje w tej okolicy wybudowano już w trzecim wieku p.n.e., natomiast budowa właściwego muru to dzieło dynastii Ming (1388–1644 n.e.). Fortyfikacje miały do 7 metrów wysokości, od 5 do 10 m szerokości na dole, a 2,5–3,5 na górze, pozwalając na przemarsz nimi żołnierzy lub też przejazd wozów. Ponieważ fortyfikacje nie stanowiły ciągłej linii, atakujący Mongołowie mogli je po prostu obejść, co spowodowało ostatecznie uznanie nieskuteczności militarnej muru. Okazał się on jednak prawie od razu wielką atrakcją... turystyczną i jego legenda rosła z dziesięciolecia na dziesięciolecie. W dwudziestym wieku został odrestaurowany i wpisany na Listę dziedzictwa światowego.

Ta ogromna budowla niejednokrotnie określana jest jako jedyne dzieło ludzkich rąk widoczne z... i tu problem. Twierdzenia są różne, bywa to orbita, Księżyc czy też po prostu przestrzeń kosmiczna. Źródło idei jasne nie jest, ale na pewno bardzo mocno teza była propagowana przez lata we wszelakich chińskich podręcznikach (w zasadzie jest tak do dzisiaj, acz do rewizji poglądów wezwał już nawet chiński kosmonauta – można poczytać o tym na stronie BBC: <http://news.bbc.co.uk/2/hi/asia-pacific/3505040.stm>). Oczywiście, z naprawdę niskiej orbity widać pewnie i mur, ale też z niej widać zasadniczo wszystko (w celu sprawdzenia można zajrzeć na stronę NASA: http://www.nasa.gov/mission_pages/station/main/iss_top_10.html, gdzie na zdjęciach satelitarnych widać np. dym unoszący się 11 września nad zburzonym wieżowcem Twin Towers) – na bazie zdjęć z satelity stworzony jest przecież znakomity serwis <http://maps.google.com/>. Oczywiście, można stwierdzić, że te zdjęcia mają większą rozdzielczość niż widać, tj. niż może ocenić człowiek. No cóż, niestety – sprawdzenie okolic Pekinu na maps.google.com wykazuje bezsprzecznie, że w rozdzielczości, w której widać coś, co prawdopodobnie jest Wielkim Murem, bądź też jego kawałkiem, widać też spokojnie całe urządzenia portowe i ogólnie każdą liczbę tworów ludzkich. Mała widoczność muru jest związana z tym, że jest on zasadniczo nasypem ziemnym, porośniętym trawą i nie odróżnia się dla oka ludzkiego od otaczającej go zieleni. Twierdzenia o widoczności muru z Księżycza nie da się, naturalnie, obronić w ogóle – stamtąd Ziemia wygląda na całkiem dziewiczą, bez śladów ludzkiej działalności. Natomiast, owszem, Wielki Mur Chiński nieźle widać, nawet z orbity, ale w zakresie

fal radiowych, co łatwo zauważyć na zdjęciach radarowych: <http://www.jpl.nasa.gov/radar/sircxsar/gwall.html>.

Liczba zmarłych i żyjących

Propagatorzy idei bomby demograficznej twierdzą, że w dzisiejszych czasach żyje na Ziemi więcej ludzi, niż żyło przez cały czas istnienia człowieka. By ocenić, jak się ma to stwierdzenie do prawdy, należy wpięrcz zdecydować, kto jest już człowiekiem, a kto jeszcze nie. Nawet i wtedy można jedynie oszacować liczbę ludzi już zmarłych, a oszacowania owe są bardzo niepewne. Trzeba jednak powiedzieć, że prawie na pewno liczby zmarłych i żyjących wyrównują się już, jeżeli wziąć pod uwagę czas od wybudowania piramid egipskich, czyli ostatnie 5000 lat. Jeżeli ocenić, jak się zazwyczaj przyjmuje, że człowiek współczesny pojawił się 40–45 tysięcy lat temu, to niezależnie od typu szacowania zmarli zdecydowanie dominują – ocenia się, że od tych czasów zmarło między 12 a 110 mld ludzi. Większość demografów ocenia liczbę zmarłych na około 60 mld, co wskazuje na to, że jeszcze długo na każdego z żyjących będzie wypadało kilku zmarłych przodków, a najprawdopodobniej i na zawsze tak zostanie.

Deborah Skinner i wychowanie w pudełku

Burrhus F. Skinner (1904 - 1990) był znanym amerykańskim psychologiem behawiorystą. Badał wpływ otoczenia na zachowanie się (tak zwierząt, jak i ludzi), bazując na założeniu, że decydującym wpływem na nie jest uczenie się. Sugerował, że tzw. wzmocnienia pozytywne i negatywne jako konsekwencje zachowań wpływają na częstość występowania tych zachowań w przyszłości i zalecał stosowanie ich także w wychowaniu ludzi i ich ogólnym dopasowaniu do zasad społecznych. Nie zalecał stosowania kar, ponieważ wykazywał, że powodują one raczej krótkotrwałe zmiany zachowania i nie likwidują działań niepożądanych – wzmocnienia pozytywne czy negatywne (będące raczej pozbawieniem nagrody niż zastosowaniem kary!) podawał jako znacznie bardziej skuteczne. Twierdził, że stosowanie kar (np. więzienia) nie zmienia postępowania kryminalistów, którzy – nadal popełniając przestępstwa – zmieniają tylko zachowania tak, aby uniknąć zdemaskowania, a przez to i kary.

By dowieść prawdziwości swych tez, przeprowadził wiele interesujących doświadczeń. Jednym z najbardziej znanych i najciekawszych było wygenerowanie przesadnych gołębi. Gołębie, trzymane w pudełku, karmiono w absolutnie losowych odstępach czasu. Zachowania, jakie gołębie (zupełnym przypadkiem) wykonywały tuż przed karmieniem były wzmacniane, w wyniku czego gołębie zaczynały je powtarzać. Jeden z nich wykształcił kilkakrotne obracanie się w kierunku

ku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, inne dwa kołysały się na boki, jeszcze inny wsadzał głowę w róg klatki („Superstition’ in the Pigeon”, B. F. Skinner, *Journal of Experimental Psychology* 38, 1947). Można tutaj znaleźć wiele analogii między gołębiami a zachowaniami ludzkimi...

Skinner był naukowcem dość kontrowersyjnym. Głównie dlatego, że ze swoich doświadczeń wyciągał wnioski co do tego, jakimi metodami należałoby odpowiednio zorganizować społeczeństwo ludzkie. Był też deterministą absolutnym, sugerując całkowite uzależnienie zachowania ludzkiego od bodźców środowiskowych. Jego przeciwnicy wyjaskrawiali i przeinaczali jego tezy, dochodząc nawet do zarzucania Skinnerowi propagowania totalitaryzmu.

Kontrowersyjność Skinnera jako naukowca wpłynęła zapewne na przyjęcie się w świecie nieco przerażającej legendy, jakoby psycholog wykonywał doświadczenia także na swoich dzieciach, wychowując je w pudełku (takim jak w eksperymencie na gołębiach) i badając ich rozwój za pomocą specjalnie dobranych zabawek i ewentualnych pieszczot. Odnosić się to miało szczególnie do jego młodszej córki Deborah. Według plotek w wyniku powyższych eksperymentów wyrosła ona kompletnie spaczona psychicznie, wystąpiła do sądu przeciwko ojcu, po czym popełniła samobójstwo.

Skąd wziął się ten straszliwy pomysł? Nieco z rzeczywistości, ponieważ Skinner wymyślił rzeczywiście pudełko dla dziecka, częściowo szklane – pomysł na ostre zimy w Minnesocie. Pudełko Skinnera było łóżeczkiem-kojcem z ogrzewanym powietrzem w środku, przystosowanym do tego, żeby dziecko mogło się tam bawić czy też spać półnagie. Oczywiście Deborah ani nie przebywała w czymś takim na okrągło, ani też nie była tam kompletnie odizolowana – docierały do niej dźwięki, kojec miał szklaną obudowę przez którą mogła patrzeć... Skinner uznał, że jest to doskonały i wart propagowania pomysł, a „Ladies Home Journal” wydrukował jego artykuł, dość nieszczęśliwie zatytułowany *Baby in a Box (Dziecko w pudełku)*. Skojarzenie z eksperymentalnymi pudełkami nastąpiło bardzo szybko, a plotka nabrała kształtów metodą kuli śnieżnej. Co zabawne, najbardziej efektowne elementy (o szaleństwie Debory chociażby) zaczęły krążyć w czasach, kiedy dziewczynka już dorosła. Nie działały żadne sprostowania. Legenda dotrwała do dnia dzisiejszego, wzmacniana przez całkiem poważne jej przywoływanie podczas kursów psychologii w szkołach i na studiach.

Gazetowa nauka

Wspomniałam na wstępie, że niekiedy źródłem (a na pewno sposobem propagowania) wielu mitów naukowych są media – gazety, radio, telewizja. Także, a może nawet i zwłaszcza, ich działy naukowe. W dzisiejszych czasach dzielnie im sekunduje Internet, będący oprócz źródła wiedzy - doskonałym źródłem mi-

tów. Dowiodła tego m. in. dziennikarka Lisa Holst, puszczając w obieg wymyślone przez siebie „fakty”; jednym z nich było twierdzenie, jakoby statystyczny człowiek połykał w ciągu roku osiem pająków. Ku jej ogromnemu rozbawieniu historia się przyjęła, jak najbardziej.

Trzeba pamiętać, że znakomita większość dziennikarzy nie ma wykształcenia ani specjalnej wiedzy w zakresie przedmiotów ścisłych, a ci, którzy ją mają, niekoniecznie pracują w dziale „Nauka”. W efekcie dziennikarze relacjonują, co oni sami z jakichś publikacji (bardzo rzadko naukowych, częściej popularno-naukowych) zrozumieli, wprowadzając mnóstwo zafałszowań. Jednym z najpopularniejszych zafałszowań jest pogoń za modnymi dziedzinami i wielkimi przełomami w nich – niejednokrotnie mi się zdarzało, że dowiadywałam się np. o nowym, wspaniałym pomysle na fuzję jądrową, który – jako specjalista z dziedziny plazmy – znałam od lat, a o którym wyraźnie dany dziennikarz świeżo się dowiedział i chciał nim zachwycić czytelników.

Bardzo popularnym grzechem gazetowym jest publikowanie niesprawdzonych wyników. Trzeba pamiętać, że opublikowanie rezultatów jakiegoś eksperymentu, zwłaszcza rzeczywiście nowego i przełomowego, w czasopiśmie naukowym nie jest jeszcze absolutnie pewnym dowodem jego prawdziwości. Eksperyment wymaga bowiem sprawdzenia przez społeczność naukową, czyli, innymi słowy, powtórzenia przez inne laboratoria. Zawsze, nawet przy publikacji w świetnym miejscu i przy trzykrotnym sprawdzeniu zawartości logicznej przez recenzentów, może się okazać, że jednak wyniki były fałszywe, czy też że nie uwzględniono jakiegoś czynnika. I co wtedy? W prasie fachowej ukazują się sprostowania, poprawki, następne publikacje (cudze), wykazujące błąd. A w prasie niefachowej? Absolutnie nic. Zazwyczaj gazety zwyczajnie o przypadku zapominają (tak najdalej po tygodniu). I pojawia się ogólne przekonanie, że te doświadczenia naukowe, to jakaś szemrana sprawa, niby są, a potem znikają i żadnych konsekwencji nie mają (bardzo widoczne w przypadku doniesień z dziedziny medycyny, które wzbudzają w ludziach najwięcej emocji).

Dziennikarze też, co łatwo zauważyć po przyjrzeniu się artykułom, uwielbiają kopiować artykuły z gazety do gazety, gubiąc odnośniki do literatury i wyostrzając wszelkie twierdzenia. Jeżeli np. w „Świecie Nauki” coś jest podane jako przypuszczalne, hipoteza, domysł, to już w gazecie codziennej ukaże się jako pewne, znakomite odkrycie, autorstwa jakichś bliżej nieokreślonych naukowców (*amerykańscy naukowcy dowiedli*). Bardzo powszechne jest oczywiście pomijanie danych liczbowych czy też dodawanie określeń w stylu: *lekarstwo na wszystko, straszliwa trucizna*. Niestety, znacznie lepiej sprzedają się emocje niż informacje.

Tomasz Bugaj

Zesłani za wiarę

Świadkowie Jehowy na Syberii

Historia prześladowań Świadców Jehowy przez sowiecki system totalitarny jest dotąd mało znana – nawet wśród specjalistów. Bo czy wiadomo na przykład, że miały miejsce dwie masowe deportacje wiernych tego wyznania, którzy zamieszkiwali dawne Kresy Wschodnie? Albo że za swe przekonania trafiali do więzień i łagrów? Badania terenowe, jakie prowadzę od 2010 roku w krajach byłego Związku Radzieckiego pozwalają dotrzeć do unikalnych informacji związanych z tamtejszymi wydarzeniami. W trakcie wywiadów narracyjnych miałem możliwość oglądać świat widziany oczyma uczestników zdarzeń, a więc głównie ofiar różnych represji. Optyka ta pozwala przybliżyć się do prawdy o przeszłości społecznie zapomnianej lub przemilczanej. Zestawienie opowiadań wspomnieniowych z archiwalnymi dokumentami KGB, materiałami propagandowymi oraz nielicznymi opracowaniami naukowymi daje możliwość odtworzenia chociażby fragmentów minionej rzeczywistości.

W ciągu ostatnich dwóch lat starałem się dotrzeć między innymi do osób, które były zsyłane na Syberię w wyniku skrzętnie zaplanowanych i przeprowadzonych deportacji z 1949 i 1951 roku. Sam Józef Stalin podpisał dokument nakazujący przeprowadzenie operacji wysiedlenia Świadców Jehowy, która odbyła się w marcu 1951 roku pod kryptonimem *Północ*. Tysiące rodzin w ciągu jednej nocy wywożono na dworce kolejowe i odprawiano na *białe niedźwiedzie* – jak mawiali żołnierze tworzący konwój. W związku z tym, że w latach 60-tych po zwolnieniu ze *speckomendatury* nie pozwolono im wrócić w rodzinne strony, wierni rozproszyli się po różnych zakątkach Związku Radzieckiego – zabierając z sobą wspólną historię związaną z represjami. Zbierając materiały dotarłem do deportowanych, którzy żyją obecnie w odległości kilku tysięcy kilometrów w przestrzeni siedmiu stref czasowych. Pierwsze wywiady przeprowadzałem w Kaliningradzie i Sowiecku nad Bałtykiem, kolejne w okolicach Irkucka nad Baj-

kałem, a dwa miesiące temu nagrywałem opowiadania wspomnieniowe nad Morzem Czarnym w okolicach Teodozji. W sumie w ciągu ostatnich dwóch i pół roku przebyłem tysiące kilometrów i przeprowadziłem kilkadziesiąt wywiadów w sześciu państwach: Rosji, Białorusi, Ukrainie, Mołdawii, Estonii i Łotwie.

Jedną z moich ekspedycji badawczych odbywała się w czerwcu 2011 roku na Syberii. Pamiętam, że gdy wylądowaliśmy w Irkucku około 6 rano, było tylko 2 stopnie ciepła. Ale już w południe termometr pokazywał 26 stopni. Lato jest tam bardzo krótkie i dość intensywne – czasem pomidory nie zdążą dojrzeć, a już spada śnieg. Gdy jechaliśmy z lotniska z niedowierzaniem patrzyłem na drogowskazy, które pokazywały drogę do sąsiednich większych miast: Krasnojarsk – tylko 1065 km; Nowosybirsk – 1850 km; Omsk – 2550 km... Dla mieszkańców Syberii wyjazd na zakupy do odległego o 500 km miasta nie jest niczym nadzwyczajnym. Sam mogłem się przekonać, że odległość mierzona jest tam inaczej. Po przeprowadzonym wywiadzie ktoś z Angarska polecał mi odwiedzić po sąsiedzku jeszcze kilka rodzin zesłańców: *Tu, niedaleko, jakieś 300 kilometrów i będziesz u nich*.

Przygotowując się do pozyskiwania narracji, zastanawiałem się, czy spotkania z prześladowanymi niegdys ludźmi nie będą dla obydwu stron wyczerpują-



Dmitrij i Hala Liwyj oraz Rozalia Kostyrko w Sali Królestwa w Centralnym Chazaniu (2011 r.)



Świadkowie Jehowy wysiedleni z Mołdawii (1952 r.)

ce emocjonalnie i czy rozmówcy zechcą powracać do trudnej dla nich przeszłości. Jak się jednak okazało, moje obawy były bezpodstawne. Zesłani za wiarę Świadkowie Jehowy, mieszkający do dziś na Syberii to w większości ludzie niezwykle pogodni, otwarci i co ciekawe – nadal szczęśliwi. Owszem, wielu opowiadaniom towarzyszyło wzruszenie i łzy. Na przykład wtedy, gdy Wiktor Popowicz z Angarska opowiadał, jak jego matkę będącą w ciąży aresztowano i uwięziono za to, że głosiła swe przekonania. Urodził się więc w więzieniu w Czerniowcach na Ukrainie, a gdy skończył pół roku odebrano go matce i oddano do domu dziecka, a ją zesłano na dziesięć lat do łagrów. Miał mieć zmienione nazwisko i zostać adoptowanym przez obcych ludzi. W ostatniej chwili ktoś z rodziny – nie będący Świadkiem Jehowy – wy dostał go stamtąd i odwiózł do ojca, który odbywał karę na Syberii. Obraz matki powracającej z łagru na zawsze wrył się w jego pamięć – miał wtedy siedem lat, a mamę zwolniono wcześniej za wzorowe zachowanie. Wtedy ujrzał ją po raz pierwszy – umęczoną, ale jednocześnie szczęśliwą, bo pozostała wierna swym zasadom... Takich historii nie da się opowiadać bez emocji. Nie mniej jednak mają one dość pozytywną wymowę oraz niosą pewną prawdę, iż nic nie jest w stanie wydrzeć z serca człowieka głęboko ludzkich wartości i zasad, a bycie wiernym samemu sobie na dłuższą metę przynosi ogromne korzyści.

Kilka dni w trakcie mojej wyprawy spędziłem w Centralnym Chazaniu – wiosce, która stanowiła miejsce docelowe dla wielu wysiedlonych. Ta niewielka

miejsowość (1,5 tys. mieszkańców) zatopiona jest w tajdze i swe istnienie w dużej mierze zawdzięcza ciężkiej pracy zesłańców. W 1951 roku znalazło się tam wiele rodzin Świadków Jehowy i od razu powstał zbór. Dziś w centrum wioski znajduje się Sala Królestwa, lecz niegdyś spotkania, w trakcie których studiowano Biblię urządzano konspiracyjnie w domach wiernych, a czasem odbywały się na małej polanie w pobliskim lesie. Chcieliśmy zobaczyć to miejsce, a nasi rozmówcy zgodzili się nas oprowadzić po okolicy. Ogromną zmurą są tam komary i drobne muszki, które sprawiły, że szybko zrezygnowaliśmy jednak z dłuższego spaceru. Oczywiście, w Chazaniu nie było żadnego hotelu lub innej noclegowni, ale nie stanowiło to problemu – zostaliśmy zaproszeni do skorzystania z gościnności jednej z tamtejszych rodzin, wysiedlonej z Zachodniej Ukrainy. Przywitano nas barszczem i pierogami, a wieczorem jedliśmy pieczone na ogniu szaszłyki. Swojskie mleko, ser, marchewka starta drobno i dodana do śmietany – tak wyglądało śniadanie. Jednak największe wrażenie robiła na nas herbata z ziół i traw zbieranych w okolicy, która – osłodzona miodem pochodzącym z gór Altaju – nabierała aromatu wiosennej łąki. Częstowani byliśmy również innymi przysmakami: marynowaną paprocią, zupą rybną, chłodnikiem, czeburekami czy blinami.

Naszymi gospodarzami w Chazaniu byli Hala i Dmitrij Liwyj (oboje przekroczyli osiemdziesiątkę) oraz najmłodszy z ich synów Misza, który pracuje w tamtejszym szpitalu. Hala mimo wieku jest bardzo aktyw-

na – opiekuje się gospodarstwem, dba o męża, a w niedzielne popołudnie bierze Pismo Święte do ręki i idzie rozmawiać z ludźmi o Bogu. Za to właśnie niegdyś zostali tu zesłani. Dmitrij stracił już wzrok, ale pamięć nadal go nie zawodzi. Zesłanie na Syberię nie ostudziło jego duchowej aktywności. Kontynuował działalność religijną na nowych terenach, za co trafił do łagrów. W trakcie wywiadu okazało się, że świat jest bardzo mały. Otóż dwa miesiące wcześniej we Lwowie nagrywałem wywiad z Romanem Diduchem, który ze Świadcami Jehowy spotkał się w łagrze i tam przyjął ich wiarę oraz dał się ochrzcić. Gdy Dmitrij opowiadał o pobycie w łagrach wspominał współwięźniów, którzy byli pod wrażeniem postawy i zachowania Świadców Jehowy, a nawet przyjmowali tam chrzest. Okazało się, że to on właśnie przekazywał prawdy biblijne Romanowi, a potem w trakcie prac przy budowie mostu ochrzcił go przez zanurzenie w wodzie.

Ustne narracje wspomnieniowe zesłańców zestawione z materiałami archiwalnymi – w postaci korespondencji partyjnej, tajnych not, stenogramów, projektów, planów, donosów – stwarzają możliwość pełniejszego oglądu wydarzeń związanych z przymusowymi wysiedleniami z 1949 i 1951 roku. Relacje uczestników zdarzeń stają się właściwie uzupełnieniem przemilczeń z

innych źródeł.

Według słów naocznych świadków akcja wysiedlenia była przeprowadzana błyskawicznie – nocą pod domy wiernych podjeżdżały wojskowe samochody, żołnierze z psami i z karabinami okrążali obejście i przeprowadzali rewizję, dając domownikom kilka godzin na spakowanie się. Z oficjalnych, archiwalnych materiałów wynika, iż wszystko odbywało się w sposób niezwykle humanitarny, a wysiedlanym umożliwiono zabrać część dobytku. Zgodnie z postanowieniem Rady Ministrów z 3 marca 1951 roku *O przesiedleniu aktywnych działaczy antyradzieckiej nielegalnej sekty jehowitów i członków ich rodzin zamieszkujących w zachodnich okręgach Ukraińskiej i Białoruskiej SRR, Mołdawskiej, Łotewskiej, Litewskiej i Estońskiej SRR* deportowani mieli prawo wziąć z sobą należące do nich dobra, przedmioty domowe (odzież, naczynia, drobny rolniczy i rzemieślniczy sprzęt) i zapas żywności na każdą rodzinę do 1500 kilogramów. Tymczasem tylko niektórym udało się zabrać z sobą nieco więcej niż najpotrzebniejsze rzeczy osobiste. Jedną z uczestniczek tych wydarzeń tak je wspomina: *Z wysiedlenia pamiętam, że zabrali nas z domu. Wszystko zostawiliśmy. Nie pozwolili nam zabrać ze sobą najpotrzebniejszych rzeczy, nawet pościeli nie można było. (...)*



Zesłane kobiety pracujące w kolchozie (połowa lat 50.)

Właściwie wywieźli gołych i bosych. Kiedy nas wywozili do centrum wioski, aby nas posadzić na samochody i odwieźć już do pociągu, to widzieliśmy, jak na wiosce u niektórych naszych zabijają kury, zarzynają świnię. Taki konwój im się trafił, a nam trafił się taki, że nie mogliśmy wziąć niczego. (...) A potem nasze ciocie, kiedy usłyszały – krzyczały za nami. (...) One nie były Świadcami. Podchodziły. Niektóre coś rzucały do samochodu – to bochenek chleba. Ludzie patrzyli, jak na widowisko. Tysiące rodzin zabierano z domów, które były konfiskowane i przechodziły na własność państwa. Na ich oczach dokonujący wysiedlenia rozdzielali między siebie sprzęt domowy i przedmioty osobiste, których nie pozwolono spakować.

Co ciekawe, zaraz po wtargnięciu do domów wiernych, byli oni informowani o możliwości uniknięcia zsyłki, jeśli zgodzą się podpisać przygotowane oświadczenie, iż wyrzekają się swych przekonań religijnych, uważają je za błędne i są gotowi do dalszej współpracy z władzami. Jednak dla członków tego wyznania była to zbyt wysoka cena za wolność: *Oni mamie powiedzieli: poczekaj, my wywieziemy cię na białe niedźwiedzie. Ty zapomnisz o Bogu i zapomnisz o Jezusie Chrystusie. A mama im, ja pamiętam, jak mama im mówiła: póki moje serce bije w piersi, nigdy nie zapomnę! I tam, mówi, my nie przepadniemy, gdzie nas zawieziecie – opowiadała będąca wtedy dzieckiem Kristina Zvaigzne.*

W korespondencji partyjnej podawano, iż przygotowane zostały odpowiednie wagony, przystosowane do długiej podróży oraz zabezpieczono żywność i opiekę medyczną. Tymczasem na dworcach na wysiedlanych czekały wagony towarowe lub bydłce, do których stłaczano nawet po 70 osób.

Podróż trwała na ogół przeszło dwa tygodnie, a w niektórych przypadkach nawet ponad miesiąc. Wagon od samego początku był zagospodarowywany, rozmieszczano w nim bagaże, z desek zbijano prycze, odgradzano zaimprovizowaną toaletę, uruchamiano piecyk (jeśli został dostarczony). Towarowe i bydłce wagony przechodziły przeobrażenie. Na jakiś czas wagon stał się namiastką domu. Wszyscy pasażerowie mieli do niego takie same prawo, nie przewidziano wyższej klasy dla bogatszych. Była to przestrzeń wyraźnie określona i ograniczona, zamknięta przesuwanymi drzwiami. Wąskie okienka u góry, blaszany dach, drewniane podłoga i ściany. Surowa i obca rzeczywistość, którą próbowano oswoić na różne sposoby.



Leonila Zauliczna, zesłana z Białorusi, mieszka dziś w Żabince

W notatce sprawozdawczej z przebiegu operacji *Północ*, adresowanej do ministra Sergieja Krugłowa z dnia 4 maja 1951 roku, oznaczonej klauzulą *Ścisłe tajne* donoszono: *W drodze specjalny kontyngent jest regularnie zaopatrywany (...), w trakcie podróży nie było skarg. Pasażerowie jadący tymi pociągami opowiadają tymczasem o braku wyżywienia i odpowiednich warunków sanitarnych. Mieszkancka Łotwy tak wspominała tę podróż: Wielu po drodze umierało, nie przeżywali. (...) Nikt nas tam nie leczył. Była jeszcze siostra, która dopiero co się urodziła mojej mamie, miała tylko trzy tygodnie. I ona zachorowała. Biegunka, biegunka, cały czas biegunka i pieluch nie ma gdzie suszyć. Tak było. Ale ona przeżyła, ale tam, na Syberii, niedługo pożyła.*

Przybycie na stację docelową nie oznaczało wcale zakończenia podróży. Kolejny jej etap odbywał się innymi środkami transportu: traktorami, samochodami ciężarowymi lub saniami. Wyładunkowi zesłańców i postojowi na stacjach kolei transsyberyjskiej towarzyszyła atmosfera przypominająca według mnie atmosferę targu niewolników. Na zesłańców czekali już „nabywcy”. Na dworcach krzatali się przedstawiciele kolchozów lub fabryk, którzy wśród przywiezionych wyszukiwali pracowników posiadających określone kwalifikacje zawodowe. Najchętniej wybierano mężczyzn, którzy byli młodzi, zdrowi i silni. Potrzebowano siły roboczej do realizacji wytyczonych planów w którymś z państwowych gospodarstw. Zaś rodziny wielodzietne, dziadkowie z wnukami, matki z dziećmi pozostawały dla tych, którzy nie zdążyli dojechać na czas rozładunku lub zapomniano ich jeszcze poinformować. Dla kierujących kolchozami byli oni nie tylko mało wydajnymi robotnikami, ale też stano-

wili pewien kłopot – należało im zapewnić jakieś miejsce do spania. W najlepszym wypadku trafiali do baraku, w którym do spółki z kilkoma rodzinami pozwolono im zająć jedno pomieszczenie.

Baraki, jak żartowali moi rozmówcy, były urządzone w stylu baroku. Duże pomieszczenie z wąskimi pryzkami i ewentualnie piecyk, na którym w puszcze po konserwie próbowano podgrzać coś do jedzenia. W jednej izbie mogło żyć nawet kilka rodzin. Pamiętam, jak te warunki bytowe opisywał wysiedlony z Mołdawii Dmitrij Hurica. Wraz z żoną przydzielono mu pokój, który miał dzielić z kolegą i jego żoną oraz zupełnie obcą kobietą wraz z jej synem. Nie było mowy o jakiegokolwiek intymności. Najtrudniej było mu jednak wtedy, gdy po paru miesiącach pracy otrzymał z kołchozu – podobnie jak i współlokator – wypłatę w postaci jednego prosiaka i dziesięciu kur. Cały ten inwentarz – w związku z tym, że trwała syberyjska zima – musiał znajdować się w ich wspólnym pokoju. Dmitrij z uśmiechem wspomina, że najgorzej było z prosiakiem kolegi, bo nie chciał spać nocą i głośno kwiczał przeskadzając innym.

Leonila Zauliczna pochodząca z Białorusi wspominała: *Umieścili [nas] w barakach, był wspólny piec na trzy – cztery rodziny. Jeden pokój, nas było osiem w tym pokoju. (...) Latem do kołchozu jeździliśmy; zimą odgarnialiśmy śnieg. Potem wywoziliśmy śmieci. (...) Brakowało pieniędzy. Cukru nie było.* Syberyjska codzienność potęgowała tęsknotę za rodzinnym domem. Oficjalna wersja zdarzeń brzmiała jednak nieco inaczej. Na przykład w jednym ze sprawozdań Iwana Żytowa, pełnomocnika do spraw religii przy Radzie Ministrów ZSRR, z 30 czerwca 1956 roku o sytuacji Świadków Jehowy na Syberii napisano: *Żyją oni w dobrze urządzonych mieszkaniach i barakach, zarabiają dużo pieniędzy. (...) Dano [im] pełną możliwość pracować, uczyć się, leczyć, korzystać z kultury, chodzić do teatru, kina, klubu, brać udział w amatorskiej twórczości artystycznej...*

Zesłani, jak pisze Wiktor Ziemsko, tworzyli grupę, z której najtrudniej było zdjąć ograniczenia, gdyż nie patrząc na zakaz działalności i liczne kary nadal kultywowali swe zwyczaje religijne. Zostali zwolnieni dopiero w latach 60-tych, jako jeden z ostatnich kontyngentów. Nie znaczy to jednak, że ich sytuacja w socjalistycznym państwie uległa poprawie. Aż do 1991 roku byli wyznaniem zakazanym, nie posiadającym osobowości prawnej, którego członkowie poddawani byli naciskom. Gdy pytałem o formy represji, moi roz-



Mołdawscy zesłańcy w roku 2011 (Kamieniec Podolski)

mówcy najczęściej wymieniali: grzywny i przerywanie spotkań religijnych, sądy pokazowe, rewizje, szantaż, wyszydzanie i pobicia, konfiskata mienia, odbieranie dzieci do domów dziecka, zwalnianie z pracy i uniemożliwianie zdobycia wykształcenia.

Niektórzy historycy, jak Konstantyn Berezko z Ukrainy, oceniają deportację Świadków Jehowy (1951 r.) jako próbę całkowitego zniszczenia ich wspólnoty religijnej. Moim zdaniem jednak celem działania władz radzieckich nie była eksterminacja tego wyznania. Chodziło raczej o zmuszenie jego członków do bezwzględnego podporządkowania oraz zaprzestania swych praktyk religijnych, a także zmiany poglądów.

Badania terenowe na Syberii pokazały mi, iż wyznawcy nie patrzą dziś na swe losy jak na historyczną niesprawiedliwość. Nie żyją traumą i wspomnieniami trudnej przeszłości. Wielu postanowiło pozostać na Syberii również dlatego, że tam czuli się potrzebni. Dzisiaj nie wysuwają roszczeniowych żądań, ani nie są rozczarowani. Właściwie cieszą się z tego, co osiągnęli swą postawą. Na Syberii, gdzie nie słyszano o Świadkach Jehowy, obecnie istnieją liczne zbory, do których należą Czuwasze, Buriaci, Tatarzy oraz przedstawiciele wielu innych narodów. Jako niewielka grupa społeczna stawili czoła ogromnej maszynie sowieckiego totalitaryzmu i w starciu z nim odnieśli zwycięstwo. Profesor Anna Pawełczyńska, zajmująca się problematyką obozu w Auschwitz, napisała o więźniach będących Świadkami Jehowy: *Była to grupa, która stanowiła zwartą siłę ideologiczną i która wygrała swą walkę z hitleryzmem.* Wydaje mi się, że podobne słowa można odnieść do członków tego wyznania, którzy żyli w Związku Radzieckim – oni również zwyciężyli totalitaryzm.

Mariusz Patelski

Jak konspiracyjny „Żak” został profesorem

Niezwykły życiorys matematyka z opolskiej WSP

W środowisku akademickim znany był jako wybitny matematyk, znawca teorii pól losowych oraz społecznik. Jako człowiek słynął z ciętego języka i bujnego temperamentu, co wносиło swoisty koloryt do pracy Instytutu Matematyki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu. Niewielu znało tajemnice, jakie zmuszony był ukrywać przez lata PRL-u znany opolski naukowiec.

Eugeniusz Szczepankiewicz, bo o nim mowa, urodził się 13 marca 1930 r. w Godowej, w rodzinie Jana i Marii z domu Błyskał. Jego rodzice byli właścicielami niewielkiego gospodarstwa rolnego, z którego musieli utrzymać wielodzietną rodzinę – mieli czterech synów i trzy córki. Wpływ na światopogląd młodego Szczepankiewicza wywarły wydarzenia II wojny światowej i patriotyczna postawa miejscowego społeczeństwa (którego przedstawiciele w znacznym stopniu zasiliли szeregi Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich, walcząc przeciw niemieckiemu, a potem sowieckiemu zniewoleniu) oraz bardzo aktywna na tym terenie działalność Związku Harcerstwa Polskiego. Do Armii Krajowej należeli też, co nie pozostało bez wpływu na Eugeniusza, jego dwaj starsi bracia: Bronisław i Władysław. Ten ostatni, wedle informacji Urzędu Bezpieczeństwa, był przedwojennym oficerem, a w czasie wojny pełnił funkcję komendanta placówki AK w Godowej.

Podczas okupacji niemieckiej Eugeniusz ukończył w rodzinnej miejscowości podstawówkę, a następnie po tzw. wyzwoleniu rozpoczął (we wrześniu 1944 r.) naukę w Gimnazjum Ogólnokształcącym w pobliskim Strzyżowie. W 1948 r. zdał małą maturę i przeszedł do Liceum Ogólnokształcącego w tejże miejscowości. Latem 1949 r. odbył także przeszkolenie wojskowe w ramach 12. Brygady Powszechnej Organizacji SP w Kędzierzynie, jako junak – poborowy.

Równoległe z nauką szkolną podjął działalność w jawnym, po latach okupacji, harcerstwie. Wedle świadectwa jego rówieśników przewyższał miejscową młodzież wiedzą, zwłaszcza historyczną, inicjatywą oraz zdolnościami organizacyjnymi. W latach 40. pełnił też funkcję drużynowego XI Drużyny Harcerskiej w Godowej. Ówczesne zaangażowanie Szczepankiewicza nie uszło uwadze funkcjonariuszy UB. Jak wynika z akt zachowanych w Instytucie Pamięci Narodowej,

we wrześniu 1947 r. Eugeniusz Szczepankiewicz został zwabiony przez funkcjonariusza UB – referenta Liszkę i szantażem, z pomocą „materiałów kompromitujących”, zarejestrowany jako informator o pseudonimie „Żubr” (IPN Rzeszów, sygn. 00/138/108/J CD, A. Liszka, *Raport o dokonaniu werbunku*). Współpraca trwała jednak bardzo krótko, a oficer prowadzący odnotował później, że: *przez okres 15 miesięcy współpracy inf.[ormator] ps.[eudonim] „Żubr” dał 6 doniesień małej wartości, na spotkania nie przychodził. Jest on członkiem „młodzieżowej organizacji podziemnej”. Przez okres 9 miesięcy kontakt z nim zerwany. Doniesienia dawał lipne*. Ostatecznie informatora „Żubra”, jako oszukującego UB członka nielegalnej organizacji, wyeliminowano z sieci informacyjno-agencyjnej refe-



Prof. Eugeniusz Szczepankiewicz

ratu V Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Państwowego (PUBP) w Rzeszowie.

W końcu lat 40. forsowana przez władze komunistyczne kolektywizacja rolnictwa oraz wzmożona walka z Kościołem, która nabrała tempa po likwidacji legalnej opozycji, zaczęła wywoływać wśród młodzieży Rzeszowszczyzny odruchy buntu – pojawiło się zjawisko tzw. II konspiracji niepodległościowej. W przypadku młodych z okolicy Strzyżowa przysłowiową kroplą, która dopełniła czary goryczy, była komunistyczna rekonstrukcja Związku Harcerstwa Polskiego, przeprowadzona na podobieństwo sowieckiej organizacji pionierów. W roku 1949 władze zdecydowanie uderzyły w ludzi, struktury, idee i metody wychowawcze wywodzące się ze skautingu. Dotychczasowych „nieszczerych instruktorów”, kojarzonych z przedwojenną tradycją harcerską, mieli zastąpić aktywiści z komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej (ZMP), a samo ZHP miało być ograniczone wiekowo do lat piętnastu.

Szykany ze strony funkcjonariuszy UB, atak na prywatną własność chłopską, represje wobec Kościoła i wiernych oraz likwidacja związanego z przedwojenną tradycją ZHP miały też istotny wpływ na decyzję Eugeniusza Szczepankiewicza o przyłączeniu się do antykomunistycznej konspiracji. Nowa organizacja została zainicjowana przez Jana Prokopowicza (kolega szkolny Szczepankiewicza), który podczas letnich wakacji 1949 r. założył grupę inicjatywną, złożoną głównie z harcerzy – jej celem było utworzenie organizacji do walki z reżimem komunistycznym i jego przedstawicielami z PZPR, UB i ZMP. Prokopowicz i jego koledzy postanowili jednocześnie pozostać w ZHP, by przeciwdziałać komunistycznym reformom w łonie Związku i mieć wpływ na patriotyczną formację młodzieży harcerskiej.

We wrześniu Prokopowicz spotkał się z Eugeniuszem Szczepankiewiczem i zaproponował mu przyłączenie się do organizacji. Wkrótce odbyło się w lasku na Gibiskach koło Strzyżowa zebranie organizacyjne, podczas którego omówiono podstawowe cele i zadania nowo powołanej struktury. W zebraniu wzięli udział, obok Szczepankiewicza i Prokopowicza, Kazimierz Łyszczarz, Jerzy Żeglin i Tadeusz Nowak. Podczas tego spotkania Szczepankiewicz przejął inicjatywę w sprawie oblicza nowej organizacji, jemu też powierzono opracowanie roty przysięgi i schematu organizacyjnego konspiracji. Na kolejnym zebraniu ustalono nazwę – „Demokratyczna Armia Krajowa” (DAK) oraz wybrano zarząd tymczasowy w składzie: Eugeniusz Szczepankiewicz ps. „Żak” – przewodniczący, Tadeusz Nowak ps. „Brzoza” – zastępca przewodniczącego, Jan Prokopowicz ps. „Krymski” – szef sztabu organizacji, Jerzy Żeglin ps. „Zakopiański” – kierownik propagandy oraz Kazimierz Łyszczarz ps. „Śmigłowski” – prokurator.

Do końca 1949 r., jak zaznaczył w swych wspomnieniach Jan Prokopowicz, odbyło się 20 protokołowanych zebrań organizacyjno-szkoleniowych. Sa-

ma placówka strzyżowska liczyła 21 osób (w marcu 1950 r. już 25 konspiratorów). Jednocześnie podjęto działania, by rozbudować struktury DAK w innych regionach Polski. Pierwszą placówką poza Rzeszowszczyzną utworzono na Górnym Śląsku. W tym celu wykorzystano kontakty Stanisława Urbana ps. „Orzeł” i Józefa Mandeli ps. „Rondio”, którzy byli uczniami technikum górniczego przy kopalni „Wanda-Lech” w Rudzie Śląskiej. Poszczególne placówki DAK powstały, oprócz Strzyżowa, w Żyznowie, Lutczy i wspomnianej Rudzie Śląskiej. Mimo represji grożących członkom nielegalnych organizacji antykomunistycznych, DAK bardzo szybko rozwijała się pod względem liczebnym. W kwietniu 1950 r., tuż przed likwidacją, liczyła w sumie 40 członków.

Zgodnie z deklaracją ideową opracowaną przez Eugeniusza Szczepankiewicza DAK miała walczyć o demokratyczne państwo polskie. Przyszły polski parlament miał składać się z dwu izb: sejmu i senatu, wybieranych w demokratycznych wyborach. Państwo miało zapewnić równe prawa i swobodny rozwój żyjącym w nim mniejszościom narodowym. Gospodarka przyszłej Polski, zdaniem autorów, miała się natomiast opierać na zasadach wolnego rynku z uwzględnieniem własności prywatnej i państwowej. Kraj, zgodnie z ideą jagiellońską, wraz z innymi podbitymi przez ZSRS państwami i narodami: Litwą, Łotwą, Estonią, Białorusią i Ukrainą miał w przyszłości utworzyć wspólne państwo federacyjne, które byłoby zdolne oprzeć się ekspansji zarówno ze Wschodu, jak i Zachodu. W deklaracji programowej – „Nasze drogi”, dokumencie przekazanym młodzieży na Śląsku, domagano się dodatkowo wolności: wyznania, prasy, słowa oraz myśli.

Do bieżących zadań organizacji zaliczono: werbowanie nowych członków spośród młodzieży szkolnej oraz powracających do kraju wojskowych z PSZ; walkę z przymusowym organizowaniem spółdzielni produkcyjnych na wsi; dążenie do opanowania legalnych organizacji młodzieżowych w celu ich rozbicia od środka; szkolenie ideologiczne, wojskowe i dywersyjne; opracowywanie map wsi i miast z zaznaczeniem obiektów wojskowych: KBW, MO i PZPR oraz nawiązanie kontaktów z Zachodem, szczególnie ze skautingiem w Londynie.

Młodocianym konspiratorom udało się także nawiązać kontakt z czołowym dowódcą antykomunistycznego podziemia na Podkarpaciu – Józefem Cieślą ps. „Topór”. Dzięki pośrednictwu zwerbowanego do DAK – Stanisława Wróbla, Szczepankiewicz i Prokopowicz uzyskali od „Topora” magazyn poakowskiej broni: dwa ręczne karabiny maszynowe Diegtiariowa, jeden pistolet MP 40 (typu szmajser), trzy pistolety maszynowe typu pepesza, dwa pistolety typu parabellum oraz jeden typu FN. Ponadto w magazynie znajdowało się 20 sztuk granatów ręcznych oraz 3 tysiące sztuk amunicji.

Na przełomie 1949 i 1950 r. organizacja kierowana przez Szczepankiewicza i Prokopowicza przystąpiła

do działań. Wzorem „Szarych Szeregów” z czasów II wojny zajmowano się małym sabotażem, ale zwróconym przeciwko władzom komunistycznym. Członkowie DAK zrywali flagi i transparenty, rozrzucali ulotki, malowali antykomunistyczne hasła oraz wysyłali listy z pogroźkami do nadgorliwych działaczy proreżimowych organizacji zaangażowanych w zniewalanie społeczeństwa. Działania strictly wojskowe odkładano na później, bojąc się przedwczesnej dekonspiracji.

Wedle dokumentów zachowanych w IPN, pomimo przestrzegania zasad konspiracji, już w listopadzie 1949 r. funkcjonariusze rzeszowskiego WUBP wpadli na trop DAK i rozpoczęli operację rozpracowywania stryżowskiego środowiska młodzieży niepodległościowej. Po uzgodnieniach z PUBP Rzeszów w szeregi DAK przeniknął agent ps. „Antek”, który bardzo aktywnie włączył się w działalność młodzieżowej konspiracji. Z jego inicjatywy próbowano zwerbować do organizacji oficera rezerwy LWP – Stanisława Wojtaszka. Wedle opracowania poświęconego DAK, działalność wspomnianego Wojtaszka miała być główną przyczyną dekonspiracji tej organizacji. Faktycznie były oficer LWP poinformował miejscowych funkcjonariuszy MO o istnieniu DAK, ale zachowane dokumenty UB świadczą jednoznacznie o tym, że głównym źródłem informacji na temat organizacji był agent „Antek” – będący równocześnie bardzo aktywnym członkiem tej konspiracji. 25 kwietnia 1950 r. agent „Antek” został wezwany do Rzeszowa pod pozorem uczestnictwa w kursie instruktorów harcerskich. Po przyjeździe do stolicy Podkarpacia został zdjęty przez funkcjonariuszy UB i odwieziony do siedziby WUBP. W toku przesłuchania ujawnił, że Rada DAK zdecydowała się karać śmiercią funkcjonariuszy państwowych. Fakt ten miał przyspieszyć decyzję kierownictwa WUBP o likwidacji DAK.

Operacja aresztowania odbyła się 28 kwietnia 1950 r. Wykorzystano w niej 25 pracowników UB wspartych przez 20 funkcjonariuszy MO i oddział KBW złożony z 44 żołnierzy. Całość sił UB i KBW, wyposażona w broń automatyczną, została przetransportowana do Stryżowa na pięciu ciężarówkach. Na miejscu oddział ten podzielono na cztery grupy, które sprawnie przeprowadziły aresztowania członków DAK uprzednio wskazanych przez TW „Antka”. W sumie zatrzymano 21 członków i 2 współpracowników DAK. W wyniku rewizji zarekwirowano pistolet nagan, kilkadziesiąt sztuk amunicji, materiały wybuchowe oraz archiwum organizacyjne DAK. Wśród aresztowanych znalazł się Eugeniusz Szczepankiewicz, przy którym znaleziono dodatkowo zapiski dotyczące organizacji. 2 maja oficer śledczy UB – ppor. Mieczysław Kalemba wystąpił o zastosowanie wobec Szczepankiewicza środka zapobiegawczego w postaci aresztu tymczasowego w areszcie śledczym przy WUBP w Rzeszowie. Podobne wnioski zastosowano wobec pozostałych aresztowanych. Członków DAK poddano kilkumiesięcznemu, bardzo intensywnemu śledztwu. W trakcie przesłu-

chań, ciągnących się bez przerwy po parę dni, a nawet cały tydzień roboczy, poddawano ich najwymyślniejszym torturom. Aresztowanym kazano np.: leżeć nieruchomo na łóżku, a prowadzący przesłuchanie okładał ich od stóp do głowy leszczynowym kijkiem narciarskim lub gumową pałką po stopach. Kiedy tracili przytomność byli wynoszeni do łazienki, gdzie polewano ich wodą. Na porządku dziennym było wrywanie garściami włosów z głowy, uderzanie głową o biurko lub ścianę, zmuszanie do robienia żabek lub pompek aż do utraty sił przez przesłuchiwanego, którego następnie kopano. Stosowano także sadzanie na nodze odwróconego stołka, miażdżono palce rąk w drzwiach lub deptano obcasami po gołych palcach nóg. W niektórych wypadkach prowadzący śledztwo oficer nakazywał wspinać się na stromy wysoki piec kaflowy. Kiedy przesłuchiwany spadał, był kopany przez pomocników śledczego, którzy w ten sposób „pomagali” dalszej wspinaczce. W przerwach przesłuchania aresztowanych, rozebranych do naga, zamykano do karceru pod schodami aresztu, pełnego wody i ludzkich ekskrementów. Ponieważ krzyk torturowanych osób mógł być słyszalny na zewnątrz budynku, przez cały czas puszczano w więzieniu przez megafony arie operowe.

W podobny sposób przesłuchiwany był Eugeniusz Szczepankiewicz, który w trakcie śledztwa rozchorował się i poważnie osłabł. Wedle relacji Prokopowicza – Eugeniusz podczas śledztwa został pobity nogą od stołka i utracił przytomność. Ponieważ śledczy nie umieli go ocucić, wezwali lekarza. Doktor doprowadził Szczepankiewicza do świadomości, ale na odchodnym miał oświadczyć śledczemu: *sprowadziłem go na ten świat, ale następnym razem może mi się to nie udać, bo fizycznie jest już bardzo słaby*.

W toku śledztwa, prowadzonego brutalnymi metodami, funkcjonariusze SB uzyskali większość informacji na temat DAK oraz osób zaangażowanych w tę konspirację. Nie było to zresztą dość trudne, ponieważ w ręce pracowników UB dostało się archiwum organizacji. Mimo stosowanych fizycznych i psychicznych tortur, żaden z członków organizacji, tj.: Szczepankiewicz, Prokopowicz i Wróbel, nie ujawnił informacji o przekazaniu przez Józefa Cieślę „Topora” magazynu z poakowską bronią. Także „Topór”, gdy już został schwytany przez UB, nie zdradził w tym względzie swych przyjaciół z DAK.

Po sporządzeniu aktu oskarżenia odbył się proces konspiratorów z DAK, których podzielono na cztery grupy. Przywódcy ruchu, m.in. Szczepankiewicz i Prokopowicz, byli sądzeni jako ostatni, tj. od 4 do 8 września 1950 r. Przebieg procesu miał charakter ope- retkowy, a wyrok był, zdaniem oskarżonych, z góry przesądzony. Mimo ich protestów, że znaczna część zeznań została wymuszona torturami, sędzia Pietroń udawał zaskoczonego, twierdząc, że *pierwszy raz słyszy, aby w czasie śledztwa w Urzędzie Bezpieczeństwa kogoś torturowano*. „Jeżeli na was to wymuszono, to udowodnijcie, że było inaczej”. Wszystkie zarzuty uznał

też za wiarygodne. W czasie zeznań zarówno prokurator, jak i adwokaci nie zadawali żadnych dodatkowych pytań. Jan Prokopowicz wspominał: *Widocznie bali się przeszkadzać sędziemu, prokurator był pewny sprawiedliwości „wysokiego sądu”*. Warto dodać, że w późniejszych analizach działalności DAK, dokonywanych przez pracowników Służby Bezpieczeństwa, nie bez zdziwienia konstатовano, iż działająca w konspiracji młodzież strzyżowska pochodziła z najuboższych warstw polskiej wsi. W opracowaniu z 1976 r. pisano m.in.: *zdecydowana większość członków nielegalnej organizacji młodzieżowej DAK była pochodzenia chłopskiego, w tym sporo wywodziło się z rodzin małych i średniorolnych. Wydawałoby się, że klasowo bliżej ustrojowi ludowemu, więc ideologicznie winni być z tym ustrojem związani*. Wrogość wobec Polski Ludowej i ZSRS tłumaczono reakcyjnym wpływem nauczycieli miejscowego gimnazjum oraz rodzinnego środowiska skazanych.

Wojskowy Sąd Rejonowy w Rzeszowie uznał Eugeniusza Szczepankiewicza winnym udziału w zbrodniczym związku pod nazwą „Demokratyczna Armia Krajowa” (D.A.K.), usiłującym zmienić przemocą ustrój Państwa Polskiego, jako jeden z jego założycieli pełniąc kolejno funkcję D-cy Sztabu i Członka Rady, posługując się pseudonimem „Żak” i „Jasielski”, tj. zbrodni przewidzianej w art. 86 par. 2. KKWP i skazał go na 10 lat pozbawienia wolności, na utratę praw publicznych i obywatelskich oraz honorowych na okres 4 lat oraz na przepadek całego mienia.

Karę więzienia Szczepankiewicz odbywał na zamku w Rzeszowie, we Wronkach i w Jaworznie, skąd, za nieudowodniony mu udział w nielegalnej organizacji, został przewieziony do Nowogardu. W ostatnim z więzień zachorował na otwartą gruźlicę płuc. Według opinii naczelnika więzienia w Nowogardzie Szczepankiewicz zachowywał się poprawnie, przestrzegał regulaminu, jednak do ujemnych cech charakteru więźnia zaliczył: *nieprawdomówność, skrytość i częściowe pozostawanie pod wpływem wrogiego elementu, w obecności którego się wypowiada o administracji więziennej. Ogólnie do ustroju Demokracji Ludowej ustosunkowany jest biernie*. We wrześniu 1953 r. na mocy amnestii Szczepankiewiczowi skrócono o 1/3 karę więzienia z 10 do 6 lat i 8 miesięcy. W następnym roku, mimo nie w pełni pozytywnej opinii naczelnika więzienia w Nowogardzie, Wojskowy Sąd Rejonowy w Rzeszowie, biorąc pod uwagę pochodzenie społeczne skazanego (a być może także zły stan jego zdrowia), postanowił zwolnić Szczepankiewicza z dalszego odbywania kary i wyznaczył mu okres próbny do 28 grudnia 1956 r. 29 czerwca 1954 r. o godzinie 15.00, po odbyciu 4 lat 2 miesięcy i 1 dnia kary, Eugeniusz Szczepankiewicz opuścił więzienie w Nowogardzie.

Po wyjściu z więzienia podjął pracę w Przedsiębiorstwie Jajczarsko-Drobiarskim w Strzyżowie. Jako człowiek niezwykle ambitny i pracowity rozpoczął równoległe naukę w Korespondencyjnym Liceum

Ogólnokształcącym w Rzeszowie. W tym czasie ciągle był obserwowany przez funkcjonariuszy UB; ich niepokój budziły zwłaszcza kontakty Eugeniusza z byłymi członkami DAK: Hubertem Hartem i Tadeuszem Nowakiem. Z tego powodu funkcjonariusze sporządzili plan operacyjnego przedsięwzięcia celem sprawdzenia kontaktów pomiędzy wymienionym i działaczami DAK. Najprawdopodobniej oficerowie bezpieki niczego jednak nie wykryli, bo Szczepankiewiczowi udało się zdać maturę i dostać na studia matematyczne na Uniwersytecie Wrocławskim. Według opinii Jana Prokopowicza, początkowo były dowódcą DAK miał zamiar starać się o przyjęcie na historię lub prawo. *Wrogowi ludu władze wybiły jednak z głowy te kierunki i ostatecznie pozwolono mu zdawać indywidualnie na matematykę*.

Po wydarzeniach październikowych 1956 r. Eugeniusz Szczepankiewicz stanął na czele odrodzonego Zrzeszenia Studentów Polskich w Uniwersytecie Wrocławskim. W tym czasie był wiceprzewodniczącym, a następnie przewodniczącym Rady Uczelnianej ZSP oraz kierownikiem Komisji Ekonomicznej Rady Okręgowej ZSP we Wrocławiu. Ze względu na bardzo dobre wyniki w nauce w czasie studiów odbył staż naukowy w ZSRR.

Ze względu na przeszłość, jak i zajmowane stanowiska w ZSP, student matematyki stale pozostawał pod obserwacją Służby Bezpieczeństwa. W listopadzie 1957 r. oficerowie wrocławskiej bezpieki (Gr. IV, Wydz. III KW MO we Wrocławiu) próbowali zmusić Szczepankiewicza do współpracy. W trakcie *pozyskania* starano się wykorzystać fakt trudności materialnych, z jakimi borykał się podczas studiów. *Rozmowy pozyskaniowe*, jak zapisano w aktach SB, nie przyniosły jednak spodziewanych rezultatów i ostatecznie Szczepankiewicza, który nie dał się złamać, pozostawiono w spokoju.

W 1960 r. ukończył studia z wynikiem bardzo dobrym, po czym podjął pracę w Wyższej Szkole Rolniczej, a następnie, w 1963 r., w Katedrze Matematyki Wyższej Szkoły Ekonomicznej we Wrocławiu. Równoległe współpracował z Zakładem Antropologii PAN, był m.in. autorem prac: *Opracowanie statystyczne do Mapy Antropologicznej Polski* oraz *Model zmienności pól torfowych*. W 1965 r. Szczepankiewicz uzyskał stopień doktora.

Mimo upływu ponad dziesięciu lat od wydarzeń związanych z DAK, Szczepankiewicz był ciągle poddawany kontroli operacyjnej przez Służbę Bezpieczeństwa – Wydz. III KW MO we Wrocławiu. Przełomowe w życiu matematyka były wydarzenia marcowe 1968 r. W ich wyniku został zmuszony do opuszczenia Wrocławia i podjęcia pracy w Katedrze Podstaw Matematyki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu.

Od początku dał się poznać jako człowiek o niezwykłej odwadze osobistej. W 1971 r., gdy doszło do wyśadenia auli WSP przez braci Ryszarda i Jerzego Kowalczyków, funkcjonariusze SB w pierwszym odruchu

lansowali tezę o odpowiedzialności Ślązaków–rewizjonistów za ten czyn. Wielu niewinnych pracowników opolskiej WSP pochodzenia miejscowego poddano wówczas brutalnemu śledztwu, co nie uszło uwadze środowiska akademickiego. Wśród nielicznych, którzy przeciwstawili się nagonce na miejscowych, był Szczepankiewicz, który miał publicznie twierdzić, iż *nie można wykluczyć możliwości, że to zrobili nieautochtoni*.

W Opolu dr Szczepankiewicz prowadził wykłady z zakresu statystyki i algebry, kontynuował także prace naukowe z teorii i zastosowania pól losowych. Równocześnie miał zajęcia w Politechnice Gliwickiej i w Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu. Posiadając od młodości żyłkę społecznika, pełnił, z ramienia władz uczelni, funkcję opiekuna Zrzeszenia Studentów Polskich. Tymczasem w początkach lat 70. władze komunistyczne przystąpiły do przymusowego scalania organizacji studenckich i młodzieżowych. W 1973 r., z połączenia ZSP, Związku Młodzieży Wiejskiej i Związku Młodzieży Socjalistycznej powstał nowy – Socjalistyczny Związek Studentów Polskich. Organizacja ta miała realizować zarówno program polityczno-ideowy, jak i społeczno-środowiskowy studentów. Przymusowa unifikacja ZSP z organizacjami związanymi z PZPR i głoszącymi hasła komunistyczne wywołała wzburzenie w środowisku studenckim kraju.

15 listopada 1972 r. w klubie akademickim „Mieszko” odbyło się plenarne posiedzenie Rady Uczelnianej ZSP, poświęcone *zmianom modelu ruchu młodzieżowego i powołaniu Socjalistycznego Związku Studentów Polskich*. Na spotkaniu tym dr Eugeniusz Szczepankiewicz spontanicznie, jak się wydaje, postanowił wyrazić swe krytyczne stanowisko wobec forsowanych przez władze planów zjednoczenia ruchu studenckiego. Wedle relacji tajnego współpracownika SB – ps. „Wanda”, Szczepankiewicz: *Usiłował (...) twierdzić, że w obecnej sytuacji największym złem, jakie można by popęlnić, byłoby powołanie jednolitej organizacji młodzieżowej dla całej młodzieży polskiej. W istnieniu tylko jednej organizacji upatruje on słabość studenckiego ruchu artystycznego, turystycznego i kulturalnego w takich krajach, jak ZSRR czy NRD. Twierdził, że istnienie tylko odrębnej organizacji wyłącznie studenckiej daje możliwość prawidłowego rozwoju ruchu i wszelkiej działalności. Ponadto wg niego wszelkie proponowane zmiany, idące nawet w kierunku utworzenia SZSP, z wyodrębnionymi pionami działania i kontaktów z młodzieżą wiejską i robotniczą, spowodują zaprzepaszczenie ogromnego dorobku, wypracowanego przez organizację, do czego przecież w żadnym wypadku nie można dopuścić, dlatego uważa za wszelkie zmiany za niecelowe i niekorzystne. (...) Dr Szczepankiewicz twierdził również, że z programem integracji ruchu młodzieżowego wystąpił ZMS dlatego tylko, że w skali całego kraju organizacja „przeżyła się już” i nie jest w stanie dać nic nowego młodzieży.*

Sprzeciw Szczepankiewicza wobec utworzenia

SZSP oraz żądanie apolityczności studenckiej organizacji spotkało się z negatywną reakcją miejscowych władz i SB. W efekcie już 6 grudnia 1972 r. powstał wniosek, by opolskiego wykładowcę objąć kontrolą w ramach kwestionariusza ewidencyjnego kryptonim „Oportunista”. W ramach prowadzonych przez funkcjonariuszy SB działań, naukowiec miał być stale inwigilowany na terenie uczelni przez dwójkę tajnych współpracowników o pseudonimach „Wanda” i „Mietek” oraz w środowisku naukowym przez kontakt operacyjny ps. „Piotr”. Władze poddały także kontroli całą korespondencję naukowca w celu ustalenia jego kontaktów krajowych oraz sprawdzenia, czy nadal utrzymuje łączność z byłymi członkami DAK. Funkcjonariuszy SB interesowały też kontakty podejrzanego z księżmi jezuitami, którzy prowadzili Duszpasterstwo Akademickie przy parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Opolu. W ramach prowadzonych działań, SB poprzez wspomnianych tajnych współpracowników zbierała informacje na temat Szczepankiewicza, jego życia rodzinnego i osobistego, pracy naukowej i dydaktycznej, a także na temat jego studentów i magistrantów.

13 grudnia 1972 r. naukowiec został wezwany przez SB na rozmowę ostrzegawczą. W jej trakcie, jak zanotował oficer SB, *dr Eugeniusz Szczepankiewicz zachowywał się chwilami w sposób arogancki i złośliwy. Niedwuznacznie starał się dać do zrozumienia, że jest szykanowany; starał się udowodnić, że wezwanie na rozmowę było bezpodstawne*. W efekcie przesłuchania naukowiec został zmuszony do podpisania specjalnego oświadczenia, w którym z właściwą sobie przekorą zaznaczył, że *będzie unikał publicznie wypowiedzi na tematy polityczne, mimo iż nie jest zwolennikiem obecnego ustroju i swych przekonań nie zmieni*. Kwestionariusz ewidencyjny, którym objęty był opolski matematyk, został zamknięty dopiero po trzech latach – 30 grudnia 1975 r. Mimo iż kontrola Szczepankiewicza nie wykazała żadnych negatywnych z punktu widzenia władz wystąpień – przedłużono ją w związku z VII Zjazdem PZPR, który odbył się w grudniu tegoż roku.

Koszt niezłomnej postawy Szczepankiewicza był bardzo wysoki. Zdolny naukowiec został objęty zakazem wyjazdów zagranicznych, prowadzonych także w celach naukowych. Już w marcu 1973 r. ppłk Ryszard Głowacz z opolskiej SB informował, że dr Szczepankiewicz zamierza jako stypendysta Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki wyjechać do USA, by skontaktować się z wybitnym emigracyjnym matematykiem prof. Jerzym Splawą-Neymanem z uniwersytetu w Berkeley. Celem wyjazdu miało być zapoznanie z nowoczesną statystyką matematyczną w zakresie wnioskowania przy użyciu wielowymiarowych pól losowych. Pułkownik SB zaznaczył jednocześnie, że Szczepankiewicz zaangażowany był w DAK oraz sprzeciwiał się połączeniu organizacji studenckich, sugerując, by uniemożliwić matematykowi wyjazd z Polski, tym bardziej że *przy Uniwersytecie w Berkeley*

działał instytut antykomunistyczny obejmujący swym zasięgiem także Polskę.

Ponieważ Szczepankiewicz nie mógł osobiście brać udziału w zagranicznych konferencjach naukowych, na które był wielokrotnie zapraszany, wysyłał na nie swe referaty pocztą. W ten sposób był obecny na konferencjach w Niemczech, Hiszpanii, Anglii, Francji, Japonii, USA oraz Turcji i Egipcie. W latach 80. ukazało się jego najważniejsze dzieło – praca pt.: *Zastosowanie pól losowych* (Warszawa 1985). Licząca 390 stron książka poświęcona została teorii pól losowych oraz zawierała liczne przykłady zastosowania tychże pól. Na dorobek Eugeniusza Szczepankiewicza składało się ponadto 150 publikacji: książek, artykułów, referatów i opracowań dla przemysłu. Profesor wypromował również 150 magistrantów oraz 3 doktorów. Pomimo wielkiego dorobku naukowca z powodów politycznych z bardzo dużym opóźnieniem przechodził kolejne szczeble kariery. Tytuł doktora habilitowanego uzyskał dopiero w 1981 r., rok później został docentem, a profesorem nadzwyczajnym w 1987 r.

Uczeń i przyjaciel prof. Szczepankiewicza – Stanisław Urbanik wspominał po latach: *w systemie wartości, które Profesor afirmował, bardzo wysoką pozycję zajmowała wiedza; szczególnie matematyka była dla niego „królową wszystkich nauk”. Nie znaczy to jednak, że jego zainteresowania ograniczały się tylko do matematyki. Posiadał szeroką i rzetelną wiedzę historyczną. Myślę, że niejedynemu historykowi miałby w Nim godnego dla siebie partnera do rozmów i dyskusji. Z zamiłowaniem interesował się literaturą, czytał poezję. Bardzo fascynowała mnie ta wielostronność zainteresowań...*

Charakterystycznym rysem charakteru Eugeniusza Szczepankiewicza była działalność społeczna. W latach 80. prezesował Opolskiemu Oddziałowi Polskiego Towarzystwa Matematycznego, a także był członkiem NSZZ „Solidarność” w WSP. Nie zapominał również o własnych korzeniach. Po przełomie 1989 r. wziął udział w pierwszym zjeździe wszystkich żyjących członków DAK. Na spotkaniu tym postanowiono zobowiązać byłych konspiratorów należących do organizacji, by spisali wspomnienia z czasów młodzieżowej działalności oraz późniejszych przeżyć związanych z więzieniem lub ukrywaniem się. Zamierzano także ufundować tablicę upamiętniającą DAK oraz sztandar organizacyjny, który postanowiono przekazać młodzieży uczącej się w LO w Strzyżowie. Ostatnim zadaniem wyznaczonym przez zjazd było wystąpienie do stosownych władz w celu pełnej rehabilitacji Demokratycznej Armii Krajowej oraz jej członków.

Realizacji tych postanowień prof. Szczepankiewicz, niestety, nie doczekał. Będąc już w bardzo ciężkim stanie, napisał na VII Krajową Konferencję Naukową w Turawie k. Opola, swój ostatni referat. Tematem planowanego wystąpienia były *Podstawy konstrukcji modelu stochastycznego wydajności pracy w warunkach kooperacji przedsiębiorstwa*. Referat ten wygłosił, zastępując ciężko chorego profesora, jego doktorant. Cztery dni później, 17 października 1991 r., Eugeniusz Szczepankiewicz zmarł.

Doczesne szczątki wybitnego matematyka spoczęły w kwaterze żołnierzy AK wrocławskiego cmentarza na Biskupinie. Pożegnalne mowy wygłosili przedstawiciele świata nauki oraz rodacy ze Strzyżowa. Wśród żegnających zmarłego byli m.in.: prof. Andrzej Gawdzik – dziekan Wydziału Matematyczno-Fizyczno-Chemicznego WSP w Opolu, prof. Antoni Smoluk z Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu, prof. Andrzej Alexiewicz z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, burmistrz Strzyżowa Marek Śliwiński oraz podwładny z DAK – Tadeusz Nowak.

Rok później doszło do rewizji wyroków w sprawie uczestników młodzieżowej konspiracji – DAK. Na wniosek Anny Szczepankiewicz (żony zmarłego) decyzja o rehabilitacji zapadła także w sprawie nieżyjącego już dowódcy Eugeniusza Szczepankiewicza. 25 maja 1992 r. Sąd Wojewódzki w Rzeszowie pod przew. Eugeniusza Madery stwierdził nieważność wyroku z września 1950 r. wobec Eugeniusza Szczepankiewicza. W uzasadnieniu napisano: *Z treści tego wyroku i jego uzasadnienia wynika, że czyn przypisany Eugeniuszowi Szczepankiewiczowi był związany z działalnością na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego...*

Mariusz Patelski

W artykule wykorzystano m.in. prace i materiały archiwalne:

1. *Młodość zdeptana lecz nieujarzmiona. Demokratyczna Armia Krajowa w latach 1949-1955*. Szkice, wspomnienia i dokumenty w opracowaniu Jana Prokopowicza, Rzeszów 2008.
2. Stanisław S. Nicieja, *Alma Mater Opoliensis. Ludzie – fakty – wydarzenia*, Opole 2005.
3. Stanisław Czopowicz, *Szczera wola i zniewolenie. Harcerstwo w Polsce 1945–1980*, Warszawa 2010.
4. Akta z Archiwum IPN Rzeszów sygn. 107/1119/t. 2 CD; sygn. 0/172/33/J; sygn. 107/1119/t. 1 CD.
5. Akta z Archiwum IPN Wrocław, sygn. 065/235.

Bartłomiej Kozera

Ja i studenci

Ciągle jeszcze prowadzę wykłady i ćwiczenia, na które przychodzą studenci, doktoranci i niekiedy mieszkańcy Opola. Niby wszystko jest jak dawniej, sympatyczna atmosfera, moje słabe dowcipy, żwawe tempo wykładów, ale czuć mnie już starością. Spróbuję wyliczyć główne różnice między mną a studentami.

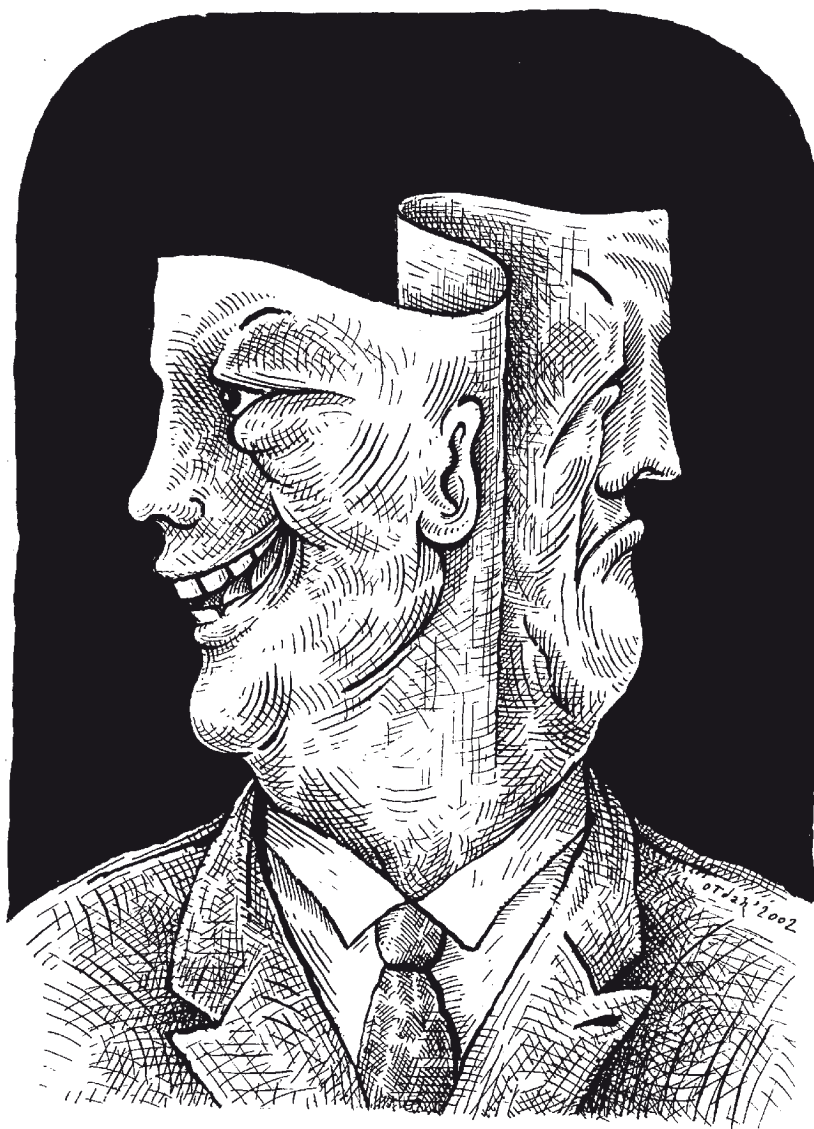
Oto mój świat składa się z przeszłości, nie zawsze miłej i przyszłości, dość mglistej. Skądś idę, coś niosę, idę w jakąś stronę. Świat studentów to wyłącznie czas teraźniejszy. Oni żyją tu i teraz i poza „teraz” nie wychodzą. Wypłynęli z nicości i pogrążają się w nicość. Mają tylko dzień dzisiejszy.

Ich świat jest łatwy. Składa się tylko z zakazów, które w dodatku lekceważą (*Nie jedź w lewo*). Nie uznają nakazów, przez co są absolutnie wolni. Ich dobro jest przez nich samych definiowane, my ustalamy im tylko rozumienie zła, co w dodatku lekceważą. Mój świat to nie tylko zakazy, jest ich zresztą bez liku, ale i zespół nakazów, a wiadomo, że nakazy (*Jedź w lewo*) odbierają nam wolność. Jestem w konsekwencji niewolnikiem konwencji, konwenansów, konstytucji ludzkiej i państwowej. W efekcie dla mnie życie jest zespołem konieczności, dla nich dziełem sztuki. No właśnie, jeśli już o sztuce, to mój świat malowany jest farbami olejnymi. One są niezmiernie trwałe. Nie podlegają zniszczeniu. Ich świat jest malowany akwarelami, byle deszcz odmienia im dążenia. Silny wiatr przestawia potrzeby. Kolekcjonerzy dyplomów, bo może który się przyda. Ja miałem jeden, ale on był niezmiernie ważny.

W moim świecie postacią ważną był ksiądz. A ksiądz jest specjalistą od gatunku i ten gatunek gromił za występki. Dla nich kimś ważnym jest osobisty doradca, który będzie ich podtrzymywał, bo są słabi a bezgrzeszni. Doradca od wizerunku, od finansów, od miłości i zdrowia. Ja całe życie pracowałem w jednym miejscu, życie spędzi-

łem w jednym mieszkaniu. Oni przeciwnie, będą gonić z jednego miejsca do drugiego, bo ich świat jest jak rzeka, która wiecznie toczy swoje wody.

Prowadzę ciągle wykłady, ale nie wiem, czy jestem rozumiany. Niby mówię o różnych filozofach, ale tak naprawdę mówię o sobie. O tym, co czytam, co myślę. I dostrzegam swoją archaiczność, i nie wiem, czy przypadkiem nie jestem coraz atrakcyjniejszy, tą atrakcyjnością eksponatu muzealnego, który pokazuje dawne, zaginione światy. Chyba że jestem dozorcą w swoim świecie? Nie wiem jednak, co gorsze.



Tak – nie. Rys. Leszek Ołdak

Lustro

Poniższy tekst rozpoczyna cykl felietonów ks. dr. hab. Joachima Piecucha, prof. UO. Autor jest pracownikiem naukowym Wydziału Teologicznego oraz Zakładu Filozofii Człowieka w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Opolskiego.

Czyż nasze życie nie jest przeniknięte paradoksami? Oto jeden z nich.

To, co ze wszystkiego jest mi najcenniejsze, co stanowi o mnie, o mojej tożsamości – moja twarz – pozostaje dla mnie niedostępna.

Nie widzimy własnej twarzy. Nie wiemy, jakiego koloru są nasze oczy, jaki mamy nos, jak wygląda nasze czoło, jakie są nasze usta, jaki rysunek ma nasza broda.

Istnieje jednak sposób, by się o tym dowiedzieć. Popatrzeć w lustro.

Lustro ma w sobie coś osobliwego. Odbijając nacyloną ku niemu twarz, nakłania człowieka do głębszej refleksji nad sobą samym, nad swoją kondycją i istnieniem.

Takim szczególnym lustrem, w którym możemy przyjrzeć się nie tylko naszej zewnętrznej postaci, ale dokonać również wglądu w nasze wnętrze, popatrzeć na naszą duchową twarz, jest ludzka myśl.

W tym myśl szczególna – filozofia.

Ilekcroć bowiem śledzimy myśli wielkich filozofów, odkrywamy, że w ich poglądach, niczym w lustrze, odbija się jakaś istotna prawda o nas samych.

W pytaniach i problemach przez nich stawianych odnajdujemy własne niepokoje i wątpliwości. Zdałoby się, że owe dawno przebrzmiałe pytania, stawiane w zamierzchłej przeszłości, nie mogą mieć już z nami nic wspólnego. A tu nagle okazuje się, że gdy zaczynamy czytać stare filozoficzne teksty, ku naszemu zaskoczeniu, te wiekowe teorie filozoficzne ożywają, odnoszą się do palących zagadnień dnia dzisiejszego. Mówią nam coś ważnego o nas dzisiaj żyjących.

Tak jak za pośrednictwem lustra widzimy własną twarz, tak za pośrednictwem refleksji filozoficznej powoli zmierzamy ku odkryciu, kim i jacy jesteśmy.

A któż z nas nie pragnie wnieść światła w ciemnie przestrzenie naszego życia?

Aby jakkolwiek obraz ukazał się w lustrze, potrzebne jest światło. W ciemności nawet najdoskonalsze,

idealnie wyszlifowane kryształowe lustro niczego nam nie pokaże. Podobnie rzecz ma się z porządkiem myślenia. I tutaj potrzebne jest światło, aby mogło dojść do jakiegokolwiek poznania. Rolę tego światła pełni rozum. To on jest podstawowym i zasadniczym warunkiem powstania pojęć, kategorii i teorii filozoficznych.

Jest więc rzeczą nad wyraz słuszną wejrzeć w lustro filozofii.

Ale co to znaczy?

To znaczy użyć rozumu. Ale to znaczy też odszukać dawnych filozofów i ruszyć razem z nimi w przygodę myślenia. Odwiedzić ich krainy i domy, posłuchać, co mają nam do powiedzenia.

Przekraczać progi ich domów, a jednocześnie pokonywać tajemnicze drzwi, otwierające w naszej duszy nowe, nieznanne nam dotąd przestrzenie.

W spotkaniach z nimi odkrywamy, że myślenie pozostaje naszą wielką nadzieją. Ono strzeże nas przed wieloma nieszczęściami. Tam bowiem, gdzie w dziejach powszechnych jak i naszych indywidualnych miało miejsce jakieś zawinione nieszczęście, tam okazywało się, że wywołała je nasza bezmyślność. Tam brakowało rozumu.

Dzięki spotkaniom z filozofami nie tylko mamy szansę ustrzec się błędów i nieszczęść, ale równocześnie zauważymy, że nasze życie nabiera barw i intensywności.

Autorytet filozofów nie wynika jednak głównie z umiejętności udzielania nam odpowiedzi na dręczące nas problemy, lecz raczej ze zdolności stawiania pytań, jak my rozumiemy nasze własne życie. Pobudzają nas oni w ten sposób do wejścia na ścieżkę własnych przeżyć.

Jednym słowem, oryginalna i głęboka myśl rodzi się wówczas, kiedy nabieramy odwagi, aby popatrzeć w lustro, jakie filozofowie stawiają przed naszymi oczami.

Joachim Piecuch

Adam Wierciński

Za szybkie pisanie (24)

Znany publicysta o kryteriach obowiązujących kiedyś w porządnym redakcyjnym: *Te kryteria fascynująco opisał Melchior Wańkowicz w eseju „Prosto od krowy” (można go znaleźć w zbiorze „Karafka La Fontaine’a”). Opowiedział tam m.in. historię redaktorki tygodnika „Time”, która w tekście o prezydencie Naserze puściła frazę o „brązowych oczach jego matki”.*

Arabki, jak wiadomo, mają brązowe oczy, a taki detal dobrze buduje ciepłą atmosferę narracji. Pech chciał, że arabska matka Nasera była krytycznym wyjątkiem i miała błękitne oczy. Jakiś czytelnik zwrócił na to uwagę i redaktorka wylądowała na bruku. Nie z tego powodu, że miała niesłuszne poglądy lub że oczy pani Naser wywołały polityczne tsunami, ale dlatego, że wiarygodność była pieczołowicie strzeżonym kapitałem każdego poważnego medium. Uznany (podpisany nazwiskiem) autor mógł wyrażać opinie, jakie mu się podobały. W ocenach każdy komentator miał prawo się pomylić. Fakty musiały się zgadzać w stu procentach (Jacek Żakowski, Redaktor Kopciuszek na tropie prawdy, „Gazeta Wyborcza” 2012, nr 263, s. 25).

Aż by się chciało sparafrazować Kochanowskiego: czemu to, nie czynicie, jako nauczacie? W *Karafce La Fontaine’a* nie ma szkicu *Prosto od krowy* (to tytuł osobnej książki wydanej przez ISKRY w 1965 r.). W 1. tomie *Karafka...*, do rozdziału *Dobry spust nie wystarcza (dokumentacja)*, Wańkowicz dołączył w aneksie *Szperaczkę w opałach*, napisał o dziennikarskich początkach swojej córki, Marty, w redakcji tygodnika „Time”. Wszystko było inaczej. Nikogo nie wyrzucano na bruk za zmianę koloru oczu matki egipskiego prezydenta.

Martę wezwała kierowniczka reserczu działu zagranicznego i zwróciła uwagę: „– *Napisałaś: „Matka Nasera, czarnooka Sudanka”. Skąd wiesz, że czarnooka?*

– *Wszystkie Sudanki są czarnookie.*

– *Może być wyjątek. Depeszuj do Kairu”. [...] W poniedziałek wraca artykuł od naczelnego. O czarnych oczach Kair jeszcze nie odpowiedział, skreślono (Melchior Wańkowicz, *Karafka La Fontaine’a*, t. 1, Kraków 1974, s. 590–591).*

Tak się kiedyś czytało w redakcjach teksty przed drukiem.

Stare mity i tworzone od nowa (mimowolne?): *Trzeba pytać jak Norwid: „Czy ten kala gniazdo, co je kala? Czy ten, co mówi o tym nie pozwala?”.*

Norwid za takie pytania, za odmowę mitologizowania zapłacił biedą i zapomnieniem. Słowackiego ratowała przed nędzą [sic!] tylko umiejętność gry na giełdzie. A Mickiewicz, ten specjalista od podtrzymywania mitów, był akceptowany i kochany (Wolne pytania wolnych ludzi. Ze Zbigniewem Mikołajką rozmawia Aleksandra Klich, „Gazeta Wyborcza” 2012, nr 263, s. 16).

Norwid płacił chyba za nowatorstwo, a nie tylko za odmowę mitologizowania. Mickiewiczowi też nie najlepiej się wiodło na paryskim bruku. Różnie tam bywało, raz lepiej, raz gorzej. Celina Mickiewiczowa pisała w 1839 roku do siostry o zarobkach męża wykładowcy: *Wystaw sobie, moja kochana, jak nam trudno z tego żyć, gdyż to nasz jedyny stały dochód, a zresztą dochody niestałe bardzo szczupłe i Bóg łaskaw, że chociaż skromnie możemy żyć (zob. Alina Witkowska, *Mickiewicz. Słowo i czyn*, wyd. 4 zmienione, Warszawa 1998, s. 199).*

Ze Słowackim też było inaczej. Wiadomo, że żył z pieniędzy pozostawionych przez ojca, matka przesyłała mu odsetki od 70 tys. złotych polskiego kapitału. Gra na giełdzie nie była koniecznością życiową. Tłumaczył go kiedyś Paweł Hertz: *To, że poznawszy wymagania świata uznał za stosowne powiększyć swoje dochody, wydaje mi się niezmiernie naturalne, zwłaszcza gdy przypomnimy sobie, że honoraria były wówczas rzadkością i że książki drukowano przeważnie*

Trzeba pytać jak Norwid: „Czy ten ptak kala gniazdo, co je kala? Czy ten, co mówi o tym nie pozwala?”.

Norwid za takie pytanie, za odmowę mitologizowania zapłacił biedą i zapomnieniem. Słowackiego ratowała przed nędzą tylko umiejętność gry na giełdzie. A Mickiewicz, ten specjalista od podtrzymywania mitów, był akceptowany i kochany.

„Gazeta Wyborcza” 2012, nr 263, s. 16.
Nowe mity o pisarzach

własnym sumptem: Juliusz najmniej może mógł liczyć na zbyt swoich dzieł, a także na łaskę mecenasów, którzy by tę niezrozumiałą poezję zechcieli finansować (Paweł Hertz, *Portret Słowackiego*, wyd. 7, Warszawa 1976, s. 106).

Jarosław Marek Rymkiewicz skrupulatnie policzył dochody i wydatki poety, z tych obliczeń wynikało, że można było wtedy żyć w Paryżu, skromnie, ale dość przyzwoicie, za jakieś 120 franków miesięcznie. Słowacki, mając prawie dwa razy tyle, nie musiał się więc specjalnie ograniczać – mógł nawet część pieniędzy, które przychodziły z kraju, odkładać, a to znów pozwalało mu opłacać papier, drukarzy oraz introligatorów (Jarosław Marek Rymkiewicz, *Słowacki. Encyklopedia*, Warszawa 2004, s. 374).

Rozprawiając się z mitem Judeopolonii, Michał Otorowski wspominał o państwowotwórczych inicjatywach Rosji bolszewickiej, o tworzonych w teorii i praktyce „niezależnych republikach”; żaden z tych twórców, przypomniał: *nie miał mieć charakteru „stricte” żydowskiego. Z Polakami miało być inaczej: Tymczasem nawet po krachu owych planów powołano na terenie sowieckiej Białorusi [sic!] dwa autonomiczne okręgi [sic!] polskie, „Marchlewszczyznę Radziecką” (w roku 1925) i „Dzierżyńszczyznę Radziecką” (w roku 1932). Natomiast podobny [sic!] okręg żydowski powołano w odległym o tysiące kilometrów dalekowschodnim Birobidżanie (Michał Otorowski, *Judeopolonia na jawie i we śnie*, „Midrasz. Pismo Żydowskie” 2012, nr 5, s. 13).*

Na terenie sowieckiej Białorusi nie było przed wojną polskich autonomicznych okręgów; za wschodnią polską granicą utworzono dwa polskie rejony (powia-

ty) narodowościowe: Marchlewszczyznę na Ukrainie i Dzierżyńszczyznę na Białorusi. Nawiasem: w 1926 roku powstał na Ukrainie również żydowski rejon narodowościowy, do 1930 utworzono jeszcze dwa.

Już i w Grenadzie zaraza. Już nawet na łamach „Tygodnika Powszechnego” można spotkać „wkurzaczy”. Znawcy literatury i pisarka w jednej osobie też musiała się posłużyć wulgarnymi eufemizmami: *Dostaje na przykład wkurzający [sic!] raport ze sprzedaży, opatrzone uwagą... [sic!] Moja [opowieść] nosiłaby tytuł „Wierność”, megalomański i wkurzający [sic!] dla tych, którzy mają na sumieniu zdrady* („Książki w Tygodniku” 2012, nr 7–8, s. 22; dodatek do: „Tygodnik Powszechny” 2012, nr 38).

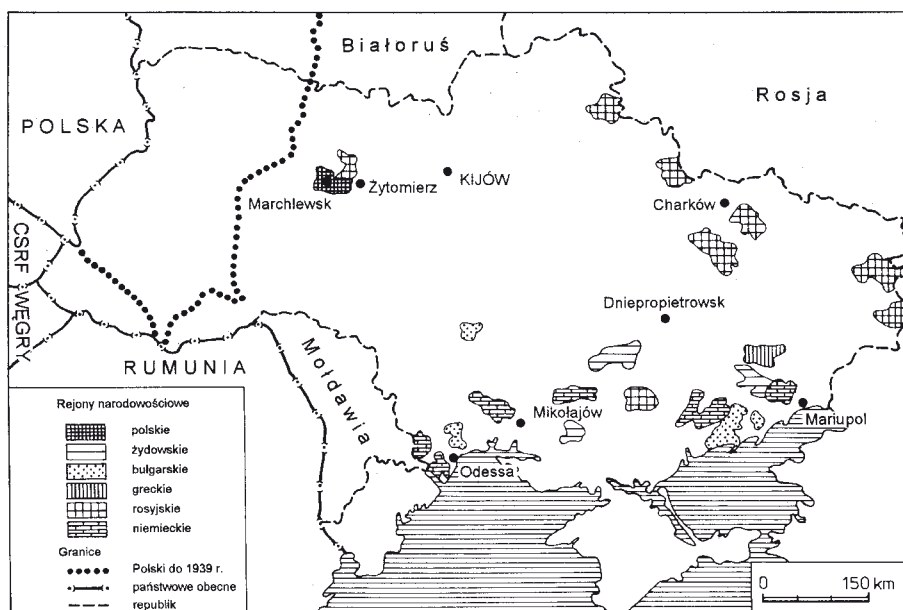
Ktoś inny, też pisarz, popisywał się tam ostatnio znajomością języka nazbyt potocznego: *Nie wyglądało to dramatycznie: któregoś dnia wyrzekł się wszelkich aspiracji, olał [sic!] obowiązki, położył łagę [sic!] na nauce* („Tygodnik Powszechny” 2012, nr 47, s. 38).

Gdzie indziej pisarz o pisarzu: *Stulecie jego [Andrzejewskiego] urodzin, które w 2009 roku przypadło, wszyscy bowiem solidarnie olali [sic!], nikt oficjalnego roku Andrzejewskiego nie ogłosił, dzieł jego nie wznawiono wcale, legendarny dziennik intymny jest coraz bardziej legendarny, czyli nie ma go w ogóle, zwycięstwo nad Andrzejewskim pełne Iwaszkiewicz teraz odnosi* („Duży Format” 2012, nr 45, str. 16).

I psycholog, wykładowca warszawskiej SWPS, w rozmowie o komunikacji niewerbalnej, nie mógł się obejść bez brzydalstwa, tłumaczył: *Jeśli wiemy, że osoba uderzająca w stół jest szefem i rozmawia z pracownikiem, to łatwo znajdziemy usprawiedliwienie takiego zachowania: o, pewnie pracownik coś przeszkrobał i szef się wkurzył* („Wysokie Obcasy” 2012, nr 42, s. 20).

Ksiądz proboszcz z dużego miasta o dochodach parafialnych i prywatnych: *A ja jadę na ten pogrzeb za 200 zł, zabieram kościelny (kościelny dostaje 20–30 zł za dojazd – do pensji mu się dolicza) i na cmentarzu widzę trębacza, trumnę wypasioną [sic!] i wieniec za 450 zł. No i wkurzam się [sic!], bo tylko na księdzu zaoszczędzili (Portfel księdza. Z proboszczem z Łodzi o pieniądzech parafialnych i prywatnych rozmawia Adam Czerwiński, „Duży Format” 2012, nr 40, s. 7).*

Ta wypasiona trumna brzmi nieźle. Tylko podmiejskim, wiadać, językiem można rozmawiać o oszczędzaniu na duchownym.



Mapka 2. Rejony narodowościowe na Ukrainie

Dyskutanci rozprawiali o szkolnictwie wyższym i zapytali: *Czy na pewno przedstawiciele tego pokolenia nie mieli świadomości, że są robieni w konia?* (*Wykształcenie śmieciowe*, „Tygodnik Powszechny” 2012, nr 41, s. 4).

Poważna dysputa. O kształceniu na poziomie akademickim. Wykształcenie śmieciowe, prawie koszarowy język. Jakie szkoły, taki język. Sprzężenie zwrotne.

Recenzent „Polityki” zauważył: *Pisarz Varga pełnymi garściami czerpie z dorobku felietonisty Vargi, co widać w jego ostatniej powieści „Trociny”, której bohaterem jest Polak mocno wkurzony [sic!] na dzisiejszą Polskę* („Polityka” 2012, nr 38, s. 76).

Jeszcze jeden „wkurzacz” się objawił, i to na gościnnych występach: *Ja już to przerabiałem, ale nie powiem gdzie i kiedy, bo w innym tekście Orliński napisał, że wkurza go [sic!] wyciąganie analogii do PRL-u. A ja absolutnie nie chcę nikogo wkurzać [sic!] – ani Orlińskiego, ani Leszczyńskiego, ani premiera Głińskiego, który teraz pewnie szlifuje swoje exposé* („Gazeta Wyborcza” 2012, nr 232, s. 8).

I zapomniał pewnie, że publicyście z takim nazwiskiem wolno się zirytować czy zdenerwować, a nawet i „wkur.ć”, ale „wkurzać” się mu nie wypada. Lepiej zostawić ten fonetyczny zamiennik wulgarnego słowa obłudnikom i udawaczom (tym, którzy udają, że nie znają brzydkich słów i zwrotów).

Brzydkie pisanie o szkole: *Szkola ma przechlapanie [sic!], bo wysyp warzyw przypada na wakacje i jedynie czerwiec, wrzesień i październik dają luz wyborcu* („Wysokie Obcasy” 2012, nr 35, s. 36).

Przybywa wkurzaczy, olewaczy i innych użytkowników języka nazbyt potocznego. Równają w dół, gdzie mogą. Nawet do poważnych pism już trafiają. Wkurzacze w „Tygodniku Powszechnym” i w „Polityce”, olewacze i wkurzacze w „Wysokich Obcasach”. Kto by się tam spodziewał zwrotów z języka podmiejskiego. Będą mieli nad czym zastanawiać się kiedyś językoznawcy i medioznawcy. Będą pewnie pisać długie rozprawy o postępującej tabloidyjacji prasy. I o bezkarnych psujach językowych.

W książce Waldemara Łysiaka, za szybko wydanej (*Karawana literatury*, Warszawa 2013!, a tu dopiero jesień 2012 r.), dużo brzydkich słów, złośliwych, zniesławiających cytatów, a także dużo wzmianek i błędów, nawet szkolne błędy się tam zdarzają.

Przypomina pisarz: *Już wówczas, gdy nagrodzono Henryka Sienkiewicza za „Quo vadis” (1905), mówilo się, iż uczyniono tak tylko dlatego, że szwedzka Akademia, twardo dyskryminująca Tolstoja, szukała innego Słowianina, którego można by uhonorować Noblem. Rozpatrywane były kandydatury Sienkiewicza i Orzeszkowej, [...] a Sienkiewicz jednak wygrał, bo powieść historyczna lansująca Starożytność stała się wtedy bardzo modna dzięki „Ben Hurowi” Amerykanina Lewisa Wallace’a* (s. 104).

Nie za *Quo vadis* otrzymał Sienkiewicz literacką nagrodę Nobla, ale za całokształt, za *znakomite zasługi jako pisarza epickiego*. Nie wszyscy, nawet znawcy literatury, o tym pamiętają (zob. Tadeusz Oracki, *Sienkiewicz i nagroda Nobla*, „Życie Literackie” 1985, nr 26).

Powtarza też Łysiak plotkę (za Danielem Olbrychskim?, czy za dziwnym wydawcą: „Zamek”, Warszawa 1992, 1994), że Tadeusz Boy-Żeleński miał napisać *Nowoczesną sztukę chędożenia*, a Aleksander Fredro – *XIII Księgę „Pana Tadeusza”* (s. 162). Znaczący twórca Tadeusza Boya-Żeleńskiego i Aleksandra Fredry nic o tym nie wiadomo.

Po co powtarzać plotki o rzekomym autorstwie? Nie wszystkie przecież obsceniczne utwory przypisywane Fredrze wyszły spod jego pióra. Fredro nie napisał *XIII Księgi „Pana Tadeusza”* (zob. Marcin Cieński, *Fredro*, Wrocław 2003, s. 41–42). Autorstwo *Baśni o królownie...* (s. 133) też nie jest pewne. *Baśń...* Fredrze też przypisano kiedyś. Nawiasem: ten utwór nazywa się nieco inaczej – *Baśń o trzech braciach i królownie*.

Andrzejowi Biernackiemu przypisał za szybko piszący autor książkę *Ziemiaństwo* (s. 30). Znakomity eseista takiej książki nie napisał (a że mógłby, gdyby zechciał, napisać o ostatnich Mohikanach polskiego dworu w kulturze polskiej, to już inna sprawa), zamieścił w książce zbiorowej pod tym tytułem swój szkic tylko.

Manueli Gretkowskiej zmienił Łysiak tytuł powieści, *Kabaret metafizyczny* przezwał *Kabaretem mistyfikacji* (s. 198–199), Sławomirowi Mrożkowi zmienił imię na „Stanisław” (s. 44), Tadeusza Żychiewicza nazwał „Żychniewiczem” (2 razy na s. 157), i jeszcze wymyślił pisarza, który miał się nazywać „Márai” (s. 73). Miał to być zapewne Sándor Márai.

Takie wzmówienia można znaleźć w książce napisanej przez znanego autora, o którym ktoś zechciał z całą powagą napisać tak: *jeden z najwybitniejszych mistrzów pióra, jaki kiedykolwiek stapał i stapa po polskiej ziemi* (cyt. za: Waldemar Łysiak, *op.cit.*, s. 35). A on o wybitnych pisze inaczej: *faworytami Salonu, chwalonymi za rzekomą literacką wybitność, byli od początku III RP wierszokleta Stanisław Barańczak, pseudofilozof Józef ksiądz Tischner i socweteran prozy Tadeusz Konwicki* (s. 60). Popisuje się też znajomością wulgaryzmów, wulgarnych eufemizmów i słów niedoborowych. Z lubością używa też przymiotnika „priwiślański”. Po co rozpowszechniać tę hybrydę językową? Jeśli to miało być po rosyjsku, to trzeba pisać: „priwislinskij”, a po polsku: „przywiślański” (albo: „nadwiślański”).

Książka ukazała się w Wydawnictwie Nobilis. Ktoś tam pewnie zapomniał, że *Noblesse oblige*.

Adam Wierciński

Andrzej Hamada

Konsul w willi wielkiego brata

Już dwadzieścia lat minęło od uroczystego otwarcia w Opolu niemieckiej placówki dyplomatycznej. W drodze adaptacji budynku po siedzibie TPPR (Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej) na wyspie Pasiece powstał w 1992 roku wicekonsulat, filia Generalnego Konsulatu RFN we Wrocławiu, a od niedawna, bo od 2008 roku – samodzielny Konsulat RFN w Opolu.

Usytuowany przy ulicy Strzelców Bytomskich, w samym sercu Pasieki, wyspy najbardziej historycznej w Opolu. Tu na Ostrówku, północnym jej cyplu, zaczęło się życie miasta, tu była, począwszy od VIII wieku, pierwsza osada-gród opolskich Słowian, potem od XIII wieku siedziba książąt opolskich na zamku z potężną wieżą Piastowską. Tu wreszcie, na miejscu po zburzonym w latach dwudziestych ub. wieku zamku, wzniesiono nowy gmach rejencji opolskiej (po ostatniej wojnie okazała siedziba władz wojewódzkich i urzędu marszałkowskiego).

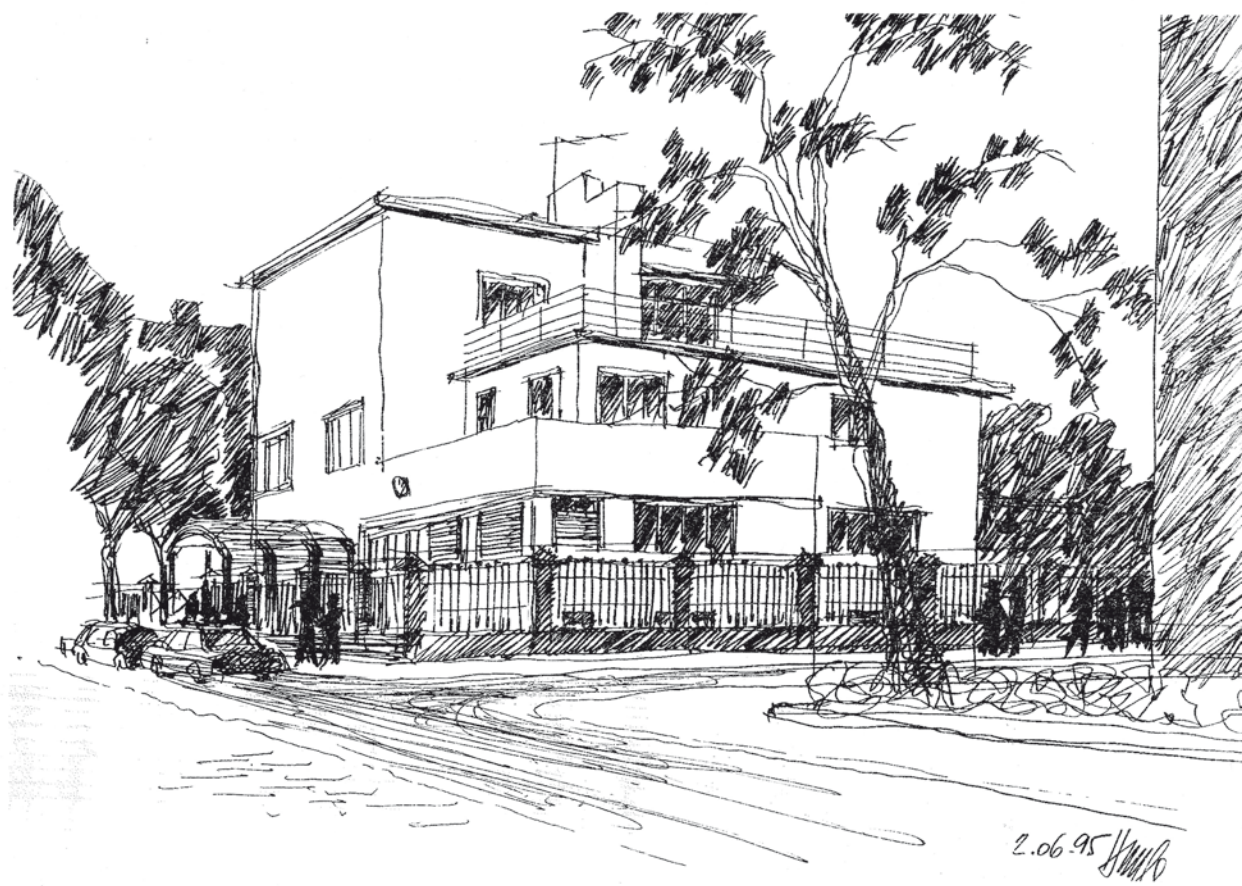
Ale aż do XIX wieku wyspa Pasieka przynależała do zamku, tu były zawsze ogrody książęce i książęca pasieka (stąd nazwa wyspy), były składy soli i żelaza.

A później, z końcem XIX wieku, przyłączono wyspę do miasta i zaczęła się jej planowa zabudowa. Wznoszone są okazałe wille, a także budowle użyteczności publicznej: wielki browar zamkowy, ogromna synagoga, polski konsul przy ulicy Konsularnej, Zarząd Dróg Wodnych, Izba Rzemieślniczo-Handlowa i stacja Towarzystwa Łyżwiarskiego nad stawkiem, który w latach 30. uchodził za jedno z najpiękniej położonych lodowisk w całych Niemczech.

W latach powojennych, już za naszych czasów, tu, na Pasiece, ulokują się kolejne ważne instytucje: Wojewódzki i Młodzieżowy Dom Kultury, urzędy – wojewódzki i marszałkowski, Wojewódzka Biblioteka Publiczna, Instytut Śląski, Instytut Historii Uniwersytetu Opolskiego i biblioteka uniwersytecka, amfiteatr, lodowisko Toropol. A także siedziby radia i prasy (NTO), szkoła muzyczna i Liceum Sztuk Plastycznych, Wyższa Szkoła Zarządzania i Administracji, ekskluzywny hotel Piast.

Takie znakomite instytucje nobilitują wyspę Pasiekę i są godnym sąsiedztwem dla konsulatu, ważnej placówki dyplomatycznej.





Autorem adaptacji niemieckiej willi dla potrzeb konsulatu był niżej podpisany, opolski architekt Andrzej Hamada, inwestorem – Generalny Konsulat RFN we Wrocławiu pod nadzorem Bundesbaudirektion (Naczelna Dyrekcja Budowlana) Berlin. Kiedy otrzymałem w 1991 roku zlecenie na projektowanie i przybyła do Opoli na rozmowy najpierw pani konsul hrabina von Pfeil, a potem panowie z Berlina, już wiedziałem, że chodzi tu o przebudowę przedwojennej willi modernistycznej.

Charakterystyczna stylowa budowla, wyraziście modernistyczna (poza okazałym gmachem urzędu wojewódzkiego pozostało na Pasiece kilka jeszcze takich budynków), w tym stylu modernizmu lat trzydziestych, stylu minionej już epoki. I te obiekty, relikty przeszłości, powinny zachować swoją niepowtarzalną architekturę. Taką też zasadę przyjąłem, podejmując się prac projektowych i konsekwentnie ją realizowałem.

Bryła budynku o zróżnicowanej asymetrycznej tectonice z tarasami i podcieniami, prostota kształtu, gładkość ścian, narożne okna i zupełny brak dodatkowych elementów dekoracyjnych, wszystko w zgodzie z wszechpanującym wówczas w świecie modernizmem – to zobowiązywało do pełnego uszanowania takiej architektury.

Stwarzało to czasem niekonwencjonalne sytuacje. Oto przykład: względy funkcjonalne narzucały ułożenie sanitariatów na parterze (sugestia z Berlina), dokładnie w miejscu dotychczasowej otwartej wnęki ta-

rasowej, a więc wymagały jej zabudowania. Bronilem się przed takim niekorzystnym dla architektury budynku rozwiązaniem, ale bezskutecznie. Więc zdecydowałem się na postawienie tam nowej ściany zewnętrznej w surowej cegle, bez wykończenia tynkarskiego, oczywiście z jej wyspoinowaniem, dla zaznaczenia, że tu był podcień. Właśnie wtedy przyjechał na wizytację budowy sam konsul generalny z Wrocławia i... jemu się to nie spodobało. Cały budynek jest otynkowany, więc to też trzeba pokryć tynkiem, by nie raziło surowością czegoś jakby niedokończonego – orzekł. Użyłem wszystkich możliwych argumentów w obronie czystości stylowej architektury budynku, ale zaważył ten jedyny, że podcień w tym miejscu był świadomym zamiarem architekta z lat trzydziestych, a więc niemieckiego architekta.

Bronilem się też przed późniejszymi zakusami rozbudowy budynku, przed nadbudową w miejscu dużego górnego tarasu, przed zabudowaniem ścianami otwartego, górnego zadaszenia. Udało mi się zachować charakterystyczną architekturę willi: zamiast rozbudowy stanę w ogrodzie otwarte namiotowe zadaszenia („tymczasowe”) do dodatkowej obsługi wizyjowej, a zabudowę otwartego górnego zadaszenia wykonano w pełnym oszkleniu, jakby markującym otwartość przestrzenną tego tarasu. W sumie w architekturze zewnętrznej uniknięto istotnych zmian.

Współpraca z niemieckim inwestorem, Konsulatem Generalnym we Wrocławiu i Bundesbaudirek-



tion w Berlinie, układała się znakomicie. A zakres zadań znacznie wykraczał poza przyjęte u nas zwyczaje, według których praca architekta kończyła się na sporządzeniu projektu wraz z wszystkimi opracowaniami branżowymi i kosztorysami oraz ewentualnym nadzorem autorskim podczas budowy. Tutaj architekt staje się pełnym przedstawicielem inwestora na czas przebiegu całego procesu budowy, sprawuje tak zwany inspektorat inwestorski nad budową, przeprowadza przetarg i wybiera wykonawcę robót, nadzoruje prawidłowość przebiegu, rozliczeń i fakturowania robót, dokonuje odbioru końcowego, a potem jeszcze przez dwa lata sprawuje nadzór gwarancyjny. Te wszystkie zadania przebiegały bez większych zakłóceń, stale widoczny postęp robót, przy pełnym zaufaniu ze strony inwestora, dawały satysfakcję. Było to dla mnie bardzo ciekawe doświadczenie współpracy polsko-niemieckiej i

znalazło wyraz w wydanej w 2004 roku książce konsula Manfreda Gerwinata *Hoffnungstraeger der Versoehnung in Schlesien (Posłańcy nadziei i pojednania na Śląsku)*, który rozdział mnie poświęcony zatytułował: *Architekt, który buduje pojednanie*.

Że niemiecki konsulat znalazł lokum akurat w budynku po wieloletniej siedzibie TPPR to swoisty chichot historii, wiadomo bowiem, że ta instytucja zajmowała się profesjonalnie, jak sama nazwa wskazuje, nieustającym pogłębianiem przyjaźni z wielkim bratem.

Ale historia lubi się powtarzać: utworzony w Opolu przed wojną polski Konsulat Generalny został w 1931 roku ulokowany w budynku po byłej szkole niemieckiej (ul. Konsularna 3 na Pasiece), w której kształcono młodych junkrów w iście teutońskim duchu. A krzewiący polskość tych ziem Instytut Śląski przy ulicy Piastowskiej zbudowano w 1984 roku dokładnie na miejscu dawnej piwiarni ogrodowej (Zum Eiskeller), gdzie podczas pobytu w Opolu w 1932 roku wykrzykiwał swoje agitacje na wielkim wiecu partii narodowo-socjalistycznej jej wódz Adolf Hitler.

Historia chichocze z lekka także w nazewnictwie ulic. Ulica Strzelców Bytomskich (wyborowy oddział Ślązaków w Wojsku Polskim), przy której jest niemiecki konsul, nazywała się dawniej ulicą SA (skrót

od Sturmabteilungen), upamiętniająca oddziały szturmowe NSDAP. A ulica Grunwaldzka była przed wojną Sedańską (Sedanstrasse), dla uczczenia wielkiego zwycięstwa pruskiego w 1870 roku nad napoleońską armią francuską.

Przedziwnym *faux pas* natomiast, nie mającym już związku z historią, było usytuowanie w 1965 roku pomnika Adama Mickiewicza na placu... Juliusza Słowackiego. Z inicjatywy Związku Nauczycielstwa Polskiego zresztą.

Od dwudziestu już lat niemiecki konsul w pięknej ponemieckiej willi przy ulicy Strzelców Bytomskich ma się dobrze. Wpisał się na trwale w znakomity pejzaż historycznej wyspy Pasieki.

Andrzej Hamada
Rys. autor

Włodzimierz Kaczorowski

Diabeł łańcucki grasował też w Byczynie

Stanisław Stadnicki: samotny indywidualista i kochanek wolności czy zwykły watażka, który napadał, łupił i torturował?

Władysław Łoziński (1843–1913), powieściopisarz, nowelista i historyk, pisząc *Prawem i lewem. Obyczaje na Czerwonej Rusi w pierwszej połowie XVII wieku*, t. 1-2, Lwów 1903, tak nas w zagadnienie o rządach prawa w Rzeczypospolitej wprowadzał: *Co za świat, co za świat! Groźny, dziki, zabójczy. Świat ucisku i przemocy. Świat bez władzy, bez rządu, bez ładu i bez miłosierdzia. Krew w nim tańsza od wina, człowiek tańszy od konia. Świat, w którym łatwo zabić, trudno nie być zabitym. Kogo nie zabił Tatarzyn, tego zabił opryszek, kogo nie zabił opryszek, zabił go sąsiad. Świat, w którym cnotliwym być trudno, spokojnym niepodobna*¹. Choć ten obraz, malowany czarnymi barwami, gdyż oparty na realiach z życia „Diabła” Stadnickiego z Łańcuta, zbliżał się do rzeczywistych warunków szlacheckich, przecież nie oddawał rzeczywistości całej Rzeczypospolitej okresu panowania Zygmunta III Wazy. Na pewno nie dotyczył sytuacji zachodnich i centralnych ziem Rzeczypospolitej. Łamanie praworządności przez władze, bezprawie wybitnych jednostek było i jest bardziej spektakularne, płodne w skutki i w związku z tym w źródła, niż działanie zgodne z prawem i zasadami współżycia społecznego². Władysław Łoziński w najciemniejszych barwach nakreślił sylwetkę Stanisława Stadnickiego herbu Szreniawa, zwanego „Diabłem Łańcuckim”, starosty zygwulskiego w *Prawem i lewem*, poświęcając mu cały czwarty rozdział zatytułowany: *Diabeł łańcucki*³.

Stanisław Stadnicki (przed lub w 1551–1610) był synem Stanisława Mateusza (zm. ok. 1563), działacza reformacyjnego, posła na sejmy. Po nauce w szkole w Dubiecku Stadnicki rozpoczął studia w Heidelbergu (immatrykulowany 9 sierpnia 1566 r.). W źródłach historycznych Stadnicki pojawia się dopiero w latach 1573–1575, kiedy najechał i spustoszył lasy należące do Zofii ze Sprowy Kostczyny oraz napadł na czele od-

działu zbrojnych na Przeworsk, wysadził bramę miejską i uwolnił z więzienia swego sługę⁴.

W latach 1576–1582 Stadnicki uczestniczył w wojnie z gdańszczanami, w kampanii połockiej; brał udział w oblężeniu Pskowa. Po zawartym z Moskwą rozejmie w Jamie Zapolskim, Stadnicki na polecenie Jana Zamoyskiego, kanclerza wielkiego koronnego i hetmana udał się do Inflant i stacjonował w Wolmarze. Po zakończeniu kampanii w Rydze, 27 marca 1582 r. otrzymał za zasługi roczną pensję w wysokości 1 tys. złp. Rozczarowanie Stadnickiego, który liczył na przyznanie mu co najmniej starostwa przemyskiego, wywołało jego nienawiść do Jana Zamoyskiego jako sprawcy niepowodzenia.

W czasie bezkrólestwa po śmierci Stefana Batorego w 1586 r., Stadnicki wraz ze Zborowskimi, Stanisławem Górką, wojewodą poznańskim i innymi stronnikami arcyksięcia Maksymiliana, występował na sejmikach i zjeździe elekcyjnym przeciw Janowi Zamoyskiemu. Kandydaturę królewicza Zygmunta Wazy uważał za dobrą, ponieważ jednak była ona popierana przez kanclerza, zwalczał ją pod hasłem obrony zagrożonych wolności. W 1587 r. Stadnicki wziął udział w oblężeniu Krakowa. Po nieudanym oblężeniu miasta arcyksiążę Maksymilian 30 listopada 1587 r. zarządził odwrót. 7 grudnia 1587 r. armia Maksymiliana dotarła do Siewierza, skąd – dzięki wzmocnieniu przez nadciągające posiłki – planowano ponowne uderzenie na Kraków. Jednak trudna sytuacja w armii arcyksięcia (powszechne dezercje) sprawiła, że po dłuższym postoju w Siewierzu wojsko przemaszerowało do Krzepic, usiłując po drodze zdobyć zamek warowny Olsztyn, którego obroną kierował burgrabia Kasper Karliński. Dowódcą wojsk oblężniczych był Erazm Lichtenstein.

Kilkudniowe szturmowe przypuszczone do zamku przez oddziały najemnych lancknechtów niemieckich

¹ W. Łoziński, *Prawem i lewem. Obyczaje na Czerwonej Rusi*, t. 1 *Czasy i ludzie*, Kraków 1960, wyd. 6, s. 3.

² S. Grodziski, *O rządach prawa w Koronie*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 2005, t. 57, z. 1, s. 171.

³ W. Łoziński, *op. cit.*, t. 2 *Wojny prywatne*, s. 215-316.

⁴ J. Byliński, *Stadnicki Stanisław, zw. Diabłem łańcuckim*, „Polski słownik biograficzny”, t. 41, Warszawa–Kraków 2002, s. 425-433. Dziękuję Prof. J. Bylińskiemu, z którym wydałem wiele edycji źródłowych, za udostępnienie mi źródeł rękopiśmiennych wykorzystanych przy opracowaniu tego artykułu.



Portret Stanisława z Łańcuta Stadnickiego „Diabła”, litografia, połowa XIX wieku, Biblioteka Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Muzeum Książąt Lubomirskich, sygn. I, g. 15582. Reprodukacja z: S. Łubieński, *Droga do Szwecji Zygmunta III, króla polskiego i szwedzkiego, w 1593 roku. Rozruchy domowe w Polsce w latach 1606–1608*, wyd. J. Byliński, W. Kaczorowski, przeł. A. B. Jocher, S. Szczygieł, Opole 2009

i rajtarów nie były w stanie złamać oporu stawianego przez obrońców. Ogień artylerii fortecznej i ręcznej broni palnej, jakimi dysponowała załoga zamku, okazał się na tyle skuteczny, że nastąpiło przełamanie oblężenia.

Jedyny pozostały przy Maksymilianie polski oddział Stanisława Stadnickiego ujął ukrytego w lesie sześciolatniego syna Kaspra Karlińskiego, Zygmunta. Urowadzone dziecko stało się zakładnikiem atakujących oddziałów, co jednak nie skłoniło obrońców do kapitulacji. Szturm został odparty, znaczne straty ponieśli napastnicy.

W tym czasie liczebność oddziału Stanisława Stadnickiego wzrosła do 800 ludzi, z którymi w styczniu 1588 r. zajął on Wieluń. 21 stycznia jego oddział został wysłany na zwiad i zaatakował siły Jana Zamoyskiego, jednak w nocy z 21 na 22 stycznia poniósł klęskę pod Parzymiechami, po której Stadnicki powrócił do Wielunia.

W czasie bitwy pod Byczyną 24 stycznia 1588 r. oddział Stadnickiego znajdował się w pierwszej linii lewego skrzydła wojsk Maksymiliana, dał się sprowokować do ataku na polskie centrum i został całkowicie rozбит. Gdy szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Zamoyskiego, Stadnicki pospiesznie uciekł do Bierutowa, a stamtąd do Wrocławia. Następnie przebywał w Księstwie Opolskim u szlachcica Sambora Ziemieckiego, gdzie poznał jego córkę, a swoją przyszłą żonę Annę, którą między 1588 a 1592 r. sprowadził do Łańcuta.

W 1588 r. Stadnicki opuścił Rzeczpospolitą i udał się do Włoch, aby zabiegać u tamtejszych książąt o poparcie dla arcyksięcia Maksymiliana. Trzeba zaznaczyć, że Stadnicki nie starał się o amnestię, usuwając się na jakiś czas z kraju, gdzie czekały na niego liczne pozwy o zdradę stanu oraz rozboje. Prawdopodobnie wówczas nastąpił drugi pobyt Stadnickiego na Węgrzech (pierwszy raz przebywał tam między drugą połową 1582 r. a najpóźniej początkiem 1584 r.). Za służbę u cesarza Maksymiliana Habsburga otrzymał w 1588 r. 1 tys. talarów. Na początku lat dziewięćdziesiątych powrócił do Rzeczpospolitej. W 1591 r. został obrany marszałkiem zjazdu dysydenckiego w Chmielniku; przewidywano również, że stanie na czele powstania przeciw Zygmuntowi III Wazie. Gdy jednak król zawarł ugodę z Habsburgami, Stadnicki szybko pogodził się z nową sytuacją i przeszedł do obozu regalistycznego. Zygmunt III, chcąc pozyskać maksymilianistów, przemyślał oczy na łupiestwa Stadnickiego. Mimo to latem 1593 r., po odjeździe króla do Szwecji, Stadnicki miał ponownie złożyć przysięgę na wierność Maksymilianowi.

W następnych latach Stadnicki pełnił mandat posełski. Miał wówczas szerokie wpływy wśród szlachty ruskiej, która między innymi w petycjach sejmikowych domagała się dla niego nagrody za zasługi wojenne. Równocześnie szukał nowych źródeł dochodu, wszczynając wojny z sąsiadami, między innymi z Mikołajem Spytkiem Ligezą (1562–1637), kasztelanem sandomierskim oraz z Konstantym Korniaktem (1520–1603), kupcem lwowskim, celnikiem ruskim, pochodzącym z greckiej rodziny z Krety.

Ligęza był zapobiegliwym gospodarzem, dążył do rozwoju swoich posiadłości, rozwijał handel, szczególnie bydłem i zbożem. Stadnickiemu chodziło o przejęcie dochodów z należących do Ligęzy jarmarków w Jarosławiu i Rzeszowie, co usiłował osiągnąć przez ustanowienie własnego jarmarku w Łańcutie w dniu św. Marka (25 kwietnia). Podejmował różne działania, mające odstraszyć kupców udających się do Rzeszowa, napadał na nich i grabił, rozpoczynając w ten sposób pięcioletnią wojnę (1600–1605), pełną krwawych potyczek, a nawet bitew⁵.

Konstanty Korniakt stał się najbogatszym człowiekiem Lwowa. Bogactwo jego opierało się na prowadzeniu międzynarodowego hurtowego handlu, którego przedmiotem były zwłaszcza greckie wina, bawełna, zachodnie sukna, mołdawski miód, skóry wołowe i futra; uprawiał również lichwę. Pożyczając duże sumy szlachcie, zdołał zgromadzić w swoim ręku w ziemiach: przemyskiej i lwowskiej, przynajmniej 40 wsi oraz miasteczka Hussaków i Kulików. Na przełomie XVI i XVII w. przebywał często w Przemyskiem, gospodarując i prowadząc spory o dobra z takimi panami, jak zadłużony u niego Stanisław Stadnicki i Hiero-

⁵ A. Przyboś, *Ligęza Mikołaj Spytke, kasztelan sandomierski*, „Polski słownik biograficzny”, t. 17, Wrocław–Warszawa 1972, s. 319–321.



Tomasz Łosik, *Portret Mikołaja Zebrzydowskiego, marszałka wielkiego koronnego, wojewody krakowskiego*, według portretu znajdującego się w Arcybractwie Miłosierdzia w Krakowie, 1868 r., rysunek, Muzeum Narodowe w Krakowie, nr inw. MNK III – r.a. – 17800. Reprodukacja z: J. Byliński, W. Kaczorowski, *Smoleńsk 1609-1611. Szkic z dziejów nadgranicznej twierdzy*, Opole 2012

nim Jazłowiecki⁶. Konstanty Korniakt upomniął się o zwrot 17 tys. złp. zabezpieczonych na Łańcucie, który wykupił Stanisław Diabeł Stadnicki od Pileckich, oraz 30 tys. złp. pożyczonych przez Stadnickiego u Konstantego Korniakta po bitwie pod Byczyną. Ponadto Korniakt umożliwił Stadnickiemu nabycie Łańcuta, w zamian za co Stadnicki miał przekazać mu w posiadanie sąsiadujące z Łańcutem dobra Krzemieniec, Czarną i Głuchów. Po śmierci Konstantego Korniakta w 1603 r., Stadnicki, nie mogąc wygrać procesu z synami zmarłego, Konstantym i Aleksandrem, przedsięwziął 29 lipca 1605 r. wyprawę z Łańcuta z udziałem ok. 1500 jazdy i piechoty. Zdobył i złupił doszczętnie zamek Korniaktów w Sońnicy, zagarniając zgromadzone tam kosztowności i gotówkę, oceniane na ponad 140 tys. złp. Konstanty Korniakt (junior) przez pewien czas bronił się w obwarowanej izbie, został jednak zmuszony do poddania się i uprowadzony do Łańcuta. Tam pod groźbą utraty życia zgodził się na podyktowane mu warunki i po kilkumiesięcznej niewoli, w

stanie skrajnego wyczerpania, skwitował Stadnickiego w Sanoku ze wszystkich długów⁷.

W 1606 r. wybuchła w Rzeczypospolitej rewolta szlachecka zwana rokoszem Zebrzydowskiego albo sandomierskim. W Koronie na czele rokoszu stanął Mikołaj Zebrzydowski, wojewoda krakowski, na Litwie – Janusz Radziwiłł, podczaszy litewski, a na Rusi – Jan Szczęsny Herburt. Stanisław Stadnicki został jednym z przywódców rokoszu sandomierskiego. (Ze względu na ramy tego artykułu, odsyłam zainteresowanych do edycji źródłowej, w której ukazano przebieg rokoszu Zebrzydowskiego, a także udział w nim Stanisława Stadnickiego: Stanisław Łubieński, *Droga do Szwecji Zygmunta III, króla polskiego i szwedzkiego w 1593 r. Rozruchy domowe w Polsce w latach 1606-1608*, wyd. Janusz Byliński i Włodzimierz Kaczorowski, przeł. Adam Benedykt Jocher, Sylwia Szczygieł, Opole 2009).

Lata porokoszowe wypełnił Stadnickiemu zatarg z Łukaszem Opalińskim (1581–1654). Spór ten, obracający się początkowo w ramach zatargów sąsiedzkich, przerodził się z czasem w wojnę domową. Stadnicki był jednak bez wątpienia, zwłaszcza w początkowym okresie konfliktu, stroną agresywną. W 1607 r. Opaliński, napadnięty przez Stadnickiego pod Łukowem, z trudem uszedł z życiem. Wiosną 1608 r. udało się jednak Opalińskiemu pokonać starostę zygwulskiego, a następnie zdobyć i złupić jego siedzibę Łańcut. W odwecie Stadnicki spustoszył starostwo leżajskie Opalińskiego. Kolejna próba mediacji, podjęta w 1609 r. przez Zygmunta III Wazę, zakończyła się niepowodzeniem. Nie pomogło też wytoczenie sprawy przed Trybunał Lubelski, który poprzestał na wydaleniu Stadnickiego z Leżajska. Dopiero w 1610 r. Opalińskiemu udało się wreszcie, po zgromadzeniu znaczniejszych sił, najpierw zdobyć ufortyfikowany punkt oporu Stadnickiego w Wojutykach. Pod nieobecność Stadnickiego (udał się na Węgry dla werbunku) Opaliński o świcie 15 lipca 1610 r. uderzył na Wojutyce (w trakcie walk spłonął pałac wojutycki) i pojmano Annę Stadnicką z dziećmi. W drodze powrotnej z Węgier Stadnicki został zaatakowany przez ludzi Opalińskiego. Wymykał się pościgowi do 20 sierpnia 1610 r., kiedy w okolicy Tarnawy koło Chyrowa dogonił go i zabił sługa wojewodziny wołyńskiej Anny Ostrogskiej, Macedoński. Opaliński przedstawił zwłoki Stadnickiego w grodzie przemyskim, stwierdzając, że go jako banitowanego „*propriis viribus et auxilio* zniósł i skończył”⁸.

Stanisław Stadnicki był człowiekiem bezwzględnym, mściwym, wyjątkowo okrutnie obchodzącym się z oponentami. Toczył ciągłe wojny z sąsiadami i innymi przeciwnikami. Szczególną nienawiść wzbudzał w Stadnickim Łukasz Opaliński, w tym okresie starosta

⁷ J. Byliński, *op. cit.*, s. 427.

⁶ W. Urban, *Korniakt Konstanty, kupiec lwowski, ibidem*, t. 14, Wrocław–Warszawa 1968, s. 82-83.

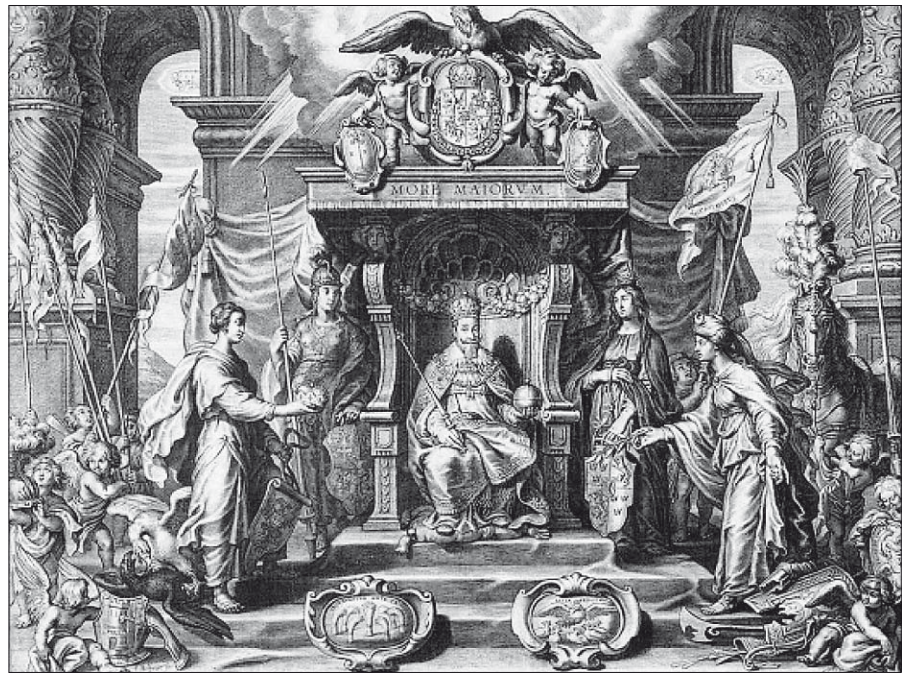
⁸ W. Czaplinski, *Opaliński Łukasz, marszałek wielki koronny, wojewoda rawski*, „Polski słownik biograficzny”, t. 24, Wrocław–Warszawa 1979, s. 90-93.

leżajski, później marszałek wielki koronny, wojewoda rawski. Był bezwzględny wobec przeciwników, surowy dla poddanych i podległych sobie ludzi. Z lubością ich torturował lub osadzał w lochach w Łąncucie, a następnie zagarniał ich majątki prawem kaduka. To jego wreszcie okrzyknięto „Diabłem”, a jego siedzibę „Piekłem”. Lecz „Diabeł Łąncucki” (mimo dużej popularności u szlachty, głównie różnowierczej, już za życia zdobył złą sławę, a od czasu rokoshu nazywany był coraz częściej „Diabłem Łąncuckim”) odznaczył się męstwem i odwagą w różnych kampaniach wojennych. Pragnął on coraz większych dostojęństw, bogactw i znaczenia. Marzył mu się wy-

soki awans społeczny i niemal nieograniczony wpływ na Zygmunta III Wazę i rządy w Rzeczypospolitej. Jako jedyny z synów Stanisława Mateusza (pozostali synowie – Marcin, Mikołaj, zabity w Rzymie przez Andrzeja Kretkowskiego w 1580 r., Jan i Andrzej Piotr) pozostał po śmierci ojca przy kalwinizmie i był uważany za opiekuna protestantów, czemu dawał wyraz podczas sejmu i rokoshu Zebrzydowskiego. Po nabyciu Łąncuta nakazał miejscowym dominikanom opuścić klasztor. Oskarżono go, że w wyniku jego działalności „dziewięć kościołów spustoszonych, bydłętom mieszkaniem są”⁹.

Analiza sylwetki Stanisława Stadnickiego i jego skomplikowanego życiorysu skłania do postawienia pytań: czy „Diabeł Łąncucki” był zupełnie złym człowiekiem, pozbawionym uczuć i empatii? Jaki był jego stosunek do żony Anny i dzieci? Stadnicki miał z Anną z Ziemeńskich trzech synów i córkę: Władysława, Zygmunta, Stanisława i Felicjanę, zameżną z Piotrem Cieciszewskim. Synowie Stadnickiego przez współczesnych nazywani byli „Diablętami”, a Władysław Łoziński poświęcił im w swojej pracy *Prawem i lewem* piąty rozdział, zatytułowany: *Diablęta*¹⁰. Bracia staczali zacięte boje o podział dóbr (ich ojciec był człowiekiem zamożnym), najpierw z matką, później z siostrą, która w 1623 r. zrzekła się spadku po ojcu, a w końcu między sobą. Po śmierci Stanisława Stadnickiego, Anna w 1614 r., po rzekomym porwaniu, wyszła za Ludwika Poniatowskiego, arianina i znanego rokoshanina; zmarła w 1619 r.

Zła sława „diabła wcielonego”, jak określano Stanisława Stadnickiego w pismach rokoshowych, odżyła w drugiej połowie XIX w. za sprawą powieści Ada-



Alegoria rządów Zygmunta III Wazy, Schelte à Bolswert, Antwerpia 1628, Muzeum Historyczne m.st. Warszawy, nr inw. MHW 4445. Reprodukacja z: S. Łubieński, *Droga do Szwecji Zygmunta III, króla polskiego i szwedzkiego, w 1593 roku. Rozruchy domowe w Polsce w latach 1606–1608*, wyd. J. Byliński, W. Kaczorowski, przeł. A. B. Jocher, S. Szczygieł, Opole 2009

ma Krechowieckiego, *Starosta zygwułski*, Lwów 1887. Powieść, będąca początkiem właściwej działalności pisarskiej Adama Krechowieckiego (1850–1919), osnuta jest wokół postaci „Diabła” Stadnickiego. Nie jest to dzieło wybitne, odznacza się jednak barwnym językiem. To doskonale uzupełnienie wiedzy o dziejach Rzeczypospolitej końca XVI i początku XVII w. Dodajmy, że wiek XVII był również tłem następnej powieści historycznej Adama Krechowieckiego, *Veto*, Kraków 1889, której bohaterem jest podsędek upicki Władysław Wiktorzyn Syciński (Syciński), który zerwał sejm w 1652 r. Począwszy od drugiej połowy XVIII w. postać Sycińskiego była dla przeciwników *liberum veto* symbolem warcholstwa szlacheckiego i braku poczucia odpowiedzialności za Rzeczpospolitą. Adam Krechowiecki w tej czterotomowej powieści ukazywał brak zgody wewnętrznej, egoizm jednostkowy i stany magnatów, rosnącą anarchię, ciemnienie chłopów jako przyczyny klęski i upadku Rzeczypospolitej. Władysław Syrokomla (1823–1862), poeta, tłumacz, w trzyaktowym dramacie historycznym *Kasper Karliński* (fragmenty utworu ukazały się częściowo na łamach „Gazety Warszawskiej” w 1858 r., a w edycji książkowej w tymże samym roku w Wilnie), wprowadził epizod dotyczący Stanisława Stadnickiego. Józef Ignacy Kraszewski (1812–1887), pisarz, publicysta, historyk, w powieści *Bajbuza. Czasy Zygmunta III*, w której tytułowym bohaterem jest Iwan Bajbuza, zamożny szlachcic wołyński, poświęcił również sporo miejsca Stanisławowi Stadnickiemu.

W XX w. Zofia Kossak-Szczucka (1890–1968), powieściopisarka, w obszernej epickiej opowieści

⁹ J. Byliński, *op. cit.*, s. 430.

¹⁰ W. Łoziński, *op. cit.*, t. 2, s. 319–359.

Złota wolność, Kraków 1928, ukazała postać Stanisława Stadnickiego. Z kolei Hanna Januszevska (1905–1980), poetka, powieściopisarka, ukazała „Diabła” Stadnickiego w powieści *Rękopis pani Fabulickiej*, Warszawa 1958. Wielu innych powieściopisarzy i dramatopisarzy uwzględniło w swoich dziełach postać Stanisława Stadnickiego, m.in.: Jadwiga Żylińska (1910–2009) w powieści *Gwiazda spadająca*, Warszawa 1980, a także Adolf Nowaczyński (1876–1944), który w dramacie *Smocze gniazdo albo wybawienie diabła z szlacheckiej opresji*, Warszawa 1906, podjął próbę rehabilitacji Stadnickiego jako samotnego indywidualisty i „kochanka wolności”.

Należy jeszcze wskazać pracę Jacka Komudy, *Diabeł Łańcucki*, Lublin 2011 (wyd. 3), która nie jest powieścią biograficzną, jak by wynikało z jej tytułu, a raczej barwnym obrazem życia w Rzeczypospolitej szlacheckiej.

Dodam jeszcze, że w październiku 2012 r. ukazał się obszerny tom źródłowy – przetłumaczony z włoskiego oryginału, dotyczący wydarzeń z czasów panowania Zygmunta III Wazy – w którym postać Stanisława Stadnickiego zajmuje wiele miejsca. Autorem jest Alessandro Cilliego, który na dworze pierwszego Wazy na polskim tronie spędził długie lata (A. Cilli, *Historia buntów możnowładczych w Polsce w latach 1606–1608. Historia Moskwy*, oprac. i wyd. Janusz Byliński i Włodzimierz Kaczorowski, z j. włoskiego przeł. Anna Broczkowska-Nguyen, Opole 2012, Wydawnictwo i Drukarnia Świętego Krzyża w Opolu).

Stanisław Stadnicki został również przedstawiony przez Jana Matejkę na obrazie *Kazanie Skargi*, nama-

lowanym w latach 1862–1864. W centrum obrazu leży rękawica, którą m.in. interpretuje się jako wyzwanie rzucone magnaterii. Pośrodku stoją Janusz Radziwiłł, Mikołaj Zebrzydowski i Stanisław Stadnicki – połączeni udziałem w rokoszu Zebrzydowskiego przeciw Zygmuntowi III Wazie.

W tym krótkim szkicu nie sposób było nakreślić z dużą głębią psychologiczną sylwetki Stanisława Stadnickiego, indywidualności budzącej kontrowersje wśród współczesnych. Kiedy przywołujemy wydarzenia sprzed 400 lat, będące świadectwem działań władz godzących w praworządność oraz bezprawia przedstawicieli szlachty, nasuwa się gorzka refleksja. W dzisiejszej dobie zmagają z wieloma problemami społecznymi, ekonomicznymi, pilną koniecznością staje się uporządkowanie w Polsce systemu prawnego i egzekwowania prawa, stworzenie kultury politycznej odpowiadającej standardom cywilizowanego świata. W tym kontekście wydarzenia w Rzeczypospolitej z lat 1606–1608, nazwane przez Alessandro Cilliego buntami możnowładczymi, nabierają szczególnej wymowy i aktualności. Ma to zasadnicze znaczenie w polskiej, współczesnej rzeczywistości, w której powszechnie stwierdzone jest naruszanie prawa i wolności obywatelskich zagwarantowanych konstytucją. Rzeczywistości, w której narusza się podstawy ładu społecznego i sprawiedliwości, jak również tłumi inicjatywy obywatelskie.

Włodzimierz Kaczorowski



Zimowa droga (fot. Tadeusz Parcej)

10 października br., w wieku 83 lat, zmarł Jerzy Jarocki, wybitny reżyser teatralny, pedagog i dramaturg. Dwa miesiące wcześniej udało się z nim porozmawiać doktorantce Uniwersytetu Opolskiego, przygotowującej pracę dotyczącą historiozofii w przedstawieniach Jerzego Jarockiego po 2000 r. Oto zapis tej rozmowy.

Czysta Forma to pułapka?

Z Jerzym Jarockim, reżyserem teatralnym, pedagogiem i dramaturgiem, rozmawia Małgorzata Andrzejak-Nowara

– Panie Profesorze, chciałabym na początku naszej rozmowy cofnąć się do czasów pańskiego dzieciństwa i Pana pierwszych doświadczeń teatralnych. Mam na myśli reminiscencje z okresu okupacji niemieckiej, przywołane w książce Beaty Guzalskiej pt. *Jerzy Jarocki artysta teatru*. W jednej z rozmów wspomina Pan tajemniczy zielony barakowóz, który stał na podwórku przed rodzinną kamienicą i w którym stworzył Pan swój pierwszy teatr. Chyba nieprzypadkowo lalkowy. Czy już jako 12-letni chłopiec myślał Pan o teatrze, w którym ożywają przedmioty, który sam staje się żywą formą?

– Proponuje mi pani powrót do prehistorii (*śmiech*). Sytuacja, którą pani przywołuje, była epizodem. Jednorazowym incydentem. Nie myślałem wtedy o formie, bo nie miałem o niej najmniejszego wyobrażenia. A do teatru trafiłem bardziej poprzez język, przez literaturę, która fascynowała mnie od zawsze. Już w szkole powszechnej nauczyciele języka polskiego odkryli moje zainteresowania. Zwrócili też uwagę na walory głosowe i pamięciowe, co zresztą potrafiłem świetnie wykorzystywać. Zamiast uczyć się do klasówek, wolałem recytować wiersze. To być może trochę brało się z mojego lenistwa. Skłonności do łatwizny, pragnienia natychmiastowych rezultatów. Ale były to jeszcze czasy, kiedy marzyłem o podróżach. Chciałem zostać marynarzem i zwiedzać świat. Cóż mnie powstrzymało? Być może fakt, że za dużo kobiet mógłbym unieszczęśliwić! (*śmiech*). Dużo, dużo później zrozumiałem, że nie potrafię żyć bez teatru. Ale znalazłem się w nim dzięki mowie, romantycznym ideałom, które, owszem, domagają się utrwalenia w formie.

– Powiedział Pan, że studia w Moskwie stały się „zdzieraniem fałszywego ekspresjonizmu”. Może Pan to skomentować?

– Moi wykładowcy w krakowskiej PWST byli to w większości wybitni przedwojenni twórcy. Wytrawni pedagodzy. Redutowcy, ale nie tylko. Większość reprezentowała europejski poziom, jak choćby Juliusz Osterwa czy Stefan Jaracz. W Krakowie wykładał też wspaniały aktor Waław Nowakowski, który u Schillera w legendarnym *Samuelu Zborowskim* zagrał tytułową rolę. Z kolei analizy dramatu nauczył mnie Wiesław Górecki, znakomity znawca literatury. Nie sposób tutaj wszystkich wymienić. Jednak z największym sentymentem wspominam dwa wielkie nazwiska: Władysława Woźnika i Gustawa Holoubka – naprawdę świetnych wykładowców. Pomimo że szkoła krakowska starała się chronić studentów przed jednostronnością, to nasza tradycja romantyczna niejako wymuszała



Jerzy Jarocki (fotografia Stefana Sokołowicza na druku reklamowym księgarni internetowej Teatru Narodowego, promującym monografię *Reżyser. 50 lat twórczości Jerzego Jarockiego*)

na młodych ludziach postawę cierpienniczą. Narodowe tkwienie w romantyzmie, częstokroć źle pojętym polskim mesjanizmie, groziło zewnętrżnością, emfazą. To w konsekwencji mogło prowadzić do rezonerstwa. Taka naiwna chęć umierania za miliony rodziła patos. Prawdopodobnie przejąłem wszystkie te skłonności i potem w GITIS-ie (Rosyjskiej Akademii Sztuki Teatralnej, znanej także jako Moskiewska Akademia Teatralna – wyższa szkoła teatralna, działająca w Moskwie od 1878 r. – przyp. M. A.- N.) musiałem się ich pozbyć. To nazywam „zdzieraniem owego fałszywego ekspresjonizmu”.

– **Powiedział Pan w rozmowie z Sylwią Frołow (S. Frołow, *Przebicie się do prawdy. Rozmowa z Jerzym Jarockim, „Notatnik Teatralny” 2006 nr 41 s. 16–20): „Rosjanie nauczyli mnie naturalnego przekraczania granicy między rzeczywistością a udaniem” – mógłby Pan to skomentować?***

– Podczas studiów w Moskwie szybko zorientowałem się, że w Rosji istnieje coś, co nazywam podwójnością hasłową. Komunistyczna ideologia wymuszała udawanie, które polegało na komunikacji zewnętrznej – ze światem oraz wewnętrznej, czyli rodzinnej. Konieczność takiej podwójnej komunikacji narzucała przymus ciągłej samokontroli i oszukiwania, czyli szczególnej teatralizacji życia. Komunikacja zewnętrzna przybierała entuzjastyczną postać manifestacji, wieców, pochodów. W przeciwieństwie do tego, co działo się w domach, za zamkniętymi drzwiami. Natomiast samo przekraczanie granic pomiędzy oficjalnością a prywatnością odbywało się automatycznie. W końcu przechodziło w nawyk. Przez cztery lata studiów obserwowałem to na co dzień.

– **Teatralizacja życia wymuszona określoną sytuacją, czyli forma dla formy. Zmieniając temat, tym razem w kontekście artystycznej formy, chciałabym kolejny raz cofnąć się w przeszłość i powrócić do Pana inscenizacji Witkiewiczowskiej *Matki* w krakowskim Starym Teatrze. Interesuje mnie, w jakim stopniu pierwsza realizacja z 1964 odbiegała od wersji drugiej z 1972 roku?**

– Do swojej pierwszej *Matki*, tej w 1964, podszedłem z większą obawą. Ale paradoksalnie ta realizacja była bardziej efektywna od następnej, znacznie oszczędniejszej. Szczególnie za sprawą kostiumów Krystyny Zachwatowicz, która zresztą była autorką obu scenografii. W pierwszym podejściu być może nie wiedziałem jeszcze, co chcę przez ten tekst powiedzieć.

– **Czy to oznacza, że pierwsza *Matka* była efekciarska?**

– Jeśli efektywność nie kryje w sobie odpowiednio głębokiej analizy, staje się efekciarska. Słuszne więc okazały się wówczas zarzuty Ludwika Flaszena wobec tamtej inscenizacji. Nie mogę się natomiast zgodzić z jego pretensjami pod adresem aktorów. Oni zagrali bardzo dobrze.

– **Oglądałam realizację telewizyjną *Matki* z 1976 roku i zastanowiła mnie zmiana obsady w jednej z głównych ról. Co ją spowodowało?**

– Powód był życiowy i zupełnie prosty, choć o tym się nie mówi. Danuta Maksymowicz, która grała rolę Zofii Plejtus w Teatrze Starym, właśnie urodziła syna. Dlatego w spektaklu telewizyjnym zastąpiła ją Ewa Dałkowska.

Jerzy Jarocki (1929 – 2012) – reżyser teatralny, pedagog, tłumacz i dramaturg. Ukończył Wydział Aktorski Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Ludwika Solskiego w Krakowie. Studia reżyserskie – w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej (GITIS) w Moskwie. Był uczniem Nikołaja Gorczakowa, współpracownika Konstantego Stanisławskiego. Debiutował w 1957 roku w Teatrze Śląskim im. Stanisława Wyspiańskiego przedstawieniem „Bal manekinów” Brunona Jasińskiego. W 1959 wraz ze studentami Politechniki Śląskiej stworzył Studencki Teatr Gliwice (STG), w którym odbyła się światowa prapremiera „Ślubu” Gombrowicza (kwiecień 1960) – po 4 spektaklach przedstawienie, uznane przez krytyków za najciekawszy spektakl w teatrze studenckim w 1960 r. znalazło się na indeksie i zostało zdjęte z afisza. W 1961 r. Jarocki podjął współpracę ze Starym Teatrem im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie. W latach 1962–1998 był etatowym reżyserem Starego Teatru. Główne dzieła Jarockiego powstały na scenach Teatru Polskiego we Wrocławiu, Teatru Dramatycznego w Warszawie i Starego Teatru w Krakowie i były oparte na literaturze współczesnej. Jego ulubionymi autorami byli: Eugene O’Neill, Arthur Miller, Sławomir Mrożek, Friedrich Dürrenmatt, Stanisław Ignacy Witkiewicz, Witold Gombrowicz, Tadeusz Różewicz, Anton Czechow, Władimir Majakowski. Od 1966 r. Jerzy Jarocki był wykładowcą w krakowskiej PWST (od 1991 r. – profesorem tej uczelni). W 1994 r. został przyjęty w poczet członków Polskiej Akademii Umiejętności. Od roku 2003 był związany także z Teatrem Narodowym w Warszawie. Wystawił tam m.in. „Kosmos” Gombrowicza (2005) i „Miłość na Krymie” Sławomira Mrożka (2007), „Tango” Mrożka (2009), „Sprawę” wg „Samuela Zborowskiego” Słowackiego (2011). Niedługo przed śmiercią rozpoczął przygotowywanie do autorskiego przedstawienia „Węzłowisko”, którego premiera była przewidziana na wiosnę 2013 roku. We wrześniu 2012 roku zakończył zdjęcia do telewizyjnej rejestracji „Tanga”. Zmarł 10 października 2012 r. Miał 83 lata.

– **Interesuje mnie, w jaki sposób Ewa Dałkowska weszła w tak trudną rolę. Realizacja telewizyjna nie daje przecież możliwości przeprowadzenia prób w pełnym, teatralnym wymiarze. Zarówno pod względem czasowym, jak i wykonawczym. W jaki sposób bardzo młodej wówczas i niedoświadczonej aktorce udało się wejść w tak precyzyjnie skonstruowany spektakl?**

– Znałem już Ewę Dałkowską, ponieważ pracowała ze mną wcześniej na scenie Teatru Szkolnego warszawskiej PWST – w *Aktach* opartych na tekstach: *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego, *Ślubu* Witolda Gombrowicza, *Tanga* Sławomira Mrożka i *Matki* Witkacego, w której zagrała właśnie Zosię Plejtus. Była więc w pewnej mierze przygotowana. Oczywiście jest rzeczą, że w tak krótkim czasie nie mogła wejść w rolę równie głęboko i precyzyjnie, jak to zrobiła Danuta Maksymowicz. Musiałem więc Ewę Dałkowską poprowadzić dokładnie jej śladami. Ale to bardzo dobra aktorka, więc potrafiła dostroić się do całego zespołu *Matki*.

– **Panie Profesorze, spotkałam się z opiniami, że Pana teatr jest „zimny”, „chłodny”, „z dystansem”. W książce Beaty Guczalskiej odpowiedział Pan, że Pana teatr miał być barokowy, a nie zimny. Co to oznacza?**

– Miałem na myśli bogactwo stylistyczne, różnorodność form. Nie chodziło mi o ornamentykę, bo mój teatr jest jej pozbawiony. Tak, myślę, że barokowość w tym ujęciu to także rozmaite znaczenia. Ale przede wszystkim różne style. Pewnie to miałem na myśli.

– **Gdybym zapytała Pana o Czystą Formę Witkacego, czy ma Pan jakąś swoją definicję tego pojęcia?**

– Nie jestem teoretykiem teatru i nie mam ambicji formułowania definicji. Ale jeśli już mowa o Czystej Formie Witkacego, to przecież nawet on sam na przestrzeni lat wielokrotnie zmieniał zdanie. Im był starszy, tym bardziej oddalał się od teorii, którą próbował zdefiniować w swoim szkicu estetycznym *Teatr z 1925 roku*. Zresztą jego *Katalog dramatów* oznaczany gwiazdkami także na to wskazuje. Na przykład *Szewcy*, jego ostatni dramat, są tam oznaczeni tylko jedną gwiazdką, co oznacza, że oddalają się od Czystej Formy. Witkacy przechodził rozmaite stadia myślenia oraz twórczości i z wiekiem coraz bardziej skupiał się na treści. Wystarczy przyjrzeć się jego dziecięcej dramaturgii i porównać z dojrzałą twórczością. W moim przekonaniu jego Czysta Forma to w pewnym sensie pułapka. Nawet autorska próba jej zdefiniowania wydaje się dość enigmatyczna. Tak naprawdę to właściwie trudno jest nam dzisiaj zrozumieć, co Witkacy miał na myśli.

– **Ale przecież i Pan do swojego *Grzebania* wmontował wykład Stanisława Ignacego Witkiewicza o Czystej Formie?**

– Tak, ale to był jeszcze etap wczesnego Witkacego, z okresu *Sonaty Belzebuba*. Zupełnie w innej perspek-

tywie Witkacy – bohater mojego przedstawienia – widział siebie i świat, kiedy stał nad własnym grobem i rozmawiał z księdzem Józefem Tischnerem.

– ***Grzebanie* to jeden z tych spektakli, który niezmiennie mnie wzrusza, chwyta za gardło. Ale chciałabym teraz porzucić rozważania na temat Witkacego. Panie Profesorze, od 1961 roku pracował Pan ze studentami. Czy w swojej wieloletniej praktyce zawodowej dostrzegł Pan jakąś szczególną różnicę w pracy z młodzieżą i z doświadczonymi aktorami?**

– Każdy reżyser spotyka się w swojej pracy z różnymi osobowościami. Z aktorami o różnym podejściu do zawodu, z różną wrażliwością. W szkole jest bardzo podobnie jak w teatrze. Nie wszyscy są tak samo zdolni i otwarci na propozycje. Zdarza się, że szkoła nic nie daje, jeśli ktoś jest mało zdolny. Ale zdarzają się aktorzy, którzy właśnie podczas studiów rozwijają swój talent, już na tym etapie wzbogacają warsztat. To skomplikowany proces. Jeśli chodzi o mnie, zawsze najbardziej lubiłem pracować ze studentami drugiego, trzeciego roku, a potem przygotowywać wspólnie z nimi spektakle dyplomowe. Nie przepadałem za pierwszym rokiem. Wiem, że Krystian Lupa chętnie tworzy etiudy właśnie z najmłodszymi. Ja wolałem starsze lata.

– **Ma Pan swoich ulubionych aktorów? Skąd się rekrutują?**

– Tak, mam aktorów, z którymi często współpracuję. Jeśli zetknąłem się z nimi w szkole teatralnej, to już wtedy starałem się ich tak obsadzać, aby mogli jak najlepiej zaprezentować się w spektaklach dyplomowych i dzięki temu otrzymać angaże w dobrych teatrach. Chętnie pomagałem im znaleźć się w krakowskim Starym, albo w jakimś teatrze warszawskim, w którym chciałem się z nimi spotkać w późniejszej pracy. Zawsze starałem się wyłapywać talenty, a potem na scenie eksponować aktorskie walory. Niektórzy z moich podopiecznych, myślę o tych najstarszych, dziś mogą już mieć pod osiemdziesiątkę (*śmiech*).

– **Nieosiągalne!**

– To proszę sobie policzyć. Zostałem pedagogiem w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, moi pierwsi studenci mogli mieć wówczas 22–23 lata, więc ile mają teraz? Wychowałem parę aktorskich pokoleń. Napływali do mnie dwoma strumieniami: albo prosto ze szkoły, albo poprzez teatr. Tak jak w przypadku Jerzego Bińczyckiego, z którym spotkałem się w Teatrze Wyspiańskiego w Katowicach i ściągnąłem go do Krakowa, podobnie zresztą było z Edwardem Lubaszenką.

– **Skoro jesteśmy przy studiach aktorskich, to proszę mi powiedzieć, jakie dostrzega Pan różnice w kształceniu młodych aktorów w szkołach – rosyjskiej i polskiej?**

– Jeśli chodzi o system szkolnictwa rosyjskiego, to nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, bo go dziś już

nie obserwuję. Natomiast śledzę od kilkunastu lat Międzynarodowy Festiwal Szkół Teatralnych, który odbywa się w warszawskiej Akademii Teatralnej. I rzeczywiście – zauważyłem, że rosyjskie przedstawienia różnią się od pozostałych. I nie tylko naszych, ale także tych z Europy Zachodniej. Widać to w rozumieniu postaci, w ciągłości prowadzenia roli. I to nie tylko pod względem psychologicznym, bowiem młodzi Rosjanie potrafią także świetnie operować formą. Posiadają bogaty warsztat aktorski i sprawnie się nim posługują. Zauważyłem też coś, co nazywam odpowiedzialnością aktora za postać. Wydaje mi się, że są po prostu bardziej dojrzały.

– **Czy chce Pan przez to powiedzieć, że rosyjscy studenci są lepiej przygotowani do uprawiania zawodu?**

– Myślę, że tak. Ale jednocześnie pragnę podkreślić, że każdy festiwal jest tylko wycinkiem pewnej rzeczywistości – specjalną reprezentacją, w wykonaniu konkretnej grupy, z myślą o wyeksponowaniu jej wszystkich walorów. I wyłącznie z tego punktu widzenia mogę to odpowiedzialnie oceniać.

– **Bardzo dziękuję za rozmowę.**

Rozmowa telefoniczna (Rosochaty Róg nad Wigrami – Kraków, 18 sierpnia 2012)

Skok po tytuł magistra



Tak cieszyły się, 24 listopada br., absolwentki polonistyki i kulturoznawstwa Uniwersytetu Opolskiego, które w tym właśnie dniu odebrały dyplomy magisterskie (fot. Łukasz Morawiec)

Miesięcznik „Teatr”, najstarsze pismo teatralne w Polsce, przyznał swoje doroczne nagrody. Nagrodą Specjalną uhonorowano reżysera teatralnego Mikołaja Grabowskiego, który – zdaniem jurorów – *wprowadził na scenę sarmacką tradycję i podjął twórczą dyskusję, ostatnio w spektaklach „Pan Tadeusz, czyli ostatni zajazd na Litwie” według poematu Adama Mickiewicza, w adaptacji Mikołaja Grabowskiego i Tadeusza Nyczka w Narodowym Starym Teatrze w Krakowie oraz „Dwanaście stacji” Tomasza Różyckiego w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu. Opolski spektakl obejrzała też Martyna Friedla, studentka I roku kulturoznawstwa (studia magisterskie), członkini Studenckiego Koła Naukowego Teatrológów, autorka zamieszczonej niżej recenzji.*

Choć fundament mocny, posypała się fasada

Spektakl *Dwanaście stacji* w reżyserii Mikołaja Grabowskiego
w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu

To pokolenie kolejkowiczów. Znamy ich z przystanków autobusowych, parków, a przede wszystkim, jak się zdaje – z poczekalni w przychodniach lekarskich. Na scenę (jeszcze przed rozpoczęciem spektaklu, kiedy widownia, nieuciszona ostatnim dzwonkiem, rozmawia swobodnie o bolących stawach, Różyckim, reżyserze *Dwunastu stacji* czy o spożytych tego dnia posiłkach), spokojnym krokiem wchodzi starsi panowie. Siadają bez pośpiechu na ustawionych w rzędzie krzesłach. Ubrani w prochowce, kieszenie wypełnione mają reklamówkami. Na głowach kaszkiety bądź kapelusze, bolące nogi kryją w butach pamiętających lepsze czasy, zapewne jeszcze PRL-u. W reklamówkach niosą zdobycze współczesności: owoce i mięso zakupione bez wystawiania w kolejkach. Czasem parę cukierków dla wnuków. Półgłosem dyskutują między sobą. I tak widownia szumi do aktorów, a aktorzy mruczą do widowni. W tej atmosferze zagłuszanego oczekiwania, na ekranie zajmującym niemal całą wysokość i szerokość dużej sceny opolskiej, pojawia się autor wystawianego utworu, Tomasz Różycki. Rozpoczyna swój poemat. Starsi panowie obracają się przez ramię, bez szczególnej wnikliwości (a w każdym razie takie sprawiają wrażenie) wpatrują się w ekran. Różycki mówi dość niepewnie, niezgrabnie. Jego sprzeciw wobec miastachoroby, miasta zniechęconego, „potwora bez duszy” i „przekleństwa każdego ranka” jest... cichy, słaby i bez wyrazu (na myśl przychodzi przypowiadające o ból głowy utwory Stachury, w jego własnym wykonaniu). Kiedy kamera płynnie oddala się, widzimy, że Różycki siedzi na szarym, brudnym murku przed jedną z opolskich kamienic. Po wygłoszeniu kilku zdań wstaje i podchodzi do czekających pod klatką młodych ludzi. Stylizacja podkreśla ich młodzieńczość (młodzieżowy ubiór, także dodatki i duża aktywność ruchowa), rozruchliwioną, pełną ciekawości i podniecenia podlotkowatość. Idąc dalej w neologizowaniu, powiem, że

ta ich młodzieńczość była przeruchliwiona, a przez jaszkrawość ubioru – karykaturalna.

Różycki – Narrator wprowadza grupkę do kamienicy, snując opowieść o jej gospodarzach, o panujących tam zwyczajach, jakże „innych” niż „gdzie indziej”. W mieszkaniu, do którego wchodzi, wskazuje młodym przedmioty najwyraźniej znane sobie z dzieciństwa. Po tym wstępnym, nostalgicznym remanencie obraz z ekranu znika, a zza niego, dzięki podświetleniu, widzimy niewielkie, podłużne pomieszczenie. To kuchnia.

Kuchnia jest sercem mieszkania. Miejscem wszelkich obrad, spotkań towarzyskich, duchowych przeżyć przy Radiu Maryja, pijałnią trunków wszelakich, jadalnią... a z czasem przeistacza się nawet w ogród. Na środku stoi wielki stół, jako że trzeba ugościć najbliższą rodzinę, czyli dzieci, wnuków, siostry, ich mężów, sąsiadów i ich przyjaciół. Widzimy tę kuchnię niejako podwójnie: jako opisane już niewielkie pomieszczenie na scenie i jako przestrzeń ukazaną na wielkim ekranie. To na nim rozgrywa się wspaniała scena wyrabiania ciasta na pierogi. Zbliżenie zza ramienia Babci (Ewa Wyszomirska) pozwala poczuć tę ciężką pracę, dostrzec spięcie mięśni na twarzy i niemal medytacyjne skupienie. Jajko wyciekające ze skorupki wpada do mąki jak pocisk, bomba spuszczone z samolotu – i taki też towarzyszy mu dźwięk. Babcia jest olbrzymem, któremu nie wolno przeszkadzać, gdy pracuje nad pierogami jak nad stworzeniem świata, według znanego od dawien dawna porządku. Widz staje się dzieckiem, pełnym podziwu dla pracy umęczonych, ale silnych rąk. Natomiast Wnuk i pozostała trójka skaczą pod ekranem jak małe skrzaty – dotykają ekranu, jakby dotykali widocznej na nim góry mąki, wyginają się, jakby spływali wraz z mlekiem, które Babcia wlewa do mącznego krateru, chichoczą, kręcą się, wiercą... I stają coraz bardziej irytujący. Tymczasem na ekra-

nie przesuwają się tekst – to przepis na pierogi, ten z poematu. To kolejne odwołanie do utworu Różyckiego. Na nieszczęście, obraz, jaki zaprezentował Grabowski, w wielu miejscach zrobił temu utworowi krzywdę. Najlepiej widać to w scenie lepienia pierogów: po skończonej pracy, po wyjściu Babci z kuchni, okazuje się, że pierogi są rozłożone niemal wszędzie – na stole, blatach, kredensie, a po trzaśnięciu drzwiami wypadają także z szafki. Obraz ten wywołuje uśmiech, rozczuła, kiedy pomyślimy, że tak, owszem, babcie często popadają w kulinarną przesadę. Ale takiej hiperboli, tego rodzaju zabiegu artystycznego spodziewałabym się raczej po kreskówce dla dzieci.

Jak się okazuje, łatwiej jest ukazać w sposób stopniowalny (subtelniejszy i celniejszy) sceny picia, z którymi sami aktorzy poradzi sobie bardzo dobrze. Tu pomysły były chwytliwe, zabawne, ukazywały bez spłaszczenia specyfikę polskiej kultury picia. Widzieliśmy scenę filmową, w której sąsiad częstował młodych winem własnej produkcji, a stan ich po każdej szklance (zwróćmy uwagę: szklance właśnie), stopniowo zmieniał się, co widoczne było w sposobie mówienia, ułożenia coraz luźniejszych ciał na krzesłach i ogólnej filozofii myślenia o funkcjonowaniu świata. Swoisty urok miała również scena w kuchni. Wnuk, jako osoba niepijąca, kurtuazyjnie pomagał swoim kolegom opróżnić wszystkie dostępne w mieszkaniu butelki z alkoholem (ale tak, by się nic nie zmarnowało). Mimo że dla dwojga z nich wieczór już się skończył, umordowani pomagali wyszukiwać kolejne butelki.

Zadanie wymagało nadludzkiego wysiłku, ponieważ były pochowane (na wyjątkowe okazje i święta) we wszystkich kuchennych schowkach. Bohaterowie stawiali je na stole w różnych konfiguracjach, jakby grali w szachy. Przesuwali je nawet w pijackim skupieniu, próbując jakiś porządek w tym chaosie zachować. Po wykonaniu zadania padali, jak nieżywi, w kąty kuchni po to, by po chwili znów szperać po szafkach. Ponownie zastosowano hiperbolę (ponieważ ostatecznie butelek było prawdopodobnie około trzydziestu), tym razem jednak umiejętniej. Ale przesadna ekspresja, z jaką młodzi padali na podłogę po każdej dostawie alkoholu, budziła, niestety, zażenowanie.

Kondycja zespołu aktorskiego *Dwunastu stacji* jest wątpliwa. Postacie poematu przesadę mają wprawdzie wpisane w pewne swoje zachowania, ale aktorzy mechanicznie przepoczwarzyli je w karykatury. Tylko Wnuk się udał Łukaszowi Schmidtowi wspaniale. W przeciwieństwie do pozostałych nie tworzył efektu przerysowanej deklamacji tekstu, z jaką się spotykaliśmy na apelach szkolnych w podstawówce. Najgorzej pod tym względem wypadł Maciej Namysło.

Siłą spektaklu jest tekst Różyckiego. Choć fundament mocny, posypała się fasada. Próbowano wzmocnić przekaz poematu poprzez wykorzystanie ekranu (udany pomysł). Jednak chwytliwe sceny filmowe nie uratowały spektaklu.

Minusem *Dwunastu stacji* w reżyserii Grabowskiego jest *nierównomierność*. Jej uzasadnieniem byłoby wywołanie w widzach gwałtownych i sprzecznych re-



Scena zbiorowa ze spektaklu *Dwanaście stacji* (fot. Bartosz Maz)

akcji – od śmiechu po płacz, zmuszające do głębszej refleksji. W Teatrze im. Jana Kochanowskiego jest natomiast odrobina śmiechu, którą wypiera skradające się zażenowanie, przerywane scenami nie tyle refleksyjnymi, co nużącymi. *Dwanaście stacji*, poemat, to nie komedia, to nie tekst kabaretowy. To sprawnie pokazany, wyrazisty obraz kondycji opolskiej społeczności, w której odbijają się ciągle przeżycia sprzed lat. Dzięki wartkości języka i talentowi diagnostyka, Różycki swoją spostrzegawczością potrafi rozbawić czytelnika. Ale jest to śmiech z bólem serca i zgrzytaniem zębów. Zastanawiamy się, dlaczego pewne procesy się nie zmieniają, a my nic z tym nie robimy, brnąc ciągle

w te same błędy i nurzając się we własnej rozpacz, wciąż pielęgnowanej martyrologii.

Grabowski tekst spłycił, zbudował wokół niego obraz, który ostatecznie do poematu nie do końca przystaje. Nie zamierzam klócić się o kwestię wyobraźni czy jej braku: jest to sprawa indywidualna. Ale reżyser, jako główny kreator, jako osoba wrażliwa, mająca moc sprawczą i opiniotwórczą, biorąc na warsztat tak wspaniały tekst rozplątał go bez wyczucia, po czym niezgrabnie zszył.

Martyna Friedla

Gra w karty historii

Od prawie 30 lat **Stanisław Nicieja** nałogowo gra w karty historii Kresów. Na początku trochę oszukiwał. Mianowicie oszukiwał cenzurę, która za tzw. komuny przesyiała pierwsze – jego autorstwa – odcinki o lwowskim Cmentarzu Łyczakowskim, drukowane w miesięczniku społeczno-kulturalnym „Opole”. Premia w tej grze okazała się sława i ogromne nakłady kresowych książek Nicieja, ale stawka ciągle była ta sama: zbiorowa pamięć. I prawda. Do której prawo ma każdy naród.

– Próba pisania historii Polski postrzeganej wyłącznie w dzisiejszych granicach jest nieporozumieniem. Takim samym, jak oczekiwanie, że Niemcy w opisie swych dziejów pominą Breslau czy Oppeln – powiedział prof. Stanisław Nicieja podczas promocji swej najnowszej książki zatytułowanej *Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych*.

Także tym razem (14 listopada br.) duża sala w opolskim Muzeum Diecezjalnym była pełna, a gospodarz spotkania, **ks. prof. Piotr Maniurka** przypomniał, że

podobną frekwencją cieszyło się tu przed dwoma laty spotkanie z okazji ukazania się *Kresowego trójmiasta* tegoż autora.

Po słowie wstępnym **prof. Janusza Dorobisza** – dziekana wydziału historii UO, wydawca tej bardzo dobrej pod względem edytorskim książki, **Bogusław Szybkowski**, żartobliwie narzekął na autora, że ten potrafi jeszcze w ostatniej chwili przed drukiem przybiec z *jakimś rewelacyjnym zdjęciem dopiero co zdobytym (a zdjęcie jest pogięte w szesnastu miejscach, zniszczone), i uważa, że ta rewelacyjna fotografia musi iść w książce koniecznie na całą stronę, i że ja muszę tej fotografii, jak cudotwórca, nadać techniczną jakość godną całościowej ekspozycji*. Bo



Stanisław S. Nicieja i czytelnicy jego najnowszej książki



profesor Nicieja, inaczej niż wielu historyków, nie traktuje fotografii jak ozdóbki czy trzeciorzędne źródło, ale uważa ją za ważny przekaznik kolorytu i klimatu czasów utrwalonych w kadrze, za dostarczyciela informacji o niuansach psychologicznych czy obyczajowych epoki, których istoty i uroku nie da się zawrzeć w pospiesznej narracji, jaka przystoi książce chcącej nie nudzić czytelnika.

Irena Kalita, prezesująca opolskiemu oddziałowi Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, przypomniała zasługi autora dla utrwalać pamięci o historii ziem utraconych, ale omiatając wzrokiem widownię, westchnęła, że *młodzi to nadmiernie tą tematyką zainteresowana, niestety, nie jest*. Odniósł się potem do tego bohater wieczoru:

– Podczas spotkań autorskich, które odbywam w całej Polsce, wśród kilkusetosobowej na ogół publiczności około 20 procent stanowią ludzie młodzi. A niektórzy z nich, podchodząc z książką po dedykację, mówią: *Proszę wpisać: wnukowi Kresowiaka po mieczu i kądzieli; albo: wnuczce dziadka ze Stanisławowa czy wnuczce babci z Krzemieńca...* Jeśli się patrzy globalnie na całe młode pokolenie, to refleksja nie jest wesoła. Ale o sile narodu, jego kulturze, języku,

standardach, stanowią elity, którymi nie są posiadacze beztrudno rozdawanych dyplomów ukończenia wyższych uczelni.

Autor *Kresowej Atlantydy* opowiadał o kulisach powstawania książki, o powodach unikania roli historyka-buchaltera, który z beznamiętną rutyną anatomopatologa traktuje ludzi jak obiekty poddawane autopsji, a historyczne zdarzenia opisuje językiem policyjnych protokołów z miejsca dziejowych wypadków. *Wielkiej historii* – przypomina Nicieja we wstępie książki – *towarzyszy mała. Oprócz dziejów miast i wielkich postaci historycznych związanych z nimi są tu również historie zwykłych ludzi zatrzymane w anegdocie, w starym zdjęciu, w opowieści późnego wnuka, a także w mitologii rodzinnej, która nadaje dziejom specyficzny wdzięk i aromat.*

Kresowa Atlantyda to pierwsza część kresowego cyklu, który planowany jest na około 10 tomów. Do następnych książek mają być dołączane płyty DVD z filmami o Kresach (współautorem tych filmów, z których jeden zaprezentowano podczas wieczoru w muzeum, jest prof. Stanisław Nicieja).

mb

Fot. Jerzy Mokrzycki

Andrzej Krzeczunowicz o najnowszej książce prof. Stanisława S. Nicieji

Kresowa Atlantyda

Dla Kresowiaków pojawiła się na rynku wydawniczym przyjemna niespodzianka. Jest nią kolejne dzieło profesora Stanisława Sławomira Nicieji, czterokrotnego rektora Uniwersytetu Opolskiego, wybitnego znawcy dawnej Małopolski Wschodniej, chyba najpłodniejszego autora zajmującego się tematyką obszaru między Czarnohorą a Prypecią. I jeszcze jedna miła niespodzianka: jest to tylko pierwszy tom nowej serii wydawniczej, zapowiadane są kolejne tomy.

Sam tytuł już wiele mówi. My, Kresowiacy, dobrze rozumiemy ten tytuł. Atlantyda, legendarna wyspa, o której pisał w swych dialogach Platon, zatonała w morzu co najmniej trzy tysiące lat temu w wyniku wielkiego kataklizmu, tak jak zatonała w zawierusze dziejowej Kresy Południowo-Wschodnie. W starożytności i w nowszych czasach odkrywcy, historycy, a nawet literaci pilnie doszukiwali się śladów dawnej Atlantydy. Co im się nie udało – tego dokonał Nicieja, pokazując nam nie tylko jak wygląda nasza kresowa Atlantyda, ale przede wszystkim – jak wyglądała za pamięci najstarszych z nas, za pamięci naszych ojców i dziadków. Książka Nicieji jest bowiem bogato ilustrowana zdjęciami z okresu przedwojennego i z XIX wieku, wydobytymi z prywatnych archiwów i albumów fotograficznych.

Wiele mówi ponadto podtytuł najnowszego dzieła profesora: *Historia i mitologia miast kresowych. Zamiar zawarty w podtytule ujawniają słowa samego autora, że jest to mianowicie opowieść o krainie zatopionej w odmętach niepamięci poprzez długotrwałe działanie cenzury i milczenie, by rzekomo nie wzbudzić resentymentów do ziem przez Polskę utraconych. Jest to swoista wyprawa na mityczną wyspę młodzieńczych doznań i nostalgii setek tysięcy ludzi, których często okrutny los rzucił głównie na Śląsk, ziemię lubuską, Pomorze, Warmię i Mazury, oraz tych, którzy nie mogąc wrócić do kraju ze względów politycznych, osiedli poza jego granicami...*

W tym pierwszym tomie czytamy o Lwowie, Stanisławowie, Tarnopolu, Brzeżanach i Borysławiu. Nie jest to, broń Boże, przewodnik po miastach, o których wiele już napisano. Jest to – by znów zacytować autora – *wielobarwna mozaika krajobrazów i panoram miast... zbiorowy portret mieszkańców tamtej zatopionej Atlantydy, ich uczuć, uniesień, sukcesów, upadków, radości i okrucieństw, których tam doznali.*

Przez długie lata niestrudzony poszukiwacz Nicieja wędrował z aparatem fotograficznym po miastach i wsiach, przedzierał się przez chaszcze na cmentarzach i ruiny dawnych rezydencji, szperał w archiwach urzędowych i rodzinnych, ćwiczył, jak mógł, pamięć nielicznych już naocznych świadków tamtych lat.

Nasz profesor prowadził taką działalność przez długi czas. Jej skutkiem było pojawienie się prawie stu artykułów, głównie w czasopismach na Ziemiach Zachodnich, gdzie skoncentrowali się dawni Kresowiacy. Artykuły te wywołały z kolei powódź reakcji, uwag, uzupełnień, poprawek i anegdot, uwzględnionych w obecnej formie książkowej.

Autorowi przyświecała jeszcze jedna motywacja, którą nazywa *świadomością spóźnienia*, to znaczy poczuciem, że czas szybko płynie i że odchodzą kolejne, ostatnie już pokolenia Kresowiaków. Cytuje nawet słynny fragment wiersza ks. Twardowskiego: *Spieszmy się kochać ludzi – tak szybko odchodzą.*

Wartość nowej serii wydawniczej profesora Nicieji jest ogromna. Służy ona bowiem kultywowaniu pamięci, tak niezbędnej i niezastąpionej dla przyszłych pokoleń. Nie tylko pamięci każdego z nas, Kresowiaków, o swoim zaułku czy zaścianku, ale naszej zbiorowej pamięci, która jest podstawą naszej tożsamości i poczucia wspólnoty.

Andrzej Krzeczunowicz

Andrzej Krzeczunowicz – magister historii uniwersytetu St. Andrews (Szkocja). Polityczne studia podyplomowe ukończył na uniwersytecie w Strasburgu. Wieloletni pracownik Radia Wolna Europa w Monachium (redaktor, kierownik dziennika radiowego, zastępca dyrektora). Korespondent tygodnika „Time” oraz czasopism polskich w Londynie, Paryżu i Nowym Jorku. Dyrektor Biblioteki Polskiej w Paryżu.

Po zmianie ustroju – pierwszy ambasador RP przy NATO. Wykładał m.in. w Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie (Londyn) i na Uniwersytecie Opolskim. Członek Rady Ambasadorów przy Europejskiej Akademii Dyplomacji (EAD).

Włodzimierz Kaczorowski

Metropolia gnieźnieńska na 440 stronach

W dziejach Rzeczypospolitej Kościół katolicki i jego miejscowi zwierzchnicy odegrali doniosłą rolę. To wieki średnie ugruntowały instytucję prymasa jako arcybiskupa posiadającego z racji tej godności uprawnienia jurysdykcyjne oraz tytuł honorowy *ad personam*. Na znaczenie instytucji prymasa w Polsce w istotny sposób wpłynęła pozycja metropolii gnieźnieńskiej.

W Rzeczypospolitej szlacheckiej prymas był dostojnikiem zajmującym pierwsze miejsce, piastował je zarówno w Kościele, jak i w państwie. Przysługiwało mu *ius praeeminentiae*, czyli prawo przewagi nad innymi. Nuncjusz papieski Claudio Rangoni w Relacji o Królestwie Polskim z 1604 r., napisał: *Jako między duchownymi, pomijając innych nie mających innego szczególniejszego obowiązku, jest arcybiskup gnieźnieński, do którego dla jego godności legati nati otrzymanej od Stolicy Apostolskiej, przychodzą z apelacji wszystkie sprawy duchowne Królestwa, także i od arcybiskupa lwowskiego; a z mocy udzielonej mu przez prawa i konstytucje Królestwa, które uznały go pierwszym senatorem i pierwszym księciem, tudzież prymasem tego Królestwa, ojcem króla i Ojczyzny*. Prymas jako interreks nie miał pełni władzy królewskiej. Ogłaszał swym uniwersałem śmierć królewską, czyli początek bezkrólewia. Przejmował obowiązki w zakresie reprezentowania państwa na zewnątrz, przygotowywał wybór nowego monarchy i w tym celu zwoływał sejmiki oraz sejm konwokacyjny. Załatwiał drobniejsze sprawy, ważniejsze wnosząc pod obrady senatu. Prymas wreszcie ogłaszał wybór elekta, czyli dokonywał tzw. nominacji.

Instytucja prymasostwa w czasach zaborów podzieliła los uciemiężonego narodu i Kościoła. Zaborcy doskonale zdawali sobie sprawę, kim w przeszłości był dla Polaków prymas Polski. Wiedzieli, że w czasie wakansu na stolicy królewskiej prymas był interreksem. Orientowali się też, że nikt ze świątłych Polaków nie uznawał cara rosyjskiego czy króla pruskiego za swego prawowitego władcę. Stąd brała się chęć wymazania nawet pojęcia prymasostwa z narodowej świadomości Polaków.

Warunki także ostatniego pięćdziesięciolecia XX w. sprawiły, że osoba piastująca w naszym kraju urząd prymasa była postrzegana nie tylko jako zwierzchnik kościelny, ale też jako przywódca narodu i moralny autorytet życia publicznego. Nadzieje i oczekiwania społeczeństwa polskiego w zakresie oddziaływania

Kościola i jego instytucji na życie publiczne, a w szczególności w czasach przełomowych, skłania historyków do przybliżania współczesnemu czytelnikowi genezy urzędu prymasowskiego i roli arcybiskupów gnieźnieńskich jako prymasów Polski.

W 2012 r. minęło 600 lat od objęcia przez Mikołaja Trąbę (1412–1422) arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, pierwszego prymasa *de iure*, którego tytuł i uprawnienia z nim związane zostały potwierdzone na soborze w Konstancji w 1417 r. Dla upamiętnienia tej rocznicy Wydawnictwo M w Krakowie wydało monumentalne opracowanie wybitnego historyka poznańskiego **prof. Marcelgo Kosmana**, zatytułowane *Poczet arcybiskupów gnieźnieńskich i prymasów Polski* (Kraków 2012).

To już czwarta z kolei publikacja traktująca o prymasach Polski, autorstwa profesora Marcelgo Kosmana. Pierwsze trzy nosiły następujące tytuły: *Poczet prymasów Polski*, Warszawa 1997; *Między ołtarzem a tronem. Poczet prymasów Polski*, Poznań 2000; *Interrex. Rola prymasów w kulturze politycznej dawnej i współczesnej Polski*, Poznań 2011.

Patronat honorowy nad ostatnią publikacją prof. Marcelgo Kosmana objął prymas Polski ks. arcybiskup gnieźnieński Józef Kowalczyk, autor wstępu, w którym m.in. skonstatował: (...) *z wielką radością przyjmuję tę publikację przybliżającą nam postacie kolejnych arcybiskupów gnieźnieńskich i prymasów Polski oraz ich wpływ na dzieje polskiego Kościoła, naszej Ojczyzny, a nawet Europy. Jest ona wyjątkową promocją naszej historii materialnej i duchowej, którą powinniśmy poznawać i z dumą myśleć o naszej przeszłości. To pozwoli nam lepiej zrozumieć teraźniejszość i z nadzieją spoglądać w przyszłość*. To 440-stronicowe dzieło o najwyższych dostojnikach kościelnych w Polsce, ukazujące ich wpływ – jak stwierdził prymas Józef Kowalczyk – na dzieje Kościoła, Polski i Europy, zawiera biogramy, wizerunki i kalendaria wszystkich arcybiskupów gnieźnieńskich i prymasów Polski, w tym trzech żyjących: kardynała Józefa Glempa, arcybiskupa Henryka Muszyńskiego i obecnego prymasa Józefa Kowalczyka.

Dzieło to, a właściwie album, jest bogato ilustrowane. Zawarte są w nim reprodukcje miniatur i obrazów, unikatowych dokumentów, zdjęcia obiektów i pamiątek związanych z postaciami prymasów. Publikacja została przygotowana w twardej, szytej, pokrytej aksamitem oprawie; zawiera głębokie tłoczenia i ozdobne

etui. Znajdują się w niej wizerunki i herby wszystkich 79 arcybiskupów gnieźnieńskich – od Radzima-Gaudentego po arcybiskupa Józefa Kowalczyka.

Jestem przekonany, że dzieło prof. Marcelego Kosmana dobrze przysłuży się upowszechnianiu wiedzy na temat roli Kościoła katolickiego i jego zwierzchni-

ków w dziejach Rzeczypospolitej. Książka bowiem napisana jest językiem przystępnym; została zaopatrzona w obszerne informacje bibliograficzne oraz streszczenie w języku angielskim.

Włodzimierz Kaczorowski

Noc z 5 na 6 października 1971 r., podczas której bracia Jerzy i Ryszard Kowalczykowie wysadzili aulę Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, wspomina Bronisław Siczko, ówczesny student opolskiej WSP, współorganizator Studenckiej Agencji Fotograficznej.

Aula

To była zimna i mglista noc. Waletowałem w „Mrowisku” u Romka i Adama, kumpli z Wałbrzycha, którzy byli wtedy na praktykach pedagogicznych. Ja, jako że byłem na dziekance, nie miałem praktyki i pracowałem w Spółdzielni Studenckiej. Wybuch był tak silny, że wstrząsnął całą okolicą, a mnie postawił od razu na nogi. Skoczyłem do okna. W miejscu auli rozszedła się chmura cementowego kurzu, z której wylatywały deski i kawałki dachu. Ponieważ nie było światła, ubrałem się po omacku w przygotowane na jutro do pracy brudne ciuchy i popędziłem ratować.

Plac przed uczelnią zasłany był gruzem i szkłem, a wszystkie okna w zasięgu wzroku wybite. Przez okno dostałem się do hallu. Po zaświecającym podłogę szkle i gruzie kręciła się zszokowana portierka, powtarzając w kółko: *Co się stało, co się stało?* Przez chwilę próbowałem ją uspokoić, ale się nie dało. Przez kurz i gruz pobiegłem po schodach na piętro, zobaczyć, co z aulą. Wcześniej wiele razy w dzień i w nocy przebiegałem bezpiecznie te schody, jako że ciemnia naszej Studenckiej Agencji Fotograficznej mieściła się wtedy w klatce pod schodami na Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii. Ale nie tym razem. Na najwyższym stopniu potknąłem się o coś i poleciałem naprzód. Ledwo zobaczyłem się oczyma duszy roztrzaskanego o gruz piętro niżej, jak wylądowałem twarzą w pyle i szkłe na tym samym poziomie. Okazało się potem, że wybuch był tak silny, że podniósł podłogę pierwszego piętra, oderwał ją od ciągu schodów i utworzył jakby nowy stopień, o który się właśnie potknąłem. Dużo ostrożniej przedostałem się za zakręt. Drzwi do auli i okien naprzeciwko nie było, wybuch wydmuchnął je na zewnątrz. Przez wyrwaną framugę zająrzałem do środka. W słabym świetle nocy zobaczyłem rozmiar zniszczeń: podłoga od sceny pod balkon i od drzwi do okien zapadła się i utworzyła lej, na którego dnie leżały połamane siedzenia. Nad lejem, na środku stropu widniała dziu-

ra o średnicy 6–8 m, w której majaczyły niezniszczalne stalowe elementy konstrukcji dachu. Ponieważ nie było ognia ani dymu, a rozmiar zniszczeń przekraczał wcześniejsze moje wyobrażenia, nie byłem potrzebny jako ratownik. Obudził się we mnie reporter. Przedostałem się do Fizyki, po omacku wziąłem aparat, flesz i filmy. Naszym podstawowym sprzętem reporterskim był wówczas znakomity polski Start 66 i radzieckie Zenity. Lamy błyskowe mieliśmy radzieckie. Miały one wprawdzie zasilacze na baterie, ale te były stale zepsute. Ponieważ flesze dawały się ładować na jeden błysk z normalnych gniazdek z prądem, wystarczały we wnętrzach i tak ich używaliśmy. Wróciłem do hallu, gdzie, na razie na zewnątrz, zaczęli się gromadzić pierwsi gapie. I tu się zorientowałem, że nici ze zdjęć, bo przecież w całej okolicy nie ma prądu. Po chwili uświadomiłem sobie, że gdzie jak gdzie, ale w szpitalu prąd być musi. Jakież osobne kable czy generatory. Popędziłem do szpitala na Katowickiej. Wprawiłem w przerażenie skupione w gromadkę i ostrożnie komentujące zajście pielęgniarki. Wyobraźcie sobie: wybuch, awaryjne światła, a tu wpada zakurzony, kudłaty facet i wrzeszczy: *Gdzie tu jest gniazdko?! Załadowałem flesz i wróciłem na uczelnię. Zrobiłem zdjęcie pierwszych odważnych w hallu. Zaskoczyło mnie trochę odzienie ludzi. Studenci ubrani byli różnie, jak kto co wymacał po ciemku. A dziewczyny jakby się wcześniej umówiły albo przewidziały wybuch – wszystkie w pikowanych pastelowych podomkach i w wałkach na głowach. Niektóre nawet w zalotnych chusteczkach. Zrobiłem zdjęcie pełnych grozy twarzy i popędziłem naładować flesz. Wróciłem, zrobiłem zdjęcie. I zorientowałem się, że takim sposobem to ja za dużo zdjęć nie zrobię, nie dożyję. Na szczęście zaczęli się zjeżdżać ratownicy. Pierwsza była straż pożarna. Nie mieli daleko, bo wtedy straż mieściła się w starych budynkach na rogu Katowickiej i Ozimskiej, tam gdzie*

teraz jest w wieżowcu sklep z winem. Młodego, nieco zdezorientowanego dowódcę przekonałem, że bez światła to oni nic nie zdziałają i najlepiej, żeby to było 220 V. Chyba mieli ze sobą generator, bo już za chwilę wstawili do hallu reflektor, a ja mogłem z wozu strażackiego ładować flesz i dalej robić zdjęcia. Coś mnie chyba tknęło, bo po paru klatkach zwinąłem niedokończony film, włożyłem do kieszeni jakiejś nieznanym dziewczyny i przykazałem: *Schowaj, nikomu nie mów, jutro mnie odzyskaj*. Założyłem nowy film, zrobiłem jedno zdjęcie i okazało się, że intuicja mnie nie zawiodła. Były już następne służby: na błysk flesza dopadło mnie od razu trzech cywilów. Jeden łąpał mnie za ubranie, drugi za aparat, a trzeci pokazywał legitymację. Przypomniałem sobie rok 68, wygłosiłem im tekst o eksterytorialności uczelni i oświadczyłem, że tylko rektor jest tu władzą. Akurat na szczycie schodów, w miejscu, które wcześniej wyczyściłem sobą, zobaczyłem rektora w otoczeniu uczelnianych notabli i jakichś obcych mężczyzn. Włokąc tych trzech za sobą, przedarłem się na górę, wyjaśniłem kim jestem i co robię, i że mi zabraniają. Rektor obejrzał moje towarzystwo, powiedział udreżonym głosem: *Panie, niech*

pan teraz nie robi zdjęć i wrócił do swoich. Powiedziałem swoim prześladowcom, że jak słyszeli, mam nie robić zdjęć, więc nie będę i próbowałem czmychnąć. Nie udało się, zabrali mi film, a mnie zanotowali. Zresztą już pojawiły się służby mundurowe i pogoniły nas daleko poza teren uczelni. Nazajutrz rano przyszedł mieszkający na stacji szef naszej Agencji, Leszek Skubela. Mieliśmy przecież robić cotygodniowy serwis, który w każdą niedzielę rano wieszaliśmy w gablocie przed stołówką. Uczelnia była obstawiona szczerłym kordonem milicjantów i normalnie nie dało się wejść. Przekonaaliśmy dowódcę, że wybuch wybuchem, ale my musimy działać, a do tego potrzebujemy sprzętu. Pozwolił nam pójść do ciemni, ale dał obstawę. Tak długo ładowaliśmy filmy, zbieraliśmy aparaty i flesze, że nasz stróż się znudził i poszedł sobie. Skorzystaliśmy z okazji i zrobiliśmy parę zdjęć wnętrza auli. Przy najbliższej okazji wywołaliśmy ten film i film, który oddała mi nieznaną studentka i zrobiliśmy kilka odbitek. Wszystko to Leszek na wszelki wypadek zaraz wywiózł do rodzinnego domu. Niestety, podczas kolejnych przeprowadzek i remontów filmy i wglądówki zaginęły.



Jedna z uczelnianych uroczystości w auli przy ul. Oleskiej

Następne co pamiętam, to ratowanie książek. Pod całą aulą mieścił się magazyn główny biblioteki uczelnianej. Wybuch porozwalał regały z książkami, porozsuwał ściany, a na wszystko spadła podłoga auli. Uzbrojeni w stalowe hełmy, wypożyczone ze Studium Wojskowego, wyszarpywaliśmy spomiędzy gruzów i potrzaskanych desek tomy i podawaliśmy przez dziurę po wybuchu na zewnątrz. Nieraz oberwało się w łapę albo i w łeb cegłą, albo deską. Tuląc do siebie uratowane tomy, dziewczyny biegły przez deszcz do okien sal wykładowych naprzeciwko, aby książki przez okno przekazać do segregacji i oczyszczenia pracownikom biblioteki. Oj, gdybyśmy wtedy wiedzieli, co było przyczyną wybuchu (oficjalnie to był wybuch gazu) i gdyby się tam znaleźli ci prawdziwi patrioci, co teraz wieszają Kowalczykom medaliki i tabliczki, a chcą stawiać pomniki! Dowiedzieliby się, co studenci myślą o terrorystach, którzy niszczą książki i aule uczelniane. Niezależnie od szczytności ich pobudek.

Nadeszła wiosna. Aula została wyremontowana jeszcze piękniejsza niż przedtem. Znowu mogły się odbywać inauguracje, doktoryzacje i inne imprezy uczelniane. A także kabaretony festiwalowe, giełdy piosenki studenckiej i koncerty zespołów muzycznych oraz imprezy różnych instytucji z zewnątrz. Aula była bowiem wtedy jedną z ładniejszych i bardziej reprezentacyjnych sal w Opolu. Urządzenie w niej uroczystości, choćby to był zjazd spółdzielni mleczarskich, nobilitowało od razu i sam zjazd, i całą spółdzielczość. Na wszystkich rogach budynków zawisły ohydne lampy rtęciowe, nie można było wchodzić na uczelnię o dowolnej porze bez specjalnej przepustki. Nie mogliśmy już, wracając wieczorem z akademika, nabierać spod kotłowni do torby węgla, którym pani na stacji paliła nam w piecu, bo przecież nad węglem też była lampa. Ale jedno było dobre: wyrzucono nas z ciemni pod schodami. Za to dostaliśmy duże pomieszczenie z oknem i wodą bieżącą w Mrowisku. PO ŻEŃSKIEJ STRONIE! Nowo wybudowany Spójnik był w całości akademikiem żeńskim. A Mrowisko, w ramach walki o studencką moralność, podzielone było na stronę męską i żeńską, oddzielone ścianami na każdym piętrze i czujną portierką w hallu. Ponieważ proporcje płci co roku się zmieniały, ściana na III piętrze była zbudowana z płyt wiórowych i desek, żeby ją można było przestawiać w zależności od potrzeb. Oficjalna jej nazwa brzmiała: „ściana cnoty”. Ściana po zbudowaniu była natychmiast przez studentów deflorowana, a na krzesłach po obu stronach siedziały po nocach pary, żeby choć poszeptać i potrzymać się za palec. Odwiedziny były oczywiście dozwolone, ale co drugi dzień i trzeba było zostawiać dokument portierce. Dlatego, jak się komuś udało przedrzeć na żeńską stronę bez zostawienia dowodu, to robił nazajutrz nieobecności na zajęciach, po dwóch dniach schodził jakby nigdy nic, a portierce tłumaczył, że właśnie przed chwilą wszedł po książkę, a dowodu nie zostawił, bo chyba pani musiała gdzieś wyjść. A myśmy mogli do woli i o każdej

porze! Oj, przybyło nam wtedy kandydatów na członków SAF-u.

Ktoś mnie zaczął ostrzegać: *Broniek, za tobą chodzą*. Zawsze byłem trochę ciamajdowaty, więc się oczywiście nie spostrzegłem. Ale kiedy ładnego popołudnia szliśmy w parę osób Grunwaldzką, zdjąłem marynarkę, wywróciłem na lewą stronę i ubrałem. A od którejś z dziewczyn pożyczyłem różowy берет i wcisnąłem na głowę. Na ich zdziwione i rozbawione spojrzenia odpowiedziałem: *Ciii, za mną chodzą, muszę się przebrać!* Chodzili. Nazajutrz zostałem zwinięty, zawieziony do tego budynku, co się mieści po drugiej stronie ulicy od poczty głównej i posadzony przed biurkiem. Kulturalnie, bez wrzasków, bicia, lamp w oczy. *Żadnego per „ty”*, straszenia sądem czy prądem. Ale dobrze, że siedziałem, bo już pierwsze pytanie zwałoby mnie z nóg: *Skąd wiedzieliście, że był wybuch?* Spróbowałem wytłumaczyć. A skąd wiedziałem, żeby się ubrać w robocze ciuchy? A ja, że jak był wybuch, to może trzeba ratować w brudzie i dymie, a wtedy eleganckie ubranie jest niewskazane. A gdzie wtedy mieszkałem? Ja, że u kumpli w akademiku, ale nie powiem gdzie, żeby nie mieli kłopotów. A oni, że wiedzą, tylko chcą potwierdzenia. No to niech powiedzą, a ja potwierdzę. Wiedzieli. I tak to trwało przez trzy dni po parę godzin. W pewnym momencie któryś sięgnął do szuflady biurka, położył przede mną parę kawałków kabla i zapytał z chytrą miną: *Co to jest?* Ja, że przewód elektryczny, pojedyncza linka miedziana w igelicy, na oko 1,5mm kwadrat, wykończenie maskujące. *Skąd wiecie?* Ja, że każdy od dziecka ma do czynienia z kablami, a ja dodatkowo w zawodówce, technikum i na Wydziale Fizyki WSP w Opolu. *A czy umiecie robić wybuchy?* *Umie*. No, to od razu zrobiło się ich więcej i jakby bardziej szamerowanych na pagonach. *Gdzieście się nauczyli?* Ja, że w zawodówce i technikum górniczym w Wałbrzychu, a także w Studium Wojskowym WSP w Opolu. W końcu mnie puścili. Kazali tylko przynieść to ubranie, w którym byłem po wybuchu, w celu zbadania mikrośladów. Do dzisiaj mi nie oddali, a mogliby, bo mam do niego stosunek sentymalny: rudy sweter mama sama zrobiła na drutach, brązowe spodnie z elany też mama uszyła, a także naszyła potem na przetartym tyłku łaty, na które skóra pochodziła z teczki, którą nosiłem do podstawówki przez siedem lat. Że o kultowych butach welurowych z fabryki w Krapkowicach nie wspomnę.

Tak zakończyła się moja przygoda z aulą. Aha! Była jedna śmiertelna ofiara wybuchu. Tego wieczora w auli miał próbę teatr studencki. Ostatnim, który gasił światło i zamykał drzwi na godzinę przed wybuchem, był szef teatru. Odnośne służby tak długo ciągały go na przesłuchania, że nie wytrzymał i się powiesił. A jego dziewczyna mało nie oszalała. Koleżanki chodziły za nią wszędzie przez parę tygodni, pilnowały, żeby sobie czegoś nie zrobiła.

Urszula Dembska-Krause

Wrocławskie początki opolskiej uczelni

W IV klasie Liceum Pedagogicznego w Wejherowie w woj. gdańskim, przygotowując się do matury (wiosna 1952 r.) byłam pewna, że po jej uzyskaniu podejmę – podobnie jak moi koledzy – pracę nauczycielską w jakiejś szkole podstawowej, skierowana tam obowiązkowym wówczas dla absolwentów liceów pedagogicznych nakazem pracy.

Drogę na studia otworzyła mi decyzja grona pedagogicznego wejherowskiego liceum (od XVIII wieku placówki kształcenia nauczycieli, od 1923 r. polskiego seminarium nauczycielskiego na Kaszubach z okupacyjną przerwą w latach 1939 – 1945), kiedy tuż przed odebraniem świadectwa maturalnego dowiedziałam się o dwóch istotnych też dla mnie sprawach. Otóż dyrekcja naszego liceum tuż przed końcem roku szkolnego 1951 – 1952 otrzymała z ministerstwa oświaty przywilej delegowania 1,5 proc. swoich tegorocznych absolwentów na studia do wyższych szkół pedagogicznych (nie pamiętam, do czego ta wielkość procentowa miała się odnosić – do liczby abiturientów, ich osiągnięć szkolnych czy do innych kryteriów). Wytypowano mnie jako jedyną kandydatkę spośród uczniów dwóch równoległych klas maturalnych. Moja klasa uznała ten wybór za podwójnie trafny: w owych półtora procent kandydata na studia świetnie mieściły się też moje dodatkowe kilogramy nadwagi! Po wtóre dowiedziałam się, że rada pedagogiczna liceum wystąpiła do Gdańskiego Kuratorium Oświaty o przyznanie mi tzw. dyplomu przodownika nauki i pracy społecznej, upoważniającego jego posiadacza do podjęcia studiów na

wybranym przezeń kierunku na każdej krajowej uczelni pedagogicznej – bez zdawania egzaminu wstępnego.

W określonym terminie dyrekcja szkoły wysłała moje dokumenty wraz z podaniem o przyjęcie mnie na polonistykę do najbliższej w okolicy Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Gdańsku – Wrzeszczu, zobowiązując się dostać, gdy tylko nadejdzie z kuratorium, przyznany mi dyplom przodownika nauki. W odpowiedzi otrzymałam z gdańskiej uczelni informację, że tego właśnie kończącego się roku akademickiego 1951 – 1952 WSP w Gdańsku zawiesiła nabór kandydatów na studia polonistyczne, wobec czego zostałam przyjęta – bez obowiązku złożenia egzaminu wstępnego – na filologię rosyjską! Odpisałam natychmiast, że rezygnuję z propozycji studiów ruscystycznych z braku dostatecznej znajomości języka, na co WSP w Gdańsku zaproponowała przesłanie mego podania na studia polonistyczne wraz z załącznikami do Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Warszawie, na co chętnie, choć nie bez obaw, się zgodziłam. Ponieważ jednak nadal nie dysponowałam dyplomem przodownika nauki, mającego mi gwarantować wolny wstęp na studia (mająca go wypisać kancelistka kuratorium w Gdańsku była na urlopie!), musiałam przystąpić do egzaminów wstępnych. Zdałam. Zostałam przyjęta na studia polonistyczne, ale bez prawa zamieszkania w akademiku z powodu braku miejsc.

Moich rodziców nie było stać na opłatę prywatnej kwatery, komisja rekrutacyjna zaproponowała więc przesłanie moich papierów wraz z decyzją przyjęcia

Swoją działalność wznowiło Stowarzyszenie Absolwentów Uniwersytetu Opolskiego, którego celem jest integracja absolwentów naszego uniwersytetu i jego poprzedniczki – Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu. Więcej informacji na stronie internetowej: www.absolwent.uni.opole.pl



Budynek Liceum Ogólnokształcącego we Wrocławiu przy ul. Poniałowskiego, rok 1954. Dwa górne piętra zajmowała Państwowa Wyższa Szkoła Pedagogiczna

na studia do jednej z trzech uczelni pedagogicznych: we Wrocławiu, Katowicach lub Krakowie. W wyniku rodzinnej narady odrzuciłam – z żalem – najdalej Kraków, również „czarne Katowice” na korzyść bliższego i „zielonego Wrocławia”, oddalonego tylko o ok. 400 kilometrów drogi koleją (nie mieliśmy wówczas świadomości, w jak znacznym stopniu miasto to było powojenną ruiną). Letnie wakacje 1952 r. dobiegały końca, gdy z wrocławskiej WSP dotarło pocztą zawiadomienie, że przyjęto mnie na pierwszy rok studiów na... filologii rosyjskiej zamiast na polonistycę, z braku miejsc. Odpisałam, że z propozycji podjęcia studiów rusycystycznych rezygnuję. I – straciwszy nadzieję na studia – zaczęłam rozglądać się za jakąś pracą w miejscu zamieszkania.

Z zachowanej w domowym archiwum korespondencji ze szkołą wrocławską wynika, że ostateczna i pozytywna decyzja przyjęcia mnie na upragniony kierunek filologii polskiej nadeszła listem poleconym 5 września, czyli już po rozpoczęciu zajęć dydaktycznych. Dzień później spakowałam niezbędne rzeczy (łącznie z żadaną własną pościelą) i nocnym pociągiem z Gdyni ruszyłam w przeszło dziewięciogodzinną podróż do Wrocławia. Nie był to więc żaden triumfalny wjazd w nowy etap życia: mój start i meta bardziej przypominały bieg z przeszkodami, wbrew oficjalnym hasłom propagandowym, że „wszystko dla młodych”. I oto stałam na ulicy Poniałowskiego we Wrocławiu, gdzie, zajmując górne piętra gmachu liceum ogólnokształcącego, miała swą siedzibę Wyższa Szkoła Pedagogiczna: rektorat, dziekanaty, kwestura, sale wykładowe i pracownie czterech wydziałów uczelni – polonistyki, ru-

sycystyki, fizyki i matematyki. Dopelniałam tam wymaganych formalności, dowiedziałam się o przyznanych mi przywilejach: stypendium (210 zł na miesiąc), skierowanie do internatu, możliwość korzystania, za opłatą, z miejscowej stołówki.

Naprzeciwko gmachu uczelni, pod numerem 14, zameldował mnie na kwatery („tymczasowo” – jak stale zaznaczał) podejrzany z wyglądu typ: zarządca i stróż obskurnego, starego budynku ze śladami wojny, czyli internatu liceum. Zamieszkałam w czteroosobowym pokoju numer 58. Jak się okazało, wszystko tu było „tymczasowe”: oświetlenie na schodach i w umywalni, zimna woda w kranach, ogrzewanie, godziny otwarcia internatu... (Tymczasowość ta ustała na szczęście dla nas, studentów wrocławskich, po dalszych dwóch latach, gdy w październiku roku akademickiego 1954/55 uczelnia została przeniesiona do Opola i gdzie z czasem wyrosło całe nowe miasteczko akademickie, skąd nasz polonistyczny rocznik po kolejnych dwóch latach studiów – jako pierwszy w dziejach tej uczelni pedagogicznej – opuścił ją ze stopniem magistra, ale to już inna historia!).

Tymczasem dołączyłam wreszcie, z tygodniowym opóźnieniem, na zajęcia swego roku polonistycznego, liczącego wówczas ponad trzydziestu studentów (liczba ta w pierwszych miesiącach semestru wahała się – jedni odchodzili, inni się przenosili, ktoś jeszcze dochodził). Byliśmy trzecim naborem polonistycznym: powstała w 1950 r. uczelnia kształciła już od dwóch lat studentów na swoich czterech wydziałach. Z respektem patrzyłam na dwa starsze roczniki polonistyczne, z których przedstawicielami w dalszych latach spoty-



Wrocław, 8 marca 1954, drugi rok studiów. Przed wykładem z historii literatury powszechnej z prof. Stanisławem Kolbuszewskim. W górnym rzędzie (od lewej): Henryk Wopiński, Anna Kolenda, Tadeusz Nalewajko, Urszula Dembska. Niżej, przy oknie, tyłem: Tadeusz Bednarczuk. W drugim rzędzie: Bronisława Gołąbek, Barbara Turos, Stanisław Bruchnal, Irena Konarska, Irena Rzeczkowska, Zbigniew Kołodziejczyk. Niżej: Zofia Owczarczak, Maria Ciszewska, Janina Puła. Za nią: NN i Kazimierz Tylus

kałam się czy to na zjazdach absolwentów, czy rozpoznawałam (już jako późniejszy pracownik uczelni) jako czynnych nauczycieli polonistów, asystentów bądź doktorantów macierzystej uczelni. Byli to m.in. małżonkowie Helena i Antoni Cięcielowie (w Opolu), małżeństwo Chomów – późniejsi założyciele i pracownicy WSP w Słupsku, Dorota i Zbigniew Piasecycy, ze starszych roczników – Zygmunt Łomny i Józef Bar, moje koleżanki i koledzy z roku – Tadek Bednarczuk, Irka Rzeczkowska – polonistka w III LO w Opolu, Zosia Owczarczak – dyrektorka liceum wieczorowego w Opolu. Inne, znane z lat wspólnych studiów osoby spotykałam, gdy hospitałam, przez lata pracując w WSP w Opolu, swoich studentów odbywających praktyki pedagogiczne w terenie. Z mojego rocznika polonistycznego, rozpoczynającego studia 60 lat temu, we wrześniu 1952 r., pamiętam, oprócz wyżej wymienionych, zaledwie kilkanaście nazwisk: panie Ludwikę Bińczakową i Janinę Pułową – obie wrocławskie nauczycielki delegowane na studia, Marysię Ciszewską – absolwentkę Liceum Pedagogicznego w Tarnowskich Górach i Bogusię Wiewiórkę z Miechowa – również obie wyróżniające się nauczycielki skierowane na studia, moje przyjaciółki i kumpelki do dziś (odwiedzałyśmy się wzajemnie w

swych domach, wymieniamy nadal korespondencję, telefonujemy do siebie). Z Bogumiłą Wiewiórką spotkałam się już na egzaminie wstępnym w warszawskiej WSP, a po swoim opóźnionym przyjeździe do Wrocławia i ponownym spotkaniu wzięła mnie, jako swą podopieczną, w kuratelę do dziś trwającą – mimo jej i mojego podeszłego wieku. Na alfabetycznej liście po Tadeuszu Bednarczuku (nr 1) i Ludwice Bińczakowej (nr 2), był chyba Staszek Bruchnal. Na kolejnych miejscach – Marysia Ciszewska, ja – Urszula Dembska i dalej prawdopodobnie Bronia Gołąbek z Piekar Śląskich (na naszą prośbę przywoziła z weekendów w domu smażone placki ziemniaczane, którymi dzieliła się z mieszkankami akademika). Dalej na liście byli: Edward Kasperski – późniejszy pracownik służby bezpieczeństwa w Warszawie, czynny w śledztwie głośnej w

latach 70. sprawie wysadzonych barbarzyńsko przez braci Kowalczyków auli i magazynów bibliotecznych w gmachu uczelni przy ul. Oleskiej 48; Hanka Kolenda, późniejsza żona uczelnianego wykładowcy dr. Stefana Reczka, matka wrocławskiego aktora teatralnego i filmowego (bodaj o imieniu Radogost); Jerzy Kopeć, nasz najmłodszy na roku 17-18 letni genialny językoznawca, późniejszy doktor i wykładowca WSP w Opolu i Uniwersytetu Wrocławskiego; Zbyszek Kołodziejczyk, mój towarzysz przy wspólnym pulpicie w sali zajęć, wspomniana już Zosia Owczarczak, też przywo-



Opole, kwiecień 1955, na trzecim roku studiów. Po ćwiczeniach z mgr. Stefanem Reczkiem (trzeci od lewej, w górnym rzędzie). Na boisku b. liceum pedagogicznego, potem WSP. W tle budynek dawnej bursy uczniowskiej przy ul. Łużyckiej.

łana już Irka Rzeczkowska, która po maturze w liceum krawieckim uparła się i dostała na studia polonistyczne (obie od paru lat nie żyją); Basia Tuross – *enfant terrible* naszego rocznika, bohaterka koleżeńskiego dwuwierszyka: „Barbara z Turossów, co zmarła przy kręceniu włosów” (odpadła lub przeniosła się do innej uczelni); Kazik Tylus, energiczny przewodniczący roku i działacz uczelniany; Halina Skwara-Graczyńska, późniejsza pracownica biblioteki WSP w Opolu, gdzie nadal mieszka i gdzie spotykamy się w gronie emerytów dawnej WSP, a dzisiejszego Uniwersytetu Opolskiego. Była też m.in. Irka Giblińska, o której od czasów Wrocławia nic nie wiem. Listę studentów naszego rocznika zamykał chyba Henryk Wopiński, syn stolarza-rzeźbiarza, który chętnie się chwalił ojcem, który był jego autorytetem; rozpoczął studia jako jedyny na roku mąż i ojciec dwóch synów, później – podobnie jak ja oraz wielu innych studentów – zatrudniony został jako pracownik naukowo-dydaktyczny w Katedrze Języka Pol-



Studenci III r. filologii polskiej (pierwszy rocznik magisterski WSP). U góry (od lewej): Michał Lewkowicz, Urszula Dembska. U dołu (od lewej): Anna Kolenda, Zofia Owczarczak, Irena Rzeczkowska. Na dziedzińcu WSP w Opolu przy ul. Luboszyckiej. Opole, wiosna 1955

skiego przez prof. dr. Stanisława Rosponda, naszego rektora w 1952 r., a późniejszego, w opolskiej WSP, kierownika Katedry Języka Polskiego.

Jako zbiorowość pierwszoroczników przeżywa-
liśmy bardziej lub mniej dole i niedole ówczesnych
czasów zamordyzmu. Wszyscy byliśmy obowiązkowo
ZMP-owcami, świadkami żałoby po śmierci Stalina...
I młodymi ludźmi pełnymi nadziei na zmiany na
lepsze. Tymczasem chodziliśmy na zajęcia, zasiada-
liśmy w czytelnich biblioteki uniwersyteckiej i Ossoli-
neum, bardziej lub mniej pilnie przysiadaliśmy fałd
przed sesjami egzaminacyjnymi i dostawaliśmy roz-
stroju nerwowego, czekając przed drzwiami egzami-
natorów na swą kolejkę do egzaminu, kolokwium czy
zaliczenia.

Tamtej jesieni 1952 r. wszystko było dla mnie –
przybysza z Wybrzeża Gdańskiego – nowe i ciekawe,
wspaniałe, ale też groźne. Ocalałe z wojennych znisz-
czeń śródmieście Wrocławia z ratuszem w rynku, oca-
łałe gmachy uniwersyteckie nad Odrą, stare, wąskie
uliczki wokół rynku, ale też budzące groźę zburzo-
ne, spalone, opustoszałe przedmieścia, oglądane np.
podczas długiej jazdy tramwajem do zoo, zbombardo-
wane, wypalone kościoły i wille na Krzykach, zanie-
dbane wyspy na Odrze... Ale cieszyły liczne kina z
biletami na studencką kieszeń, teatry, Opera Wrocła-
wska, biblioteki – Ossolińska i uniwersytecka, muzea i
wystawy, małe porcje lodów z ulicznych stoisk (fun-
dowane sobie w nagrodę za dobrze zdane egzaminy
i zaliczenia), a czasem nawet spożywane w kawiarni
(pamiętam, jak po pierwszej sesji egzaminacyjnej nie-
opatrznie wpadliśmy tam – Marysia Ciszewska i ja –
na większą porcję lodów za horrendalnie wysoką dla
nas cenę!).

Wspominam też z szacunkiem,
sentymentem i humorem naszą
wrocławską profesurę – grono wy-
kładowców i prowadzących ćwi-
czenia asystentów. Byli wśród
nich uczeni, badacze zjawisk ję-
zykowych i literackich, autorzy
prac naukowych i podręczników,
wybitni nauczyciele akademicy,
wykładowcy Uniwersytetu Wrocła-
wskiego i Uniwersytetu im. Jana
Kazimierza w przedwojennym
Lwowie (prof. Stanisław Bąk),
specjaliści różnych gałęzi nauk o
języku, historycy i teoretycy lite-
ratury, znawcy pedagogiki i psy-
chologii, lektorzy języków obcych
oraz wykładowcy innych specjali-
zacji polonistycznych lub szerzej
– humanistycznych. Grupę najwy-
żej cenionych stanowili profesoro-
wie doktorzy: literaturo- jak i ję-
zykoznawcy, znani w kraju i poza
nim, tzw. samodzielni pracownicy

naukowi, piastujący też najwyższe stanowiska uniwer-
syteckie. Takim był ówczesny rektor naszej Wyższej
Szkoły Pedagogicznej we Wrocławiu, wykładowca
Uniwersytetu Wrocławskiego – prof. dr Stanisław Ro-
spond, wybitny uczonek, języko- i śląskoznawca. Od
początku naszych studiów wykładał gramatykę opisow-
wą współczesnej polszczyzny, gramatykę historyczną
języka polskiego, gramatykę porównawczą języków
słowiańskich, później prowadził też seminarium ma-
gisterskie z grupą studencką naszego roku w WSP w
Opolu, dokąd dojeżdżał. Jego asystentami byli wów-
czas Zygmunt Kubacki i Stefan Reczek.

Niezapomnianym wykładowcą, chyba najstarszym
w tym gronie, był prof. dr Stanisław Bąk, przedwo-
jenny profesor lwowskiego uniwersytetu, wówczas



Opole, 25 maja 1956 r. Od lewej stoją: Bogumiła Wiewiórka, NN, Józefa Celińska, Irena Giblińska, Tadeusz Nalewajko, Longina Janus, Zbigniew Kołodziejczyk, Bronisława Gołabek, Kazimierz Tylus, Jerzy Kopeć, Maria Ciszewska, Urszula Dembska, Stanisław Bruchnal, Barbara Turos, Halina Skwara. U dołu: Irena Rzeczkowska, Jan Fabisiak, Zofia Owczarczak, Anna Kolenda

profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, wykładowca przedmiotów językowych w naszej WSP, poliglota, historyk języka polskiego i znawca jego dialektów, również dziejów języków słowiańskich, języka staro-cerkiewno-słowiańskiego i innych języków historycznych i współczesnych.

Dla nas, jego słuchaczy na I i II roku, niedouczone językowo uczniów prowincjonalnych szkół średnich, był profesor Bąk nieprzeciętnym erudyta, wykładowcą czterech, bardzo trudnych, nawet egzotycznych przedmiotów językowych, człowiekiem z innego świata, dla którego my z kolei byliśmy zapewne niedouczone półgłówkami, nie tyle z braku wiedzy językowej, ale głównie z braku umiejętności logicznego kojarzenia i wnioskowania. Budził zrazu postrach swymi wymaganiami. Z czasem pojawił się w nas ogromny szacunek i podziw dla jego wiedzy, inteligencji, złośliwego dowcipu, a nawet oryginalnego sposobu wykładania. Wpadał do sali zawsze z wypchaną starą teczką, którą rzucał na blat stolika, w drodze od drzwi do pulpitu wyluskując się z futra. Wykładał w szalonym dla mnie tempie, zapisując

chaotycznie całą tablicę w zupełnie przypadkowych miejscach, tak że trudno było za nim podążać myślą, jednocześnie odszukując i odcyfrowując z tablicy pojedynczy zapis jakiegoś np. znaku diakrytycznego, nietypowej, różnej od zapisu wymowy głoski dialektu, np. jej pochylenia (jeśli dobrze pamiętam) i innych specyficznych znaków graficznych. Choć budził w nas gro-



Opole, 25 maja 1956 r., czwarty rok studiów. Górny rząd (od prawej): Henryk Wopiński, Tadeusz Bednarczuk, Stanisław Bruchnal, Jerzy Kopeć, Zbigniew Kołodziejczyk, Tadeusz Nalewajko, Jan Fabisiak. Na dole (od lewej): Kazimierz Tylus, Michał Lewkowicz. Na zdjęciu brak Edwarda Kasperskiego



Maj-czerwiec 1956, czwarty rok studiów. W pokoju nr 214 nowo oddanego akademika „Mrowisko”. W pierwszym rzędzie (od lewej): Tadeusz Bednarczuk, Irena Rzeczkowska, Maria Ciszewska, Urszula Dembska. W drugim rzędzie, od lewej: Edward Kasperski, Zbigniew Kołodziejczyk, Bronisława Gołąbek

zę, szanowaliśmy go bardzo i mimo że baliśmy się jego kpin z naszej niewiedzy, lubiliśmy jego samego, jego styl wykładu i ostre uwagi życzliwego kpiarza.

To od profesora Bąka dostałam swoją pierwszą na studiach trójkę – ocenę dostateczną z ćwiczeń języka staro-cerkiewno-słowiańskiego w pierwszym semestrze I roku, szybko zresztą poprawioną w II semestrze (druga moja trójka w indeksie była z lektur z łaciny, której wcześniej się nie uczyłam; ponownie, już na II roku, profesor Bąk ostatecznie ocenił moją wiedzę z gramatyki historycznej na trójkę). Zaliczając w zimowej sesji ćwiczenia z tej dziedziny, wpisał mi w indeksie ocenę dobrą, ale gdy na rzucone dodatkowe pytanie odpowiedziałam błędnie, przerobił wcześniejszy wpis w indeksie: na cyfrę 4 wpisał zamasyście 3, a słowny wpis „db” przerobił z gryzmołą na „dst”! Były to moje jedyne trzy trójki w indeksie. I nie miałam o nie do profesora pretensji.

Kolejnym znanym w środowisku naukowym był prof. dr Leon Zawadowski, wykładowca i promotor prac magisterskich oraz doktorskich Uniwersytetu Wrocławskiego, prowadzący zajęcia również w WSP. Przez jeden semestr na II roku wykladał przedmiot zwany wstęp do nauki o języku, z którego nic już nie pamiętam, a przez cały III rok studiów prowadził kurs z językoznawstwa ogólnego. Jako materiał egzaminacyjny podał nam listę lektur, o której oczywiście szybko zapomnieliśmy, może jedynie nasi najlepsi „językoznawcy” – Jurek Kopeć, Staś Bruchnał czy Heniek Wopiński zaczęli jakieś pozycje z niej studiować. Profesor usiłował nam pod koniec semestru tę listę przypomnieć, zrazu niejasnym pytaniem: „Rozwadowski jest?” Zapadła cisza, wreszcie ktoś profesora poinformował: „nie ma takiego na naszym roku!”. Po kilkakrotnie jeszcze powtarzającym się na kolejnych wykładach pytaniu, ktoś wreszcie doszedł do wniosku, że profesor Zawadowski pyta, czy dotarliśmy do pism wielkiego językoznawcy – indoeurope-

isty Jana Michała Rozwadowskiego, autora jednej z lektur ujętych w spisie. Pamiętam, że z trudem został wypożyczony z biblioteki uniwersyteckiej chyba jeden jedyny dostępny w bibliotece egzemplarz książki, który wędrował po akademikach, gdzie gromadnie – z braku czasu, bo czekali na następni – usiłowaliśmy przyswoić sobie treści do egzaminu. Nic dziś z tej lektury nie pamiętam, ale wiem, że egzamin zdawaliśmy w uniwersyteckiej pracowni prof. Zawadowskiego i było to skrajnie denerwujące przeżycie.

Znakomitością grona profesorskiego literaturoznawców był prof. dr Stanisław Kolbuszewski (1901 – 1965), przed wojną wykładowca

i kierownik Katedry Literatur Słowiańskich Uniwersytetu w Rydze (Łotwa), później we Wrocławiu, znamienity i wszechstronny historyk i znawca literatury powszechnej i polskiej w układzie historycznym i teoretycznoliterackim, badacz okresu romantyzmu i Młodej Polski, później też regionalnej kultury i literatury śląskiej. Orator, erudyta i oryginał piastował później funkcje rektora WSP w Opolu, przeniesionej z Wrocławia od października 1954 r., był założycielem regionalnych stowarzyszeń naukowych, inicjatorem studiów magisterskich, później też doktoranckich. Pisałam pod jego kierunkiem pracę magisterską na temat baśni śląskich. Pamiętam do dziś, jak podczas dwuletniego kursu historii literatury powszechnej odkrywał nam tajniki konstrukcyjne np. wielotomowej „Sagi rodu Forsythe’ów” Jakuba Galsworthy’ego. Był profesor również niekonwencjonalny w kontaktach ze słuchaczami: na jeden z egzaminów, w sesji letniej, zaprosił nasz rok polonistyczny do swego przydomowego ogrodu, gdzieś na przedmieściu Wrocławia. Innym razem spotkał mnie idącą z uczelni do Śródmieścia, dokąd sam zdążał i rozpoczął rozmowę na tematy literackie. Gdy doszliśmy w okolicę głównego gmachu uniwersytetu, zapytał, czy mam przy sobie indeks. Miałam. Oparłszy go o ścianę mijanego budynku, wpisał mi ocenę za zdany egzamin! Wprawił mnie tym w wielkie osłupienie.

Niepozornej postury, niski, szczupły, szarmancki, błyszczący dowcipem starszy pan. Te jego zalety wcale jednak nie zmniejszały naszego dystansu do profesora, raczej zwiększały naszą treść egzaminacyjną, bo zawsze można było narazić się na uszczypliwości i okazać się bardziej niedouczonej, niż się faktycznie było. Obawy takie nie powstrzymały jednak chętnych do uczestnictwa w jego seminariach magisterskich. Ja też napisałam pod kierunkiem profesora pracę magisterską, zaś po paru kolejnych latach pracy nauczycielskiej w Liceum Pedagogicznym w Tczewie zostałam zatrud-

niona w Zakładzie Metodyki przy Katedrze Literatury opolskiej WSP, prowadzonej przez profesora właśnie.

Od 1982 r. ma prof. dr Stanisław Kolbuszewski w Opolu swoją ulicę, w dzielnicy Półwieś. Autorki książki „Ludzie i historia w nazwach ulic Opola” (Opole 2011), Monika Choroś i Łucja Jarczak – pracownice Instytutu Śląskiego, także absolwentki WSP w Opolu, tak przedstawiają patrona ulicy: *Stanisław Kolbuszewski (1901 – 1965), wybitny historyk literatury, znawca twórczości A. Mickiewicza i S. Wyspiańskiego, od 1953 r. do końca życia związany z Wyższą Szkołą Pedagogiczną w Opolu (obok Stanisława Rosponda uważany za twórcę opolskiej polonistyki)*. Od siebie dodam, że podany przez autorki rok 1953 jest przedwczesny jako początek pracy Profesora w Opolu: ostatni jego wpis w moim indeksie wrocławskim pochodzi z majowo-czerwcowej sesji egzaminacyjnej 1954 roku, odbytej jeszcze we Wrocławiu, zaś pierwsza inauguracja roku akademickiego przeniesionej z Wrocławia do Opola Wyższej Szkoły Pedagogicznej odbyła się 1 października 1954 – zatem ta data jest początkiem pracy profesora Kolbuszewskiego w Opolu.

Ulicę swego imienia w Opolu-Grudziecach ma od 1993 r. również prof. dr Stanisław Rospond, o którym autorki piszą: *Patronem ulicy jest uczony związany ze Śląskiem i Opolem, Stanisław Rospond (1906 – 1982), językoznawca, badacz polszczyzny śląskiej oraz nazewnictwa miejscowego i osobowego; członek Podkomisji Ustalania Nazw Miejscowych dla Ziemi Odzyskanych; organizator Uniwersytetu i Wyższej Szkoły Pedagogicznej we Wrocławiu; pierwszy rektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu. Jeden z założycieli Instytutu Śląskiego w Opolu. (I znów dopowiem, że prof. Rospond był nie tylko organizatorem, ale też rektorem wrocławskiej WSP na pewno od roku akademickiego 1952/53, gdy zaczynałam tam studia, a najprawdopodobniej już od 1950 r., tj. daty powołania uczelni.)*

Pozostali nasi wykładowcy nauk o literaturze byli

już mniej utytułowani naukowo i mniej barwni, byli jednak kompetentnymi nauczycielami – wykładowcami ze stopniem magistra przedwojennych uniwersytetów. Bernard Januszewski prowadził wykład i ćwiczenia z historii literatury w I i II roku naszych studiów we Wrocławiu, ale nie pamiętam, jakich epok. Przynudzał, siedząc cały wykład za pulpitem, często czytając swoje wykłady namaszczonegłosem, który przy szczególnie ważnych kwestiach zawieszał – podnosząc wskazujący palec i oczy na nas, słuchaczy. Mgr Zdzisław Krzemiński w I roku prowadził wykład ze współczesnej literatury polskiej, tj. dwudziestowiecznej oraz równoległe – ćwiczenia z niej, w II roku oświecał nas w przedmiocie zwanym współczesne życie literackie i choć jego wpisy w indeksie świadczą o moim dobrym przygotowaniu do egzaminów z tych przedmiotów, bardzo niewiele sobie z tych zajęć przypominam, minęło od nich prawie 60 lat!

Lepiej pamiętam ówczesną mgr Izabelę Lewańską, późniejszą doktor (ale dodam, że zwyczajowo tytułowaliśmy wówczas naszych wykładowców per pani i pan profesor) prowadzącą na naszym roku w ciągu tych czterech lat studiów bardzo różne zajęcia: nauki pomocnicze historii literatury na I roku, ćwiczenia z bibliotekarstwa – II r., naukę o literaturze i wykład z historii literatury na III roku, już w Opolu oraz literaturę dla dzieci i młodzieży na IV r. Ale i później, już sama pracując jako absolwentka i asystentka w WSP w Opolu, stykałam się z nią często – obok innych, byliśmy wówczas członkami Katedry Literatury Polskiej, kierowanej przez prof. Stanisława Kolbuszewskiego.

Poza przywołanymi już przedmiotami ściśle polonistycznymi, jak różne działy nauk o języku i nauk o literaturze, plan studiów nauczycielskich zakładał znajomość innych dziedzin wiedzy, jak np. z zakresu nauk pedagogicznych: historię wychowania wykladał prof. dr Jan Konopnicki, pedagogikę (wykład – mgr Zygmunt Kubacki, ćwiczenia – mgr Krystyna Dronsejko,

po latach wykładowca na uniwersytecie w Kanadzie;) pedagogikę na IV r. wykladał, już w Opolu, mgr Piotr Guz; wykłady z psychologii prowadził dr Witold Kruk-Ołpiński, absolwent uniwersytetu wiedeńskiego, też wielki oryginał i długoletni wykładowca w WSP w Opolu; nauki pograniczne pedagogiki i polonistyki, tj. metodyka języka polskiego i metodyka nauczania literatury w szkole wraz z praktykami szkolnymi były nauczane przez małżonków Klarę i Stanisława Dąbrowskich, dojeżdżających przez lata z Wrocławia do późniejszej WSP w Opolu, oboje uzyskali stopnie doktorskie, a on był dziekanem Wydziału Humanistycznego uczelni;



Po ćwiczeniach językowych z mgr. Stefanem Reczkiem (dolny rząd, w środku). Ania Kolenda już go uwodzi (w białej sukni, z prawej strony)

Uzupełniały też nasze wykształcenie nauczycielskie zajęcia obowiązkowe, podlegające zaliczeniu lub egzaminowi: ćwiczenia w mówieniu i pisaniu, higiena szkolna wykładana przez mgr Annę Kuczmik, ćwiczenia z bibliotekarstwa, zajęcia pozalekcyjne w szkole, do wyboru dla studentów z zakresu teatru aktorskiego, prowadzone przez aktorkę teatrów wrocławskich p. Halinę Dzieduszycką, ekscentryczną żonę znanego hrabiego Wojciecha Dzieduszyckiego, która zapraszała gromadkę swych słuchaczy (byłam wśród nich również) do ich wrocławskiego domu, później, już na II roku studiów zastąpił ją mgr Aleksander Terej, wprowadzając nas w arkana teatru kukielkowego jako potencjalnych nauczycieli zajęć pozalekcyjnych w szkole.

Trzecią grupę nauk stanowiły tzw. przedmioty ideologiczne, zawsze jako pierwsze figurujące na liście przedmiotów w indeksie. W danym roku akademickim były to (po egzaminach od razu zapominane) wykłady i ćwiczenia na I roku Brunona Siwka i Ewy Zajęc (bez tytułów i stopni naukowych) z podstaw marksizmu-leninizmu, na II roku prowadzone przez Romana Bertischa, na III roku przez mgra Kazimierza Krzyżaka z ekonomii politycznej, a na IV – wykład mgra B. Mirskiego i ćwiczenia z mgr. M. Treszelem z materializmu dialektycznego i historycznego.

Do czwartej grupy tzw. nauk pomocniczych zaliczyłabym roczny kurs historii Polski wykładany przez mgr Stefanię Piotrowską oraz trzy lektoraty: języka łacińskiego (Roman Cichocki), języka niemieckiego (Mieczysław Urbanowicz), języka rosyjskiego, prowadzony przez sympatyczną p. Irmę Berner – prywatnie matkę piosenkarki Anny German. Na zajęciach wspominała między wierszami o swoim przymusowym pobycie z rodziną i małą wówczas córką Anną w Uzbekistanie, w ówczesnym ZSRR, o obyczajach i stylu życia mieszkańców dalekich stepów, którzy pomagali zesłanym tam Polakom z Kresów Wschodnich. Uczęszczałiśmy też przez cztery lata studiów na zajęcia wychowania fizycznego.

Z każdego przedmiotu studiów w obu semestrach każdego roku należało uzyskać zaliczenie prowadzącego, tj. jego podpis, potwierdzający obecność na zajęciach i aktywny w nich udział, a z niektórych zdarzało się kolokwium lub egzamin, co na jedno wychodziło, bo egzaminator – odpytawszy – stawił stopień i podpis z datą. Jeśli poprawnie wyliczyłam, w dwóch semestrach I roku studiów 1952/53 r. zajęcia prowadziło 10 wykładowców oraz 9 asystentów (w tym lektorów trzech języków obcych), my zaś, studenci, wysłuchiwaliśmy przez ten rok 11 dwugodzinnych wykładów, odbyliśmy też 12 godzin ćwiczeń z 18 przedmiotów w każdym tygodniu. Ponadto w dwóch sesjach egzaminacyjnych: zimowej w styczniu – lutym 1953 oraz w letniej 1953 r. (maj – czerwiec) należało uzyskać 43 zaliczenia i zdać 27 egzaminów. Ten pierwszy rok studiów był bardzo pracowity, następne zresztą też, jeżeli chciało się skończyć uczelnię.

Wszystkie te dane pochodzą z mego indeksu, urato-

wanego przeszło 50 lat po ukończeniu studiów przed likwidacją uczelnianego archiwum. I tak w 2007 r. otrzymałam swój poźółkły z lekka indeks z fotografią, wystawiony 1 grudnia 1952 r. przez Państwową Wyższą Szkołę Pedagogiczną we Wrocławiu, Wydział Humanistyczny, nr albumu 264 z moimi danymi, pieczętą uczelni, popisami prof. dr. St. Rosponda – rektora i mgr. St. Dąbrowskiego – dziekana. Indeks, po czterech latach studiów, został wymieniony na dyplom magisterski WSP w Opolu w czerwcu 1956 r.

Tegoż czerwca 1956 r., wczesnym słonecznym raniem wracaliśmy całą grupą do akademików z uroczystości pożegnania naszego roku z gronem profesorskim, śpiewając głośno, bo na rauszu, gdy napotkani na ulicy robotnicy z nocnej zmiany zakrzyczeli nas oburzonymi słowami: „wy tu śpiewacie, a w Poznaniu leje się krew robotników!” Chodziło o tzw. wypadki poznańskie, robotniczy protest przeciw kolejnym podwyżkom, w odpowiedzi na który premier Cyrankiewicz zagroził ucięciem ręki podnoszącej się na rząd!

Na zakończenie moich wspomnień odwołam się do dwóch cytatów: „kończy się jakaś epoka, której byliśmy synami, w której odciskaliśmy swe nikłe ślady, a którą niekiedy jeszcze, wciąż mniej liczni, potrafimy przywołać z zapomnienia, w świecie, coraz mniej już zrozumieliśmy” – Włodzimierza Odojewskiego oraz „Dobrze jest żyć” – śpiewała Anna German. Warto więc może – przywołując z nostalgią tamte dawne, niełatwe lata – cieszyć się też obecnymi.

Urszula Dembska-Krause
(fotografie ze zbiorów autorki)

Urszula Dembska-Krause po studiach pracowała jako nauczycielka języka polskiego w Liceum Pedagogicznym w Tczewie, a od października 1958 r. była pracownikiem naukowo-dydaktycznym WSP w Opolu (asystentura, doktorat w 1967 r., docent kontraktowy, kierownik Zakładu Dydaktyki Literatury i Języka Polskiego, czynna zawodowo do 1995 r.). Obecnie emerytka.

Od Redakcji: opublikowany tekst to fragment jednego ze wspomnień pierwszych absolwentów opolskiej WSP, głównie polonistów, którzy rozpoczęli studia we Wrocławiu w roku 1952 – w początkowo trzyletniej, powstałej w 1950 r. Państwowej Wyższej Szkole Pedagogicznej, a kontynuowali je, po przeniesieniu wrocławskiej uczelni do Opola, w opolskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej jako pierwszy rocznik kończący studia czteroletnie (magisterskie). O wspomnienia dotyczące tych czasów poprosił swoich kolegów zmarły w lipcu tego roku Tadeusz Bednarczuk, posiadacz pierwszego w dziejach WSP w Opolu dyplomu (absolwent rocznika 1952–1956). Te teksty miały zostać wydane w formie zwartej publikacji. Niestety śmierć udaremniła plany pomysłodawcy.

Franciszek Dzionek (1940 – 2012)

15 września br. licznie zebrani na Cmentarzu Komunalnym w Opolu nauczyciele, wychowankowie i przyjaciele uczestniczyli w ostatnim pożegnaniu wybitnego pedagoga, współorganizatora i współtwórcy szkolnictwa zawodowego w Opolu mgr. inż. Franciszka Dzionka.

Przemawiając w imieniu wszystkich zebranych, dyrektor Zespołu Szkół Mechanicznych im. Rotmistrza Witolda Pileckiego w Opolu, mgr inż. Bogusław Januszko, powiedział: *Zmarły dla oświaty zawodowej miasta i regionu, dla jej rozwoju poświęcił całe życie, nie szczędząc sił do ostatnich chwil. Niestrudzony wychowawca wielu pokoleń uczniów, oddany opiekun wielu roczników studentów opolskich uczelni w przygotowaniu ich do pracy w szkołach. Posiadał wielką wiedzę o opolskich szkołach i ich nauczycielach, autor i współautor wielu monografii i opracowań historycznych o dziejach placówek oświatowych miasta Opola.*

Był mgr inż. Franciszek Dzionek osobą o wielu talentach, które w najpiękniejszy sposób wykorzystywał w swojej niezwykle aktywnej i twórczej, trwającej ponad pół wieku, działalności zawodowej i społecznej.

Urodził się 25 marca 1940 roku w Podborcach (pow. lwowski) jako syn Bronisławy i Jana. Wkrótce po tym rodzina osiadła we Lwowie, przy ulicy Zamkowej, gdzie przeżyła lata wojny i okres dwóch okupacji: sowieckiej i niemieckiej.

W maju 1946 roku, wraz z kolejną falą repatriantów, Dzionkowie przybyli do Opola i tu znaleźli swoje nowe miejsce. Franciszek wraz z najbliższymi mieszkał przez blisko ćwierć wieku w kolonii domów wielorodzinnych przy ulicy Bzów, a następnie – od 1969 roku – na osiedlu „Chabry”. Ojciec Franciszka, Jan Dzionek, był rzemieślnikiem. Pracował w Straży Przemysłowej Cementowni Bolko. Matka Bronisława zajmowała się domem.

W 1954 roku Franciszek ukończył Szkołę Podstawową nr 3 w Opolu. W latach 1954 – 1958 uczył się w Technikum Mechaniczno-Elektrycznym w Opolu (obecnie Zespół Szkół Mechanicznych im. Rotmistrza Witolda Pileckiego), zdobywając dyplom technika mechanika (specjalność: budowa maszyn). Był najlepszym uczniem. Ówczesny dyrektor placówki mgr Jan Matczyński zaproponował Mu pracę w macierzystej szkole, początkowo na stanowisku asystenta dyrektora, a po zdobyciu stosownych kwalifikacji – w charakterze nauczyciela przedmiotów zawodowych. W trakcie pra-



Franciszek Dzionek

cy zawodowej Franciszek ukończył studia w Politechnice Śląskiej w Gliwicach, uzyskując dyplom magistra inżyniera mechanika.

Należał do wyróżniających się nauczycieli. To Jego talent pedagogiczny sprawiał, że najtrudniejsze problemy techniczne stawały się dla wychowanków jasne i zrozumiałe. W uznaniu Jego osiągnięć Kuratorium Okręgu Szkolnego Opolskiego powierzyło Mu funkcję przewodniczącego Międzyszkolnego Zespołu Nauczycieli Przedmiotów Mechanicznych, działającego pod egidą Okręgowego Ośrodka Metodycznego w Opolu.

Od 1969 do 1977 roku prowadził w niepełnym wymiarze godzin zajęcia w opolskich uczelniach: Wyższej Szkole Pedagogicznej i Wyższej Szkole Inżynierskiej. W Wyższej Szkole Pedagogicznej, zatrudniony przez dziekana Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii doc. dr. inż. Józefa Pietrzykowskiego, był starszym asystentem, następnie starszym wykładowcą w Katedrze Maszynoznawstwa, a po reorganizacji – w Instytucie Techniki. Wykładał metodykę nauczania mechanicznych przedmiotów zawodowych, technologię

metali i mechanikę techniczną.

W 1978 roku został mianowany dyrektorem Zespołu Szkół Mechanicznych w Opolu. Funkcję tę sprawował do przejścia na emeryturę (1990 r.). Przeprowadził program modernizacji pracowni i gabinetów szkolnych, dostosowując je do potrzeb nowo wprowadzanych kierunków kształcenia zawodowego. Wiele trudu włożył w zachowanie warsztatów szkolnych, które w zmieniających się warunkach społeczno-gospodarczych znalazły się w bardzo trudnej sytuacji. Największą troskę przywiązywał do kształtowania twórczej, zapewniającej wysoki poziom nauczania i wychowania, atmosfery w radzie pedagogicznej. Dzięki wysiłkom Jego i całego grona nauczycielskiego Zespół Szkół Mechanicznych należał do najlepszych szkół w naszym województwie.

Franciszek Dzionek systematycznie doskonalił swój nauczycielski warsztat. Był absolwentem Studium Pedagogicznego dla Nauczycieli Szkół Zawodowych (Instytut Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych w Opolu, 1974 r.) oraz Podyplomowego Studium Organizacji i Zarządzania Oświatą (Instytut Kształcenia Nauczycieli w Kaliszu, 1982 r.). W 1989 roku uzyskał najwyższy, trzeci stopień nauczycielskiej specjalizacji zawodowej w zakresie nauczania przedmiotów mechanicznych.

Ważnym nurtem Jego działalności zawodowej było piarstwo pedagogiczne. Jako autor lub współautor przygotował kilkadziesiąt opracowań dotyczących historii oświaty w Opolu i na Śląsku Opolskim, ogłoszonych w czasopismach pedagogicznych i społeczno-kulturalnych, a wśród nich kilkanaście publikacji zwartych, m. in.: *Zbiór zadań z mechaniki technicznej* (Warszawa 1978 i 1980); *Przykłady lekcji z mechaniki technicznej* (Warszawa 1984); sześciotomowy *Słownik biograficzny nauczycieli Śląska Opolskiego* (Opole 1995–2002); *Magna Porta Scholarum Opoliensium. 50 lat Zespołu Szkół Mechanicznych w Opolu* (Opole 1997 i Suplement – Opole 2007), *Dzieje Zespołu Szkół Elektrycznych im. Tadeusza Kościuszki w Opolu 1946–2000* (Opole 2000, Suplement – *Dzieje Opolskiego Elektryczniaka* – Opole 2010), *Monografię II Liceum Ogólnokształcącego im. Marii Konopnickiej w Opolu* (Opole 2010), *Dzieje Zespołu Szkół Zawodowych im.*

S. Staszica w Opolu (Opole 2003 i Suplement – 2012).

Był współautorem programu praktyk zawodowych uczniów średnich szkół technicznych, który w 1982 roku został wdrożony w całym kraju. W latach 1980–2001 pełnił funkcję zastępcy przewodniczącego Okręgowego Komitetu Olimpiady Wiedzy Technicznej (jako współautor przygotowywał zestawy pytań dla trzech edycji olimpijskich). W okresie od 1992 do 2002 roku niezwykle aktywnie uczestniczył w pracach Komisji Historycznej Zarządu Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego w Opolu, opracował kilka publikacji dotyczących historii Związku w naszym województwie po 1945 roku.

Po przejściu na emeryturę, począwszy od 1990 roku, dzięki dyrektorom opolskich Zespołów Szkół: Elektrycznych i Mechanicznych: mgr. Władysławowi Opocce i mgr. inż. Bogusławowi Januszcze, z benedyktyńską wnikliwością i cierpliwością odtwarzał dzieje tych znakomych centrów kształcenia zawodowego. Pracę tę wykonywał znakomicie do ostatnich chwil życia. Do końca służył swoim talentem i wiedzą.

Z pasją realizował wszystkie działania, których się podejmował, naznaczał je swoją osobowością. Pracę nauczyciela i wychowawcy młodzieży traktował jako służbę społeczną o najwyższym znaczeniu. Niezwykle życzliwy i przyjazny, cieszył się wśród uczniów i w środowisku nauczycielskim wielkim autorytetem, zarówno w wymiarze zawodowym, jak i czysto ludzkim.

Za wybitne osiągnięcia w pracy zawodowej odznaczony został m. in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Złotą Odznaką Związku Nauczycielstwa Polskiego. Otrzymał Nagrodę Ministra Oświaty i Wychowania oraz Nagrodę Kuratora Oświaty i Wychowania.

W pamięci wszystkich, którzy z Nim współpracowali, pozostał jako szlachetny człowiek i znakomity nauczyciel, dla którego sprawy wychowania i kształcenia młodzieży były wartością najwyższą.

Dzieło mgr. inż. Franciszka Dzionka kontynuuje Jego syn Dariusz – nauczyciel w Zespole Szkół Elektrycznych im. Tadeusza Kościuszki w Opolu.

Jerzy Duda

Przyjemne spotkało się z pożytecznym

Sala pełna pytańników

Czy życie bez przyjemności jest coś warte? Albo, patrząc z drugiej strony, czy życie oddane przyjemności jest coś warte? Na czym polega przyjemność? Czy lepiej być zadowoloną świnią, czy niezadowolonym Sokratesem?

Takimi pytaniami do uczestnictwa w otwartym seminarium opolskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Filozoficznego zachęcali prelegenci z naszej uczelni: **ks. dr hab. Joachim Piecuch, prof. UO** z Wydziału Teologicznego oraz Instytutu Filozofii (Zakładu Filozofii Człowieka), **dr Grzegorz Francuz** z Zakładu Etyki i Filozofii Społecznej Instytutu Filozofii oraz **dr Przemysław Zdybek** z Instytutu Psychologii.

Moderatorem spotkania (14 listopada br. w Muzeum Śląska Opolskiego) poświęconego pojęciu przyjemności, był **dr Marcin Pietrzak** (Instytut Filozofii UO), który na początek przypomniał przypowieść o Heraklesie na rozstaju dróg.

– Spotkał tam dwie kobiety. Jedna obiecała mu życie pozbawione wszelkich trudów, za to pełne roz-

koszy. Druga – życie trudne, ale wartościowe, obfitujące w piękne i chwalebne czyny. Którą z dróg wybrałibyście?

Ks. prof. Joachim Piecuch: – Pierwsza propozycja oznacza przyjemność, ale czy za tą przyjemnością kryje się sens życia? Czy przyjemność potrafi życie usensownić? Druga propozycja oznacza sens, czyli wartość, ale dochodzimy do niej w sposób niekoniecznie przyjemny. Pytanie tylko, czy obie te drogi wzajemnie się wykluczają?

Pytań – w odpowiedzi na zadane – nie szczędził także dr Grzegorz Francuz, choć *jako hedonista* opowiedział się wyraźnie za tezą, że *życie bez przyjemności niewarte jest przeżywania*.

Dr Przemysław Zdybek: – To dwie postawy i tyle. Pierwsza nastawiona jest na krótkotrwałą przyjemność, w perspektywie doraźnej. Druga – na przyjemność odroczoną: najpierw trud, potem przyjemność. Z punktu widzenia psychologa wygrywa ta pierwsza postawa, bo ludzie odkładający przyjemność na później, często nie mają już czasu jej użyć.

I tak było do końca: pragmatyzm psychologa zderzał się ze znakami zapytania, zdobiącymi niemal każdą wypowiedź filozofów, których nie brakowało także poza „stołem prezydiąlnym”, a którzy w tej dyskusji o przyjemności wcale nie byli tacy zgodni.

Bo, na przykład: czy człowiek jest rzeczywiście człowiekiem zintegrowanym? – jak chce dr Grzegorz Francuz – a więc *nie rozkłada przyjemności na cielesną i duchową*, czy też rację ma ks. prof. Joachim Piecuch, mówiąc, że *wcale tacy zintegrowani nie jesteśmy, cały czas między naszym rozumem a zmysłami toczy się gra?*

Pytań ciąg dalszy. Czy są granice przyjemności? Jaka jest różnica między przyjemnością a szczęściem? A co z przyjemnością wynikającą z wyrzeczenia, w nadziei na gratyfikację w przyszłości – w postaci obietnicy rajy na przykład?

Ks. prof. Joachim Piecuch: – Taką zależność pojawia się często w kazaniach księży, ale nie ma żadnego uzasadnienia w Biblii. Na nauce Kościoła mocno zaciążył też



Na zdjęciu od lewej: ks. prof. Joachim Piecuch, dr Grzegorz Francuz, dr Przemysław Zdybek i dr Marcin Pietrzak (fot. Dobromir Kożuch)

wpływ św. Augustyna, przekonano, że jest dobry duch i złe ciało. W Liście do Rzymian św. Paweł mówi wyraźnie o porządku ciała, które zmierza ku śmierci i porządku ducha, zamierzającego ku życiu. Nie trzeba tego jednak brać dosłownie. To nieprawda, że w chrześcijaństwie przyjemność nie jest wysoko ceniona, w Biblii znajdziemy aprobatę dla przyjemności, także tej wynikającej z seksualności.

A co z przyjemnością, która opiera się na czymś, co *pochodzi z*

zewnątrz, a wiąże np. z korzystaniem z używek?

Dr Grzegorz Francuz: – Gdyby życie miało trwać chwilę, może i warto byłoby iść na taki skrót, na taką doraźną przyjemność. Ale trwa dłużej, warto je więc prowadzić tak, żeby miało sens, a jednocześnie dostarczało przyjemności. Dzieci to potrafią. Może my, dorośli, za dużo myślimy? Może więc trzeba wiedzieć, kiedy przestać myśleć?

Zatem – w życiu trzeba szukać tego, co nada mu sens (to już ks.

prof. Joachim Piecuch): – A produktem ubocznym tych poszukiwań będzie przyjemność właśnie.

Którą – jak zapewnił pragmatyczny dr Przemysław Zdybek – da się dość precyzyjnie zlokalizować, bo za jej odczuwanie odpowiedzialny jest konkretny obszar mózgu.

A której doznaliśmy sporo tego wieczoru, łącząc w dodatku *przyjemne z pożytecznym*.

Jak zresztą mawiał Horacy.

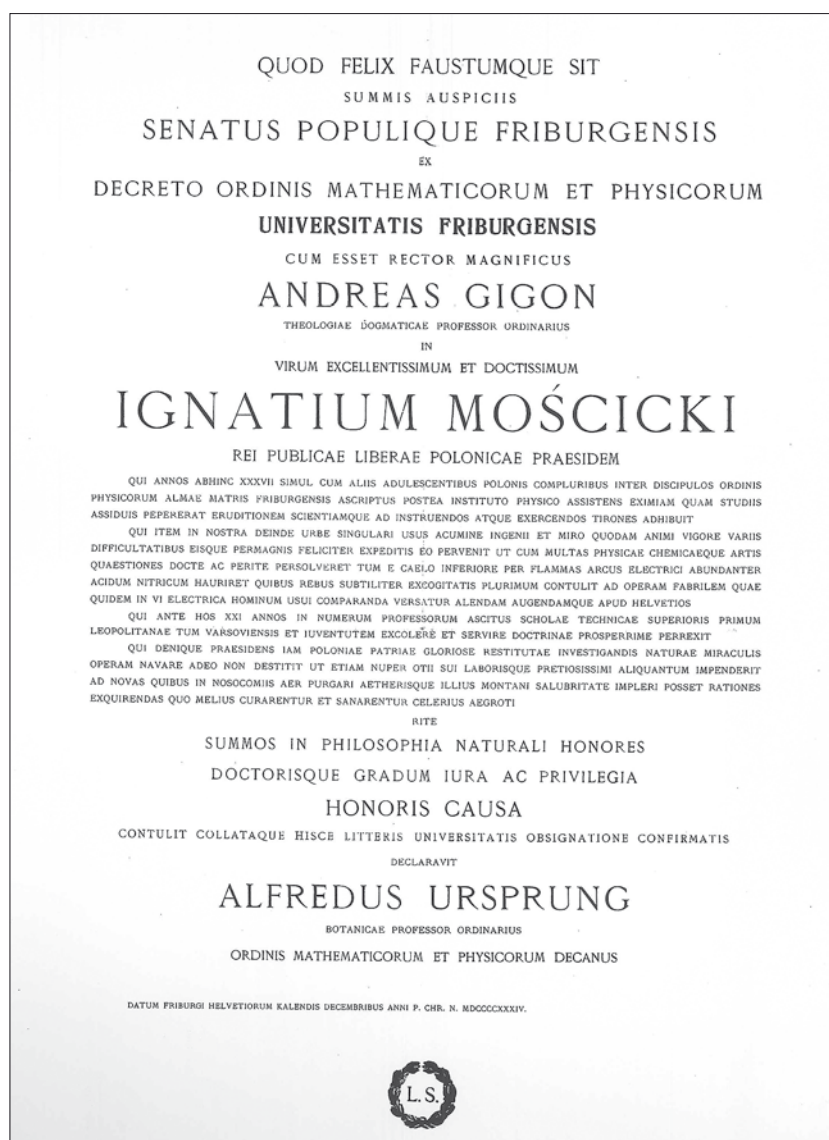
Barbara Stankiewicz

Pani profesor i prezydenci

Na początku października br. **prof. dr hab. Joanna Rostropowicz**, kierownik Katedry Cywilizacji Śródziemnomorskiej Instytutu Historii UO odebrała nietypowy list: Kancelaria Prezydenta RP zwróciła się do niej z prośbą o przetłumaczenie z języka łacińskiego na język polski treści dyplomu doktora *honoris causa* Uniwersytetu we Fryburgu, przyznanego prezydentowi Ignacemu Mościckiemu we Fryburgu w 1934 r. za wybitne osiągnięcia naukowe.

Prof. dr hab. Joanna Rostropowicz: – Uchwałę w tej sprawie, jak czytamy w dyplomie, podjął Wydział Matematyczno-Fizyczny Uniwersytetu we Fryburgu. Uniwersytetu, na który 37 lat wcześniej Ignacy Mościcki został przyjęty, a następnie zatrudniony jako asystent, w Instytucie Fizyki. Tłumaczenie tej części dyplomu było sprawą prostą, niżej jednak opisano dokonania Mościckiego dotyczące metody pozyskiwania azotu z atmosfery za pomocą łuku elektrycznego – z tym też musiałam sobie poradzić. Na te wszystkie zawiłości miałam zaledwie kilka godzin czasu, bo tekst dotarł do mnie późnym popołudniem, a przekład był potrzebny następnego dnia z samego rana.

(b)



Dyplom doktora h.c. Uniwersytetu we Fryburgu Ignacego Mościckiego

Monika Ożóg

Co dla mnie cudem, dla ciebie jest magią

Pismo Święte na ból głowy, eucharystia uodparniająca przed trucizną, sposoby zapobiegające skwaśnieniu wina – takie recepty można było usłyszeć podczas ogólno-polskiej konferencji naukowej *Zabobony, czary i magia w Kościele starożytnym*, która odbyła się 13 listopada br. na Uniwersytecie Opolskim.

Można byłoby przypuszczać, że zabobony, czary i magia spotykały się z odrzuceniem i potępieniem dopiero w IV wieku naszej ery, kiedy to chrześcijaństwo stało się *religio licita* czy też religią uprzywilejowaną. Nic bardziej błędnego: już kilkanaście wieków wcześniej praktyki magiczne spotykały się z bardzo surowymi karami. Hammurabi w XVIII w. p. n. e., polecił wyrycić na stelach nazwanych jego imieniem informacje dotyczące karania magów śmiercią. Czyżby więc wierzył w czarowanie i obawiał się, że któryś z tych czarowników pozna np. jakiś sekret władcy i podzieli się nim z całym światem? Możliwe, że argument przemawiał również do innych władców, nawet chrześcijańskich.

Podobne wzmianki odnaleźć można w czasach Ramessydów, kiedy to przeciwko jednemu z magów Ramzesa III (XII w. p.n.e.) został wytoczony proces. W czasach republiki rzymskiej natrafimy na *Ustawę dwunastu tablic* (poł. V w. p.n.e.), gdzie wśród przestępstw naruszających prawa obywatela rzymskiego znajdują się właśnie wzmianki o magii. Pod koniec III wieku ery chrześcijańskiej, w znanych *Sentencjach Paulusa* znajdziemy wzmiankę o wygnaniu proroka wróżbiarzy. Rzecz jasna, analogiczne odniesienia odnajdziemy i w konstytucjach cesarzy chrześcijańskich, składających się na istotne dokumenty w rodzaju *Kodeksu Teo-*

dozjusza czy *Corpus Iuris Civilis* wydanego przez imperatora Justyniana. Sam cesarz Konstancjusz postulował powołanie antymagicznego inkwizytora i domagał się za te przewinienia nawet kary śmierci!

Nowy czas w dziejach Imperium, zmiana wewnętrznych relacji i praw odnoszących się do kwestii wyznania i obyczajowości, przyniósł wiele ofiar i radykalnych posunięć władz. Musiało to być niezwykle trudne: żyjąc w IV wieku, nagle rozpocząć funkcjonowanie w nowym świecie, będącym światem zupełnie innym, chrześcijańskim. Jak tu nagle, z dnia na dzień tak zupełnie odciąć się od magii?

Dla starożytnych wyznawców religii rzymsko-hellenistycznych, magia była nierozzerwalnie związana z religią. Od zawsze uważana była za dostępny czło-



Na zdjęciu od lewej: prof. Henryk Pietras SJ, dr Monika Ożóg (UO), prof. Jan Iluk (UG)

wiekowi sposób nawiązania bliskich kontaktów z bogiem. Jak twierdzą niektórzy badacze, różnica między religią a magią to jedynie stopień wzajemnej akceptacji, a jak twierdzą jeszcze inni: magia była zdegenerowaną formą religijności. Czyżby więc dla „pogan” to właśnie magia miała rangę i wymiar wiary? Czy bez niej bóg nie chciał wysłuchiwać próśb swoich dzieci? Istnieje z pewnością odczuwany wspólnie problem związany ze zdefiniowaniem terminu *magia*. Ludzie leczyli się w omawianym czasie za pomocą amuletów, eliksirów, obserwowali gwiazdy i to też było w pewien sposób doznaniem magicznym czy czynnością związaną z praktykami magicznymi.

Wraz z początkiem chrześcijaństwa magia zaczęła należeć do zakazanego zakresu elementów rzeczywistości rozbieżnych z chrześcijaństwem. Święci dokonywali wszak cudów, a nie aktów magii! I tu miejsce na istotne spostrzeżenia jednego z badaczy zajmujących się tematem: *co dla mnie jest cudem, dla ciebie jest magią...* Przecież to „oni” – barbarzyńcy uprawiają wiarę, a „my” – chrześcijanie – prawdziwą religię. Zatem czy istnieje różnica między magią a chrześcijańskim cudem? Z pewnością tak, a istotnym wyznacznikiem jest między innymi fakt, że cuda były... za darmo!

Na samym początku rozprzestrzeniania się chrześcijaństwa było ono postrzegane w pewnym sensie jako kolejny rodzaj magii, było uważane za naukę tajemną, dostępną tylko dla wybranych. Ludzie będący do tej pory wiernymi religii państwowej, przechodząc do wspólnot chrześcijańskich nie robili tego z pobudek konformistycznych! Żaden z nich nie umiał z dnia na dzień wyrzec się swego dotychczasowego życia. Był to proces długotrwały i niewątpliwie trudny, stąd praktyki magiczne były siłą przyzwyczajenia nowych wyznawców przenoszone do Kościoła. Z pewnością był to jeden z największych problemów duszpasterskich owej epoki.

Powyzsza problematyka była przedmiotem obrad specjalistów, którzy spotkali się na interdyscyplinarnej konferencji naukowej, zorganizowanej przez Instytut Historii UO (**dr Monika Ożóg**) oraz Katedrę Historii Kościoła i Patrologii (**dr hab. Norbert Widok**, **prof. UO**). Symposium odbyło się 13 listopada br. na Wydziale Teologicznym i spotkało się z wielkim zainteresowaniem ze strony naukowców, nauczycieli, studentów oraz mieszkańców Opola, a także licznie przybyłych z ośrodków akademickich z całej Polski – doktorantów. Widać, że poruszona przez organizatorów konferencji problematyka jest niebywale popularna.

Prelegenci oraz słuchacze zostali przywitani przez prorektora Uniwersytetu Opolskiego **prof. Marka Masnyka** oraz dziekana Wydziału Teologicznego **ks. prof. Tadeusza Dolę**. W tematykę obrad wprowadził

ks. Norbert Widok, który po krótkim zasygnalizowaniu problemów związanych z praktykami magicznymi oddał głos prelegentom.

Pierwszy referat pt. *Praktyki magiczne w aktach synodalnych – zarys problematyki* był dwugłosem, a przedstawiony został przez dr Monikę Ożóg, historyka oraz historyka sztuki zajmującego się starożytnością chrześcijańską oraz **prof. Henryka Pietrasa SJ**, rektora Akademii Ignatianum w Krakowie i wykładowcę Pontificia Università Gregoriana w Rzymie. Kontynuacją tego tematu, na podstawie konstytucji apostolskich zajął się kolejny prelegent **ks. prof. Arkadiusz Baron**, znawca neoplatonizmu chrześcijańskiego, pełniący funkcję prorektora Uniwersytetu Jana Pawła II w Krakowie. Epitafia, na których znajdowały się inskrypcje i magiczne formułki chroniące miejsca pochówków były przedmiotem refleksji **prof. Jana Iluka**, kierownika Zakładu Historii Starożytnej Uniwersytetu Gdańskiego, tłumacza kilku dzieł Jana Chryzostoma, który zapoznał zgromadzonych gości z przykładowymi tekstami magicznymi chroniącymi grobowce przed aktami wandalizmu. Kwestię pastoralnych inicjatyw starożytnych duszpasterzy uwikłanych w praktyki magiczne omówił **dr hab. Paweł Wygralak** z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, autor książki *Stanowisko Kościoła wobec idolatrii i magii na terenach Galii i Hiszpanii w późnej starożytności chrześcijańskiej*. Kolejny prelegent, reprezentujący Uniwersytet Śląski w Katowicach, specjalista od arianizmu i montanizmu, omówił stosunek do praktyk magicznych św. Augustyna na podstawie dzieła *Państwo Boże*. Wyciąg średniowiecznych praktyk magicznych sporządzonych na podstawie *Sumy spowiedniczej* z Rud zaprezentował z kolei **prof. Franciszek Wolnik**, badający historię zakonów na Opolszczyźnie. Ostatnim występującym był **Michał Brzoza** z Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach z referatem pt. *Stosunek Ojców Kościoła do astrologii*.

Liczne grono zainteresowanych uczestników spotkania świadczy o niewątpliwym zainteresowaniu owym problemem. Temat, będący przedmiotem obrad, spotkał się także z zainteresowaniem ze strony opolskich mediów (audycje oraz artykuły na ten temat były przedmiotem informacji w Radiu Opole oraz licznie komentowanych artykułów w Gazecie Wyborczej). W najbliższym czasie ukaże się także seria tekstów popularnych w czasopiśmie ogólnopolskim o różnym profilu, zaś w przyszłym roku zostanie wydana monografia naukowa będąca edytorskim pokłosiem, pod redakcją organizatorów konferencji.

Monika Ożóg
Fot. Kazimierz S. Ożóg

Beata Śliwińska

W 17 minut dookoła biblioteki

Na marginesie wykładu prof. Jana Malickiego

22 listopada br. w Auli Błękitnej Collegium Maius odbyło się pierwsze w tym roku akademickim spotkanie w ramach Złotej Serii Wykładów Otwartych. Prelegentem był prof. dr hab. Jan Malicki, dyrektor Biblioteki Śląskiej.

Gość zyskał szczególną sympatię rektora Uniwersytetu Opolskiego prof. dr hab. Stanisława S. Niciei jako kresowiak, syn ziemi stanisławowskiej, którego los przywiódł na Śląsk, do Katowic. Tam, krok po kroku, zdobywał wiedzę, oddając ją potem Uniwersytetowi Śląskiemu. Dzisiaj – jak powiedział rektor – to szef jednej z największych, najlepiej zorganizowanych bibliotek w Europie.

Prelegent rozpoczął wykład opowieścią o poszukiwaniach starodruku wydanego w Tokio w XVI wieku, a znalezionej właśnie w Bibliotece Śląskiej, przypominając słuchaczom, że biblioteka od czasów najdaw-



Prof. Jan Malicki wygłosił wykład pt. *Rola zbiorów regionalnych dla kultury narodowej i europejskiej*

niejszych jest miejscem szczególnym, które gromadzi w swoich murach nie tylko zbiory. Pojęcie zbiorów regionalnych jest bardzo szerokie – związane z twórcą, wydawcą, miejscem powstania dzieła, dotyczące przeszłości i współczesności regionu (...). Cały system gromadzenia, opracowania, przechowywania ale i konserwacji tych zbiorów – to fundament każdej rozmowy na temat istoty działań bibliotekarskich. Opowiadając o książkach i uniwersytetach, profesor Malicki przeprowadził słuchaczy przez boje historyczne – najpierw powstania, potem wojnę, wreszcie plebiscyt, kiedy to książka miała dla Polonii i Polski znaczenie nie do przecenienia i nie do zapomnienia. Przyczyniła się przecież nie tylko do podtrzymywania bytów narodowych i regionalnych, ale i do związania Śląska z Polską, nie z Niemcami, będąc bronią wielkiego kalibru przeciw germanizacji.

Biblioteka Śląska powstała dziewięćdziesiąt lat temu, dokładnie w roku 1922, zaś w roku 1934 został wybudowany nowy gmach biblioteki, jeden z najpiękniejszych nie tylko w Polsce. Na przestrzeni lat profil biblioteki ewoluował i z publicznej przeszedł w naukową. Klasyczna naukowość połączyła się jednakże z szerokim, publicznym dostępem do wiedzy – a jej zasoby są w Bibliotece Śląskiej ogromne. To m.in. zbiory Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku, księgozbiór Konstantego Prusa, ogromny zbiór profesorów lwowskich (m.in. Oswalda Balzera, dzięki którego – trwającej podobno sześć godzin! – płomiennej mowie prokuratora to Polsce, w sporze ze Słowacją, przypadło Morskie Oko). Każda biblioteka ma swój charakter i swój smak, każda biblioteka ma takie zasoby, które stają się naprawdę wartością ponadlokalną. Dopowiadając za profesorem – niejedna biblioteka ma w swoich zbiorach białe kruki, a do takich należy w Bibliotece Śląskiej jedyny egzemplarz pierwodruku *Kubusia Fatalisty* na świecie, wydany w roku 1793, nie w 1796 – jak podają wszystkie encyklopedie. Konstany Wolny, pierwszy marszałek województwa śląskiego, przekazał bibliotece autograf Hugona Kołłątaja (dedykowany siostrze), którego postulaty były podwalinami Konstytucji 3 maja. Jak powiedział profesor: *Śląsk był wychowany na książkach, a pierwsze teksty Mickiewicza drukowano na Śląsku już w latach trzydziestych XIX wieku, a więc zanim wieszcz napisał swoje największe dzieła.*

Mijały lata, rozwijał się region, odbudowywało i rozrastało się miasto, pęczniała też biblioteka. Pod ko-

niec lat 80. doszło do tego, że – jak to obrazowo ujął profesor Malicki – *stropy biblioteki opierały się na regałach książek* (jestem pewna, że słyszałam jęk zazdrości kilku bibliofilów, których zdążyłam wypatrzeć w auli). Z czasem ruch uliczny w Katowicach zgęstniał, a pod biblioteką spotkały się chodniki dwóch kopalń... Scena jak z filmu katastroficznego. Był to najwyższy czas, by opracować plan budowy nowego gmachu.

O kształcie biblioteki zdecydowali sami bibliotekarze, kierując się – jak powiedział prelegent – *metodą filologiczną, która polega nie tylko na tym, że analizujemy, ale też pokazujemy wszystko to, co jest wartościowe i to, co jest atrakcyjne*. (Słyszając „atrakcyjne”, pomyślałam o zbiorach na płytach CD i DVD, które mam w swojej bibliotece. To nie tylko filmy o złowieszczym, a zarazem zabawnie brzmiących tytułach, typu: *Atak zmutowanych karaczanów*. To także nagrania poezji czytanej przez samych autorów, jak i aktorów czy lektorów. Żałuję, że nie mogę tego udostępnić. Słyszając „wartościowe”, pomyślałam o księgach dedykowanych zasłużonym profesorom, wydawanych z okazji jubileuszów pracy naukowej bądź konferencji czy seminariów, w których tematycznie splata się historia literatury z jej teorią, dydaktyką czy językoznawstwem. Gdy profesor przypomniał, że *książek nie pisze się po to, by dać satysfakcję tylko i wyłącznie twórcom, ale po to, by znalazł się ktoś, kto po nie sięgnie, kto je wykorzysta do swoich potrzeb* – westchnęłam, myśląc o tym, jak trudno mi je zakwalifikować do konkretnego działu tak, by studenci szybko je znaleźli).

Nowy, przynoszący chlubę, budynek biblioteki został oddany do użytku w roku 1998 – a więc rok wcześniej niż zielono-fioletowa duma Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. Był owocem tytanicznej (współ)

pracy władz województwa i uczelni, architektów i budowlanców, bibliotekarzy i... czytelników, wszak pomysłów i inspiracji można szukać wszędzie. Jednakże profesor przestrzegwał, że *wybudować siedzibę jest łatwo – o wiele ważniejsza jest funkcja tego obiektu*. Za najważniejszą uznano w Katowicach *wejście do systemu bibliotek krajowych* (czyli tzw. narodowego zasobu bibliotecznego) poprzez połączenie aspektu publicznego z naukowym. Pozwala to dziś w pełni wykorzystywać potencjał Biblioteki Śląskiej dla regionu. Tym samym powstał model, który jest atrakcyjny i nobilituje biblioteki – co przekłada się na przewodzenie czołowe rankingów, np. „Rzeczpospolitej”. Rachunek w przypadku bibliotek jest prosty: większa liczba czytelników przekłada się na fundusze, które otrzymuje biblioteka z Ministerstwa Kultury. Z tym, że *solą biblioteki nie są wyłącznie zbiory historyczne – solą biblioteki są nowości*, jak podkreślał zaproszony gość, zaznaczając, że jest to też wielka korzyść dla województwa. Statystyka biblioteki przedstawia się naprawdę imponująco: dziennie zapisuje się ok. 60 osób, 1621 osób przychodzi skorzystać ze zbiorów, udostępnia się ponad 2600 książek. *Żadna instytucja kultury nie może się pochwalić taką dzienną statystyką*, jak zapewniał profesor Malicki. Co cztery dni odbywa się spotkanie, co tydzień ukazuje się nowa publikacja naukowa. *Nie byłoby tego wszystkiego, gdyby w pewnym momencie nie zadano sobie pytania, które humaniści znają od czasów antyku: „Co dalej”?*

To książka biega za czytelnikiem – nie czytelnik za książką. A biega szybko, bo do każdej z ponad dwóch milionów książek w Bibliotece Śląskiej można dotrzeć w siedemnaście minut i jest to swoisty rekord świata – wyliczał gość. Tymczasem ja szybko przeprowadzi-



łam prosty, pamięciowy rachunek, z którego wynikało, że ja docieram do książki w jedną trzecią tego czasu – ale też moje zbiory są ułamkiem zbiorów Biblioteki Śląskiej...

Nie ma przemawiania (i studiowania) bez dyskusowania, toteż w auli padały *pytania miazdzące*, jak się wyraził profesor, odpowiadając dyrektorowi Departamentu Kultury, Turystyki i Sportu Urzędu Marszałkowskiego w Opolu, **Januszowi Wójcikowi**, na pytanie o trzy najważniejsze książki o Śląsku. Młode pokolenie powinno przecież znać nazwiska Zbyszka Bednorza, Norberta Bonczyka, Konstantego Damrota, Wojciecha Korfantego, Józefa Lompy czy Stanisława Wasylewskiego (a tym samym wiedzieć, kto był patronem ulic, które przemierzają codziennie). Profesor **Dorota Simonides** zatrwożyła się, słysząc o planach napisania encyklopedii województwa śląskiego. Dyrektor Biblioteki Głównej Uniwersytetu Opolskiego, **Danuta Szewczyk-Kłos**, podziękowała dyrektorowi Malickiemu za możliwość uczestniczenia naszej biblioteki uniwersyteckiej w projekcie Śląskiej Biblioteki Cyfrowej. Dyrektor Muzeum Śląska Opolskiego **Urszulę Zajączkowską** ucieszył pomysł budowania platformy przez biblioteki śląskie. Podobna idea rośnie również wśród muzeów śląskich, które posiadają cenne zbiory

z historii Śląska.

W wystąpieniu profesora Malickiego, przemawiającego z pozycji dyrektora Biblioteki Śląskiej, można było usłyszeć wskazówki dla władz naszej uczelni: jak i kiedy zaplanować budowę nowej biblioteki, kogo zaangażować do prac nad takim projektem, gdzie szukać tak podpowiedzi jak i pułapek, których można uniknąć. Nawet Mona Liza na krawacie Jego Magnificencji Rektora (przypominająca – nie inaczej – o znaczeniu dziedzictwa historycznego dla rozwoju i trwania przyszłych pokoleń) uśmiechała się szeroko, słysząc słowa profesora ostrzegającego przed zachłystywaniem się nowinkami technicznymi (książki próbowano przecież palić i topić – teraz się je masowo digitalizuje, ale i tak to wciąż papier wygrywa). Przez okna do auli zajrzało słońce, gdy gość mówił o *wielkim gromadzeniu i wielkim dostępie*, zadając pytanie, czy wejdziemy do historii jako ci, którzy zakopują podziały, czy ci, którzy je na nowo rozkopują? Rektor Uniwersytetu Opolskiego, jako historyk, zachęcał, byśmy próbowali *patrzyć na historię bez okularów Barei*.

Beata Śliwińska
Fot. Jarosław Mokrzycki

De eventibus

De eventibus – taki temat spotkania romanistów wybrał **dr Fabrice Marsac**, językoznawca w Katedrze Kultury i Języka Francuskiego naszego uniwersytetu. Temat ciekawy, co potwierdzili naukowcy z Université Libre z Brukseli, przyjmując rolę współorganizatora tej międzynarodowej konferencji. W dniach 18 – 20 października br. do Opola przybyli naukowcy z Polski, Belgii, Francji, Algierii i Izraela, by odkrywać nowe perspektywy badawcze, siebie, nasze miasto, które pięknie prezentowało się w promieniach jesienno-słońca, nie mówiąc o urokach naszego wzgórza uniwersyteckiego. Konferencję zaszczylił swoją obecnością **Alain Schneider**, attaché Ambasady Francji w Polsce. Cieszę się ogromnie, że konferencję otworzył prorektor Uniwersytetu Opolskiego **prof. dr hab. Janusz Słodczyk**, którzy bardzo ciepło mówił o naszej romanistyce,



Uczestnicy międzynarodowej konferencji *De eventibus* w Sali Senatu UO

za co serdecznie dziękuję. Konferencja przebiegała w bardzo dobrej atmosferze. Wysoki poziom wystąpień wielokrotnie podkreślany był przez uczestników, a zwłaszcza **profesora Rudolpha Socka**, wybitnego językoznawcę z Uniwersytetu w Strasburgu, który przybył do Opola ze swoimi współpracownikami. Profesor przyjął nasze kolejne zaproszenie, tym razem w ramach programu Erasmus, co bardzo nas cieszy. Podobnie jak zadeklarowana wola organizacji następnego spotkania w przyszłym roku, zwłaszcza że niedługo ujrzy światło dzienne w Strasburgu obszerny

tom zbiorowy, owoc ubiegłorocznej konferencji.

Piszę o tym z radością i dumą. Nasza opolska romanistyka ma dopiero lat siedem, a już inne ośrodki uniwersyteckie, dostojne i ważne, chcą nas poznać. Dr Fabrice Marsac gościł na romanistyce wrocławskiej, gdzie jego seminarium i wykłady spotkały się z dużym zainteresowaniem pracowników i studentów, podobnie na Uniwersytecie w Bańskiej Bystrzycy i Preszowie (Słowacja). Po tegorocznej konferencji otrzymał zaproszenie z Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu Śląskiego. Nie mam

wątpliwości, że to właśnie osoba organizatora, jego zapał, determinacja, kultura osobista oraz ciepłota sprawiły, że była to kolejna udana konferencja naukowa w naszej katedrze, budująca nasz wizerunek młodego, prężnego ośrodka z ambicjami. Tym razem doktorowi Fabrice Marsacowi pomogli... opolscy filharmonicy pod batutą Bartosza Żurakowskiego, którzy uczestników konferencji po prostu oczarowali.

Krystyna Modrzejewska

Polska-czeska konferencja naukowa

Między Wschodem i Zachodem

W dniach 24–26 września br., na wspaniałym tle polskiej, złotej jesieni, w reprezentacyjnych salach pałacu w Kamieniu Śląskim odbyła się międzynarodowa konferencja naukowa pt. *Czechy i Polska między Wschodem i Zachodem w średniowieczu i wczesnej nowożytności*. Symposium zostało zorganizowane przez Komisję Dziejów Czech i Stosunków Polsko-Czeskich Polskiej Akademii Nauk oraz Instytut Historii Uniwersytetu Opolskiego.

Spotkanie o takim charakterze, w Opolu, w miejscu leżącym na historycznym styku państw, kultur, tendencji i tradycji jest symboliczne i niezwykle ważne, co podkreślali często goście, którzy przyjęli zaproszenie i byli uczestnikami tego spotkania. Wśród zaproszonych prelegentów znaleźli się przedstawiciele Polskiej Akademii Nauk, delegaci najważniejszych ośrodków akademickich z Polski i Czech, niejednokrotnie związani z Opolem, m.in. poprzez nadane im przez uczelnię tytuły doktorów honorowych.

Konferencja rozpoczęła się

wstępem wygłoszonym przez współorganizatora konferencji **prof. dr. hab. Wojciecha Iwańczaka**, następnie zaproszonych gości przywitał prorektor **prof. dr hab. Marek Masnyk**, podkreślając walory miejsca, w którym odbywały się obrady. W posiedzeniu wziął również udział dyrektor Instytutu Historii, **dr hab. Tomasz Ciesielski, prof. UO**.

Ze względu na tematy wystąpień, obrady konferencyjne zostały podzielone na pięć bloków tematycznych. Ich tytuły: *W świetle Przemysławidów, Śląsk bliższy i dalszy, W cieniu półksiężyca, Wojny i polityka* oraz *Kultura – religia – idee* przybliżyły kolejne, szczególnie aspekty szeroko zdefiniowanego tematu spotkania.

Jako pierwsza wystąpiła **prof. Marie Bláhová** (Uniwersytet w Pradze) z referatem: *Sňatky přemyslovských knížat a jejich vliv na politiku českého státu*. **Profesor Antoni Barciak** z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach poruszył tematykę *Rusi i Rusinów w polityce monarchii Przemysła Otokara II*, zaś **dr Norbert Mika** przedsta-

wił sylwetkę *Ostatniego Przemysławidów*. Sesję pierwszą zakończył **prof. Ivan Hlaváček** wystąpieniem pt. *Prezence zapadních rukopisů v Čechách doby přemyslovské*. Dyskusję na temat Śląska wywołał swoimi wystąpieniami **prof. dr hab. Anna Pobóg-Lenartowicz** (v-ce prezes PTH), referatem pt. *Czesi i Morawianie w średniowiecznym Opolu* oraz przedstawiciel Uniwersytetu Jagiellońskiego **prof. dr hab. Jan Drabina** (*Wrocław między krucjatami antyhucyckimi a krucjatami antytureckimi u schyłku średniowiecza*).

Niezwykle popularna w ostatnich czasach tematyka związana z obecnością Turków oraz animozjach między Europą a islamem została podjęta przez kilku prelegentów. Honorowy doktor Uniwersytetu Opolskiego **prof. Jaroslav Pánek** zaprezentował temat *Obrońca Zachodu: Królestwo Czech w obronie przeciw ekspansji osmańskiej*. Z kolei **dr Jerzy Grygiel** z Biblioteki Jagiellońskiej podjął się próby porównania *Czech i Polski wobec zagrożenia tureckiego w XIV i XV wieku*, zaś **dr hab. Janusz**



Uczestnicy polsko-czeskiej konferencji przed pałacem w Kamieniu Śląskim

Smolucha (Akademia Ignatianum w Krakowie) wygłosił tekst: *Próby wciągnięcia przez Stolicę Apostolską Polski i Czech do udziału w krucjacie antytureckiej w połowie XV wieku*. Ten blok tematyczny reprezentowany był także przez dwóch pracowników Instytutu Historii UO: wspomnianego już dyrektora Tomasza Ciesielskiego (*Czesi i Polacy wobec zagrożenia osmańskiego w latach 20–70. XVI w.*) oraz **dr. hab. Bogusława Czechowicza, prof. UO** (*Sultánovy řeči by potěšily i Čechy... Dziedzictwo bizantyjskie w rękach Turków a europejski kryzys tożsamości w XV – XVI wieku*).

Następnego dnia obrady rozpoczęły się referatem **prof. dr. hab. Krzysztofa Baczkowskiego** na temat *Roli czeskiego głosu elektorckiego w średniowiecznych elekcjach królów niemieckich*. Dużą popularnością cieszyła się sesja ostatnia, mająca częściowo charakter interdyscyplinarny, a dotycząca kultury, religii oraz idei. Historyk sztuki z Uniwersytetu Jagiellońskiego **dr Marek Walczak** przedstawił relacje łączące Kraków ze sztuką czeską około

roku 1300. **Prof. Stanisław Bylina** z Instytutu Historii PAN poruszył problem kultury religijnej na przykładzie kulturowego usytuowania Polski między Wschodem a Zachodem w XIV–XV wieku. W panelu tym wystąpili również prelegenci z Lublina. **Profesor Henryk Gmiterek** (UMCS) wygłosił referat pt. *Bracia czescy wobec polemiki o korzenie polskiej reformacji*, zaś **dr Agnieszka Januszek-Sieradzka** (KUL) przedstawiła problem *Dwornej miłości w późnośredniowiecznej Polsce, czyli jak zachodnioeuropejska gra dworska stała się narzędziem politycznym*. Ostatnim referentem był **prof. Dan Gawrecki** mówiący na temat: *Východ a Západ v českých kronikách a cestopisech 16. Stoleti*.

Po długich, owocnych, choć niewątpliwie wyczerpujących obradach, po których ożywione dyskusje trwały aż do późnych godzin nocnych, zaproszeni goście wzięli udział w objeździe krajoznawczym przybliżającym część skarbów naszego regionu. Program przewidywał pobyt na Górze św. Anny, na zamku w Rogowie oraz

w Mosznej. Po annogórskim sanktuarium, oprowadzał prowincjał franciszkanów **o. Błażej Kurowski**, błyskotliwie przybliżając historię i podkreślając znaczenie tego miejsca. Z kolei w Oddziale Rękopisów i Starych Druków Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Opolu, mieszczącym się we wnętrzach rogowskiego zamku, uczestnicy konferencji mogli poczuć się jak w domu, czego dowodem był brak szczególnej chęci do opuszczenia tego miejsca... Prezentująca zbiory kustosz **mgr Mirosława Koćwin** wykazała się przed gośćmi niebywałą erudycją i wiedzą dotyczącą nie tylko omawianych rękopisów, starodruków czy map terenów Śląska. Jeden ze zwiedzających obiekt gości zgłosił chęć zamieszkania w tym miejscu, argumentując to możliwością posiadania tak różnorodnych materiałów źródłowych pod ręką. Na koniec, zmęczeni prelegenci podziwiali oryginalną architekturę i ogrody zamku w Mosznej.

Monika Ożóg
Fot. Paweł Sieradzki

Promocja książki dr Anny Kaczmarek

Kobiety u Zoli

24 października br. odbył się wieczór autorski dr Anny Kaczmarek poświęcony promocji jej książki podoktorskiej *L'image de la femme dans l'oeuvre d'Émile Zola* (*Obraz kobiety w dziele Emila Zoli*). W spotkaniu uczestniczyli pracownicy Katedry Kultury i Języka Francuskiego oraz studenci filologii romańskiej, a poprowadził je **mgr Tomasz Różycki**, który na wstępie zwrócił uwagę na wymowę tytułu, w którym francuskiemu *image* odpowiada polski *obraz*. Prowadzący zwrócił uwagę na zainteresowania badaczki problematyką XIX wieku: owa predylekcja do twórczości Zoli wynikać miałyby z niezwyklej pedanterii, z jaką pisarz odmalowuje barwną rzeczywistość okresu Drugiego Cesarstwa.

Dr Anna Kaczmarek wyjaśniła kryteria selekcji materiałów źródłowych (dwadzieścia powieści zolowskiego cyklu *Rougon-Macquartów*). Ich wybór pozwolił na wyodrębnienie trzech figur kobiet, a tym samym trzech rozdziałów monografii: młodej dziewczyny, matki oraz kobiety upadłej. Takie ujęcie okazało się bardzo interesujące, a zarazem pomocne w uzmysłowieniu czytelnikowi, że w społeczeństwie francuskim XIX stulecia kobiety miały wyłącznie dwie możliwości wyboru – były albo wzorowymi gospodyniami domowymi albo kobietami sprzedajnymi. Zastosowanie antropologii kulturowej (odwołanie do *Drugiej płci* Simone de Beauvoir) jako nowoczesnego instrumentarium metodologicznego, pozwoliło badaczce spojrzeć na dzieło Zoli w szerszym kontekście, nie ograniczając perspektywy badawczej wyłącznie do tekstu.

W opinii dr Anny Kaczmarek, w twórczości ojca naturalizmu warta podkreślenia jest jego wrażliwość na sprawy społeczne, empiryczny stosunek do rzeczywistości, dziennikarski pazur, wnikliwy zmysł obserwacji, obrazowy, by nie powiedzieć mięsisty język, swoiste wizjonerstwo, dociekliwość oraz rozległość horyzontów dokumentalisty. Fenomen Zoli polega na podejmowaniu aktualnej problematyki oraz ukazywaniu autentycznych aspiracji i kondycji kobiety żyjącej w patriarchalnym społeczeństwie. Taka perspektywa pozwoliła badaczce wyeksponować złożoność i bogactwo natury kobiecej, która bezsprzecznie fascynowała autora *W matni*, wychowanego zresztą przez kobiety.

Innym, bardzo ciekawym wątkiem dyskusji była refleksja na temat recepcji utworów Zoli w Pol-

sce. Przekład fresku obyczajowego *Rougon-Macquartów*, dokonany przez kilkunastu tłumaczy, dowodzi *primo* nadmiernego nacechowania ideologicznego tekstu w języku polskim, *secundo* nieznamośći prozy tego pisarza w naszym kraju. Postrzegany jest on bowiem jako autor, który ilustrując tzw. walkę klas, wpisywał się w założenia ideowe PRL-u i estetykę socrealistyczną. Zważywszy na fakt, iż oprócz literaturoznawstwa dr Kaczmarek zajmuje się translatoryką, wyzwaniem wydaje się pogłębienie znajomości twórczości Zoli w tym właśnie ujęciu, tzn. przez dokonanie – w przyszłości – tłumaczeń jego kronik stanowiących przysłowiową kopalnię wiedzy na temat ówczesnych realiów.

Anna Ledwina



Dr Anna Kaczmarek i prowadzący spotkanie promujące jej książkę Tomasz Różycki

Średniowieczny wóz i przewóz

W dniach 29–30 października br. w Instytucie Historii UO trwały zorganizowane już po raz dziewiąty Opolskie Dni Kultury Średniowiecznej, popularyzujące historię średniowiecznego Śląska, skierowane do studentów i uczniów szkół ponadgimnazjalnych. Tegoroczne spotkania poświęcone były szlakom handlowym przebiegającym przez ten region w wiekach średnich. Tematyka ta jest stosunkowo słabo znana współczesnym mieszkańcom Górnego i Dolnego Śląska, mimo że przez nasze ziemie przebiegały najważniejsze trakty i drogi handlowe ówczesnej Europy. Korzystne położenie geograficzne Śląska miało wpływ na jego rozwój cywilizacyjny (w późnym średniowieczu Śląsk wyprzedził ówczesne Królestwo Polskie). Tak gwałtowne zmiany były efektem ścisłych związków handlowych śląskich miast z monarchią czeską i Cesarstwem Niemieckim, a także wymiany handlowej pomiędzy kupcami śląskimi a kupcami z Małopolski i Wielkopolski.

Pierwszego dnia zaprezentowali się doktoranci **prof. dr hab. Anny Pobóg-Lenartowicz: Damian Langner i Klaudia Wyleżoł**. Damian Langner, w referacie pt. *Szlak bursztynowy na Śląsku*, przedstawił kulisy handlu bursztynem pomiędzy światem śródziemnomorskim a nadbałtyckim, od starożytności po średniowiecze. Doktorant podkreślił znaczenie bursztynu, jego wartość dla ówczesnych, przywołał też nazwy leżących na Śląsku miejscowości, które można powiązać z handlem tą skamieniałą żywicą drzewną. Wystąpienie Klaudii Wyleżoł poświęcone było *Via Regia na Śląsku*. Ta niezwykle ważna droga pielgrzymkowa biegnąca od Hiszpanii – miejsca kultu św. Jakuba – przez całą Europę, przecinała w swoim biegu na wschód także Śląsk. Transportowano nią, ze wschodu na zachód i odwrotnie, także liczne towary, a przy okazji – idee, które łączyły ówczesny świat chrześcijański. Dowodem istnienia tej drogi na Śląsku są znajdujące się tam do dziś liczne miejsca kultu św. Jakuba. *Via regia*, droga królewska lub inaczej: droga wysoka, jest dzisiaj świadectwem kulturowej integracji europejskiej, która miała miejsce w średniowieczu, a do której odwołuje się współcześnie Unia Europejska. Klaudia Wyleżoł barwnie opowiadała również o Ślązakach i Polakach, którzy wędrowali tym szlakiem w średniowieczu i epoce nowożytnej.

Drugiego dnia gościliśmy prelegenta z Uniwersytetu Wrocławskiego, **dr. Jarosława Szymańskiego**, który opowiadał o szlakach handlowych Śląska w średniowieczu, posługując się przy tym zachowanymi zabytkami kartograficznymi, przy pomocy których odtworzył najważniej-

sze drogi i trakty handlowe naszego regionu. Podkreślał brak istnienia na Śląsku, aż do czasów pruskich, stałych dróg. Prelegent zwrócił szczególną uwagę na ogromną liczbę mostów na Odrze, które ułatwiały komunikację w naszym regionie – pod tym względem znacznie wyprzedzaliśmy monarchie Jagiellonów. Jarosław Szymański przedstawił pozycję Śląska na ówczesnej mapie handlowej Europy, przypomniał także najważniejszych partnerów handlowych, a co za tym idzie – kierunki eksportu śląskich produktów.

Opolskie Dni Kultury Średniowiecznej zakończyły się warsztatami dla studentów Uniwersytetu Opolskiego i uczniów z III Liceum Ogólnokształcącego w Opolu, podczas których mieli okazję wziąć udział w grze historycznej, pokazującej znaczenie cieków wodnych Śląska w państwie pierwszych Piastów, a także obejrzeć prezentację dotyczącą różnych środków komunikacji rzecznej, wykorzystywanych przez Słowian w naszej części Europy na przełomie X i XI stulecia.

Marcin Böhm



Wskaźnik, rys. Leszek Otdak

Studenci opolskiej germanistyki w Parlamencie Europejskim

Bliskie spotkania najwyższego stopnia

Koniec października br. Gmach budynku Parlamentu Europejskiego w Strasburgu. Pośrodku agory im. Bronisława Geremka kłębi się grupa turystów. Wśród nich młodzi Polacy, studenci germanistyki i doktoranci Uniwersytetu Opolskiego, którzy właśnie dowiadują się, że szklana kula w centralnym punkcie agory jest autorstwa ich rodaka, Tomasza Urbanowicza z Wrocławia. Czekają na europosłankę **Różę von Thun und Hohenstein**, która dzisiaj wraz z innymi deputowanymi odwiedza muzea poświęcone trudnej historii Alzacji. Tymczasem asystent pani poseł tłumaczy, co dzieje się w tym wyjątkowym i ważnym dla Europy miejscu. Szybko jednak przerywa, dostrzegając przy wejściu twarz znajomą nie tylko jemu, ale i całej Europie – w stronę opolskich studentów podąża **prof. Jerzy Buzek**, który chętnie podejmuje z nimi rozmowę, pytając o cel podróży i zapatrywania odnośnie przyszłości wspólnej Europy. Po krótkiej dyskusji były przewodniczący Parlamentu powraca do swoich obowiązków, a studenci kontynuują rozmowę z europosłanką Różą Thun oraz eurodeputowanym parlamentu niemieckiego **Thomasem Mannem**. Tematy są różne, ale wszystkie oscylują wokół potrzeby zniesienia wszelkiego rodzaju granic funkcjonujących w zjednoczonej Europie.

Spotkanie z eurodeputowanymi jest uwieńczeniem pobytu studyjnego w Strasburgu opolskich studentów

– w ramach projektu „Spotkania ponad granicami”, koordynowanego przez **dr Gabriellę Jelitto-Piechulik**, a zorganizowanego przez **Klausa Hubera i Jurgena Klemma**, działających w imieniu organizacji „Europa-Union Achern” przy Parlamencie Europejskim w Strasburgu. W myśl stwierdzenia, że to właśnie kultura łączy narody, germaniści przygotowali dwujęzyczny program literacki, na który złożyły się wiersze Tadeusza Różewicza oraz lokalnych poetów: Klausa Hubera i **Winfrieda Hoggenmüllera**, zaprezentowali także jesienne fotografie Śląska (m.in. Opola). Publiczność niemiecka była zachwycona kompetencjami językowymi opolskich germanistów oraz ich zamiłowaniem do literatury niemieckiej i polskiej. Podążając śladami wybitnych pisarzy niemieckich, opolanie zwiedzili dom-muzeum Grimmelshausena w Renchen oraz dom babci Bertolda Brechta w Achern, gdzie przyszły pisarz spędzał wakacje. Wyjazd studyjny okazał się dowodem na to, że Polacy i Niemcy mają wiele wspólnego i że mogą być przyjaciółmi.

Naszych niemieckich przyjaciół niebawem powitaemy w Opolu.

Roman Szabliski

doktorant w Instytucie Filologii Germańskiej UO

Lukasz Twardawa

student II roku germanistyki (studia magisterskie)



Opolscy studenci na pamiątkowej fotografii z europarlamentarzystami – na agorze Parlamentu Europejskiego w Strasburgu (fot. Marlena Nadolna)

Międzynarodowa konferencja *Korpusy i kanony*

Germaniści o Śląsku

W dniach 14 – 17 października br. w Kamieniu Śląskim obradowała międzynarodowa konferencja *Corpora und Canones. Schlesien und andere Räume in Sprache, Literatur und Wissenschaft (Korpusy i kanony. Śląsk i inne obszary w języku, literaturze i nauce)* zorganizowana przez Instytut Filologii Germańskiej UO we współpracy z uniwersytetami w Poczdamie i w Bambergu, a współfinansowana przez Fundację Współpracy Polsko-Niemieckiej.

Otwierając konferencję, rektor UO prof. Stanisław Sławomir Nicieja podkreślił, że to właśnie filologie stanowią fundament Uniwersytetu Opolskiego, a wśród nich zakorzeniona w regionie opolska germanistyka, propagująca model wielokulturowości, o czym świadczą kierunki prowadzonych badań. Dyrektor Instytutu Filologii Germańskiej prof. Maria Katarzyna Lasatowicz nawiązała do wieloletniej tradycji międzynarodowych konferencji germanistów, które sprzyjają rozwojowi nauk humanistycznych w Polsce i Europie.

Wychodząc od przedstawienia założeń teorii walencyjności, Lesław Cirko (Uniwersytet Wrocławski) opowiedział się w swoim referacie za poszerzeniem kanonu rozróżnianych w niej jedenastu dopełnień o tzw. dopełnienie narzędnikowe, definiując równocześnie cechy czasowników, przy których ono występuje. Zagadnienia gramatyczne podjął w swoim wystąpieniu również Józef Wiktorowicz (Uniwersytet Warszawski), który na podstawie analizy zdigitalizowanego korpusu z XVIII- i XIX-wiecznych tekstów literackich nakreślił zmiany, jakie zaszły w ostatnich trzech stuleciach w pozycji przydawki dopełniaczowej przed wzgl. po wyrazie określającym. Andrzej Kątny (Uniwersy-

tet Gdański) z kolei zajął się problematyką języka Kaszubów. Po przedstawieniu historii niemieckich wpływów językowych na kaszubski skierował swoją uwagę na jego status jako języka regionalnego i wynikające z tego wsparcie ze strony państwa. Podobnie Marian Szczodrowski (Wyższa Szkoła Języków Obcych w Świeciu/Uniwersytet Gdański) poświęcił swoje wystąpienie Kaszubszczyźnie i jej językowi, podchodząc do tematu zarówno od strony językoznawczej jak i socjologicznej, a równocześnie poruszając zagadnienia lingwistyki kontaktów językowych i lingwistyki korpusu. Grażyna Łopuszańska (Uniwersytet Gdański) skierowała swoją uwagę na język miejski Gdańska, określany w literaturze przedmiotu jako „Danziger Missingsch”, wskazując m.in. zarówno na jego cechy dolnoniemieckie na płaszczyźnie fonetycznej i morfologicznej, jak i na występujące w nim wpływy leksykalne z języków słowiańskich. Tematycznie związane ze Śląskiem były cztery kolejne wystąpienia: Maria Katarzyna Lasatowicz

(Uniwersytet Opolski) omówiła koncepcję wysp językowych i skoncentrowała się na niemieckim dialekcie Bojkowa i Wilamowic, wskazując na zachodzące w nich w ostatnich dziesięcioleciach przemiany, które nie znalazły dotychczas odzwierciedlenia w odnośnej literaturze przedmiotu, Marek Dołatowski (Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu) przedstawił zebrany założenia i cele realizowanego na UAM w Poznaniu projektu *Dziedzictwo językowe Rzeczypospolitej. Baza dokumentacji języków zagrożonych* i omówił zebrany w jego ramach materiał językowy z Hałcnowa. Daniela Pelka (Uniwersytet Opolski) zaprezentowała zmiany w nazewnictwie miejskim Opola od początków do roku 1945, wskazując m.in. na charakterystyczne dla poszczególnych okresów rodzaje nazw i motywy ich zmian, a Józef Jarosz (Uniwersytet Wrocławski) skierował swą uwagę na macewy cmentarza żydowskiego we Wrocławiu, analizując zarówno ich walory plastyczne, jak i językowe oraz zachodzące w tym zakresie przemiany. Stanisław



Prof. Maria Katarzyna Lasatowicz, dyrektor Instytutu Filologii Germańskiej, oraz rektor UO prof. Stanisław Sławomir Nicieja podczas otwarcia konferencji



Uczestnicy konferencji w Kamieniu Śląskim

Prędoła (Uniwersytet Wrocławski) skierował swe zainteresowania badawcze na język niderlandzki, wskazując m.in. na różnice w jego wariacie niderlandzkim i belgijskim, **Dennis Scheller-Boltz** (Uniwersytet Innsbruck) wypowiedział się na temat wyrazów złożonych z członami „oko-“, „eko-“ i „bio-“, w języku polskim i niemieckim, a rozważania **Romana Opilowskiego** (Uniwersytet Wrocławski) krążyły wokół zagadnień dyskursu wizualnego na przykładzie reklamy. **Dorota Miller** (Uniwersytet Rzeszowski) z kolei zaprezentowała wyniki analizy wybranych tekstów czasopism „Polityka“ i „Der Spiegel“ dotyczących rozszerzenia Unii Europejskiej – pod kątem występującego w nich toposu Europy. Zagadnienia dyskursu poruszyli w swoich referatach **Waldemar Czachur** (Uniwersytet Warszawski) i **Jarosław Bogacki** (Uniwersytet Opolski). Podczas gdy pierwszy z referentów skoncentrował się na możliwościach zastosowania lingwistyki dyskursu w kontrastywnych badaniach kultury, drugi skoncentrował się na problemach, które musi pokonać badacz na drodze od korpusu do dyskursu. **Joanna Pędzisz** (Uniwersytet Lubelski) poświęciła swe wystąpienie spe-

cyficznym uwarunkowaniom komunikacji digitalnej na przykładzie blogu, a **Małgorzata Jokiel** (Uniwersytet Opolski) poruszyła problematykę kanonu przekładów i kanonizacji przekładów literackich, omawiając m.in. czynniki mające wpływ na pojawienie się tłumaczeń poszczególnych utworów. **Zenon Weigt** (Uniwersytet Łódzki) podjął się przeprowadzenia analizy językowej gazety „Lodzer Zeitung” z lat 1863–1915 w kontekście przemian polityczno-społecznych. **Hans-Christian Stillmark** (Uniwersytet w Poczdamie) przybliżył twórczość Wolfganga Hilbiga, która w dużej mierze podyktowana jest jego pochodzeniem. Zagadnieniami związanymi z tematyką śląską zajął się m.in. **Marcin Worbs** (Uniwersytet Opolski), omawiając śląską pieśń kościelną jako wkład w rozwój polsko-niemieckiej spuścizny kulturowej. **Andrea Rudolph** (Uniwersytet Opolski) naszkicowała znaczenie twórczości Augusta Kahlerta dla rozwoju tzw. prowincjonalizmu literackiego w okresie biedermeieru na Śląsku. Również **Agnieszka Józwiak** (Nauczycielskie Kolegium Języków Obcych we Wrocławiu) skoncentrowała się na przedstawieniu znaczenia czaso-

pisma „Breslauerischer Erzähler” dla badań nad kulturą ludową na Śląsku. Podobnie **Agnieszka Dylewska** (Uniwersytet Zielonogórski) przedstawiła tematykę „Kalendarza Zielonogórskiego” („Grünberger Hauskalender”) jako przyczynek do kształtowania się pojęcia mikroprovincji. Natomiast **Hans-Werner Retterath** (Uniwersytet we Fryburgu) przybliżył tematykę śląskich „Listów z Heimatu” („Heimatbriefe”), zebranych w Instytucie Johanna Künziga we Fryburgu. Zagadnienia związane z wypędzeniem i wysiedleniem Niemców po drugiej wojnie światowej w kontekście wydawnictw prasowych z kręgów wypędzonych zaprezentował **Picard Lionel** (Uniwersytet w Dijon). Pozostając w tematyce analizy wydawnictw lokalnych, **Jan Iluk** (Uniwersytet Śląski) naszkicował tragiczną w skutkach propagandę narodowo-socjalistyczną w „Seybuscher Heimatkalender” („Żywieckim Kalendarzu Rodzimy”). Nad faktem, że Śląsk pozostaje wciąż w kręgu zainteresowań współczesnych pisarzy polskojęzycznych, pochyliła się **Grażyna Barbara Szewczyk** (Uniwersytet Śląski), przybliżając tematykę Górnego Śląska w odniesieniu do struktur pamięci i tożsa-

mości. Podobnie **Marta Famula** (Uniwersytet w Bambergu) zajęła się tematyką tożsamości we współczesnej prozie niemieckiej. Poszukiwanie tożsamości stanowiło również dla pisarza Horsta Bienka istotną tematykę jego dzieł, co referował **Daniel Pietrek** (Uniwersytet Opolski). **Edyta Blachut** (Uniwersytet Wrocławski) omówiła wyniki badań nad obecnością Górnego Śląska w języku niemieckim. Uwspółcześniając zagadnienia z zakresu klasycznego litera-

turoznawstwa niemieckiego, **Paul Martin Langner** (Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie) pochylił się nad historyczno-społecznymi zapatrywaniami Martina Opitza w jego barokowym dziele „Buch von der Teutschem Poeterey”, **Małgorzata Kubisiak** (Uniwersytet Łódzki) przedstawiła idylle dziecięce Ernsta Theodora Johanna Brücknera w kontekście dyskursu pedagogicznego i jego przełożenia na czasy współczesne, a **Gabriela Jelitto-Piechulik** (Uniwersytet

Opolski) przybliżyła sylwetkę Ricardy Huch, nawiązując do jej rozprawy o romantyzmie niemieckim.

Wygłoszone podczas konferencji referaty zostaną zebrane w tomie wydawnictwa naukowego Instytutu Filologii Germańskiej „Silesia”.

Gabriela Jelitto-Piechulik
Daniela Pelka
Fot. **Jarosław Bogacki**

Noty o autorach:

Dr Marcin Böhm – pracownik naukowy Katedry Historii Średniowiecznej Instytutu Historii UO.

Małgorzata Andrzejak-Nowara – aktorka, doktorantka Uniwersytetu Opolskiego (kulturoznawstwo).

Tomasz Bugaj – student IV roku studiów doktoranckich na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Opolskiego.

Jerzy Duda – emerytowany nauczyciel, b. kurator oświaty i wychowania w Opolu, autor wielu publikacji dotyczących historii oświaty w woj. opolskim.

Martyna Friedla – studentka I roku kulturoznawstwa, (studia magisterskie) Uniwersytetu Opolskiego.

Andrzej Hamada – nestor opolskich architektów, urodzony w Gdańsku znawca historii Opola, w którym mieszka od sześćdziesięciu lat.

Dr Gabriela Jelitto-Piechulik – adiunkt w Zakładzie Historii Literatury i Kultury Niemiec XIX i XX wieku w Instytucie Filologii Germańskiej UO.

Prof. dr hab. Włodzimierz Kaczorowski – pracownik naukowy Wydziału Prawa i Administracji UO. Jego badania naukowe dotyczą głównie dziejów powszechnych i Polski XV-XIX wieku, zwłaszcza parlamentaryzmu, wymiaru biologicznego w badaniach historyczno-prawnych oraz biografistyki.

Dr hab. Bartłomiej Kozera, prof. UO – pracownik naukowy Instytutu Filozofii UO. Tematyka badań: filozofia średniowieczna i jej współczesne kontynuacje, filozofia Boga i filozofia religii, filozofia społeczna.

Dr Anna Ledwina – adiunkt w Katedrze Kultury i Języka Francuskiego UO. Zajmuje się zagadnieniami literatury francuskiej XX wieku (pisarstwo kobiece, autotematyzm).

Prof. dr hab. Krystyna Modrzejewska – kierownik Katedry Kultury i Języka Francuskiego UO. Zainteresowania naukowe: literatura francuska, dramat XX i XXI wieku, tożsamość kulturowa płci w obrazie literackim, uwodzenie, komparatystyka, translatoryka. Autorka kilku monografii, m.in. *Postać kobieca we francuskim*

dramacie XX wieku; Postać męska we francuskim dramacie XX wieku.

Prof. dr hab. Stanisław Nicieja – historyk (biografistka najnowszych dziejów Polski, historia najnowsza), urzędujący rektor Uniwersytetu Opolskiego (wybrany na to stanowisko po raz trzeci), współautor filmów dokumentalnych, autor kilkunastu książek, m.in.: *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie 1786-1986; Cmentarz Obrońców Lwowa; Z Kijowa na Piccadilly. Wokół biografii Tadeusza Zabłockiego – Gwasza; Łyczaków – dzielnica za Styksem; Tam gdzie lwowskie śpią Orleńta; Cmentarz Łyczakowski w fotografii; Twierdze kresowe Rzeczypospolitej. Historia, legendy, biografie; Kresowe Trójmiasto. Truskawiec-Drohobycz-Borysław; Lwowskie Orleńta. Czyn i legenda; Kresowa Atlantyda.*

Prof. dr hab. Wiesław Olkusz – pracownik naukowo-dydaktyczny Instytutu Filologii Polskiej. Główne kierunki badań: recepcja kultury Wschodu w dobie pozytywizmu; współczesna literatura popularna; piśmiennictwo dla dzieci i młodzieży w dobie pozytywizmu; paremiologia i paremiografia pozytywistyczna; relacje między literaturą i sztuką. Autor 5 książek oraz 80 artykułów i szkiców.

Leszek Ołdak – grafik, plakacista, rysownik, ilustrator i scenograf. Jego prace znajdują się m.in. w zbiorach Muzeum Karykatury w Warszawie, Muzeum Plakatu w Wilanowie, Biurze Wystaw Artystycznych w Zamościu, Archiwum Satyrykonu w Legnicy oraz w kolekcjach prywatnych w kraju i zagranicą.

Dr Monika Ożóg – adiunkt w Zakładzie Archeologii Instytutu Historii UO (doktor nauk humanistycznych w zakresie historii starożytnej oraz historyk sztuki), członek Wydziału Filologicznego Polskiej Akademii Umiejętności, autorka monografii *Kościół starożytny wobec świątyń oraz posągów bóstw.*

Tadeusz Parcej – opolski fotografik. Swoje zdjęcia publikował w pismach artystycznych: „Format”, „Exit”,

„Sztuka”, „Dialog”, „Teatr” oraz wydawnictwach książkowych. Autor wystaw indywidualnych i zbiorowych, m.in. *Kościół drewniany Opolszczyzny* (2007), *Album rodzinny* (2009). Stały współpracownik „Indeksu”.

Dr Mariusz Patelski – adiunkt w Katedrze Biografistyki Instytutu Historii UO. Autor książek: *Generał broni Tadeusz Jordan Rozwadowski – żołnierz i dyplomata i Niezależne Zrzeszenie Studentów w Opolu 1980-1990* oraz ponad 100 artykułów poświęconych problematyce kresowej, historii wojskowej i dziejom najnowszej Śląska Opolskiego, publikowanych m.in. na łamach: paryskich „Zeszytów Historycznych”, „Arcanów”, „Życia”, „Studiów Śląskich”, „Sobótki”, „Stron” i „Indeksu”. Konsultant historyczny w filmach dokumentalnych pt.: *Roman Dmowski – niedokończona kariera; Zapomniany generał - Tadeusz Jordan Rozwadowski; Droga do Rzeczypospolitej; Kryptonim „Wichrzyciele”* i in.

Dr Ewa Pawelec – pracownik naukowy Katedry Spektroskopii Plazmy, IF UO. Zainteresowania naukowe: spektroskopia atomów i jonów, w tym pomiary parametrów atomowych, źródła stosowane do tego typu pomiarów, diagnostyka, modelowanie i zastosowania plazmy, przede wszystkim tej wytwarzanej w silnikach plazmowych stosowanych do napędu sond i statków kosmicznych.

Dr Daniela Pelka – adiunkt w Zakładzie Języka Niemieckiego Instytutu Filologii Germańskiej UO.

Ks. dr hab. Joachim Piecuch, prof. UO – pracownik naukowy Instytutu Filozofii Uniwersytetu Opolskiego. Tematyka badań: filozofia człowieka, ontologia, fenomenologia.

Bartosz Suwiński – poeta, krytyk literacki, redaktor w „Stronach”, doktorant (filologia polska) na Uniwersytecie Opolskim. Poezję, prozę, szkice krytyczne i artykuły naukowe publikował m.in. w „Kresach”, „Frazie”, „Toposie”, „Polonistyce”, „Odrze”, „Ricie Baum”, „Pograniczach”, „Red”, „Śląsku”, „Wyspie”, „Arkadii”, „Tyglu Kultury”, „Migotaniach” i tomach pokonferencyjnych. Opublikował tom wierszy „Sehir” (2010).

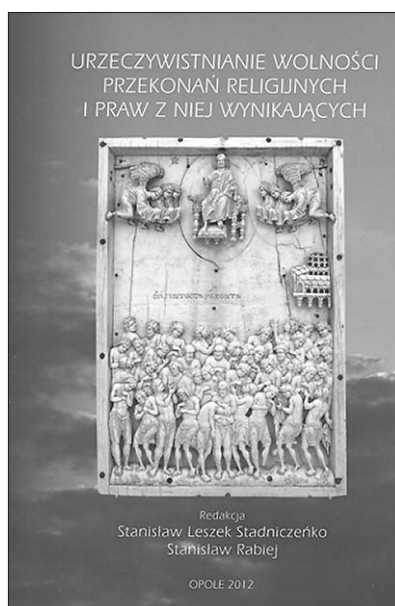
Beata Śliwińska – absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Opolskiego, pracuje w Bibliotece Wydziału Filologicznego. Współorganizatorka wernisażu *Pasja wędrowania w bibliotekarskim obiektywie* (2009). Publikuje w „Bibliotekarzu Opolskim”, „Poradniku Bibliotekarza” i portalu „EBIB”. Członek komitetu redakcyjnego „Bibliotekarza Opolskiego”.

Dr Adam Wierciński – starszy wykładowca w Katedrze Literatury Polskiej (Zakład Literatury XX i XXI wieku) Instytutu Filologii Polskiej UO.

Nowości Redakcji Wydawnictw Wydziału Teologicznego UO

■ ■ ■ ■
Stadniczeńko Stanisław Leszek, Rabiej Stanisław (red.), *Urzeczywistnianie wolności przekonań religijnych i praw z niej wynikających*, (seria: Ekumenizm i Integracja, nr 25), Opole, 2012, 464 s., cena 16.50 zł

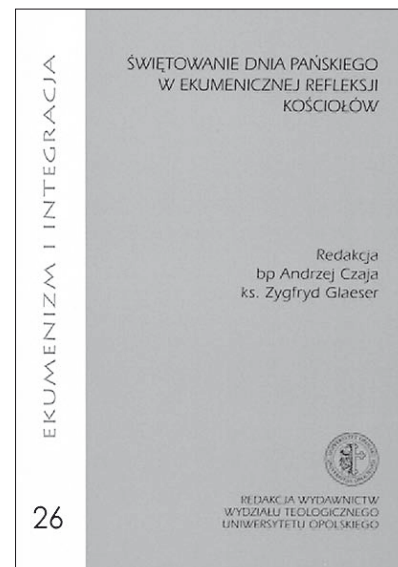
Przedmiotem zainteresowania wielu środowisk akademickich jest fakt, że w licznych miejscach na świecie na nowo pojawiły się ksenofobia, rasizm i nietolerancja religijna. Potwierdza się globalne przekonanie, że przyjazne relacje między narodami, jak również pokój i sprawiedliwość stabilizują demokrację. Uznając i szanując różnorodność kulturową, religijną i językową stwarza się jasne perspektywy dla rozwoju mniejszości narodowo-etnicznych. Aktualność tej problematyki wzmagają się w ostatnich latach i staje się domeną zainteresowania tak-



że Unii Europejskiej. Wyrazem tego jest ogłoszona rezolucja w obronie prześladowanych chrześcijan w państwach zdominowanych przez islam. Prezentowany zbiór artykułów jest wyrazem żywego zainte-

resowania problematyką wolności religijno-wyznaniowej we współczesnym świecie.

■ ■ ■ ■
Czaja Andrzej, Glaeser Zygfryd (red.), *Świętowanie dnia Pańskiego w ekumenicznej refleksji*



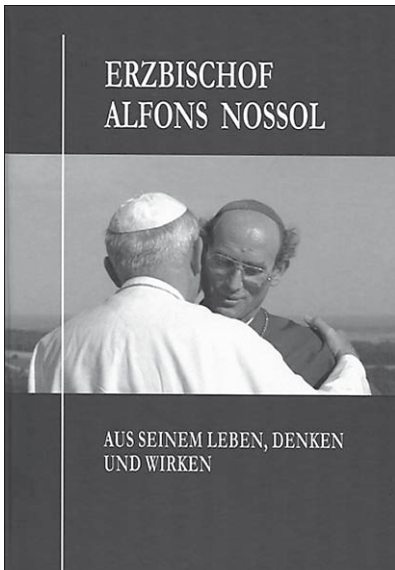
Nowości Redakcji Wydawnictw Wydziału Teologicznego UO

sji Kościołów, (seria: Ekumenizm i Integracja, nr 26), Opole, 2012, 122 s., cena 6.50 zł

Niniejsza publikacja zawiera artykuły poświęcone trzem głównym tematom: 1. Teologiczne wprowadzenie w problematykę, 2. Świętowanie dnia Pańskiego w supermarkecie, 3. Świętowanie dnia Pańskiego jako problem ekumeniczny.



Sobeczko Helmut Jan (red.), *Erzbischof Alfons Nossol. Aus seinem Leben, Denken und Wirken*, (seria: Z Dziejów Kultury Chrześcijańskiej na Śląsku, nr 72), Opole, 2012, 264 s., cena 40,00 zł



Pracownicy Wydziału Teologicznego UO poprzez opracowanie i wydanie tej książki pragną wyrazić wdzięczność ks. arcybiskupowi prof. dr hab. Alfonsowi Nossolowi za troskę o rozwój szkolnictwa teologicznego w Polsce, a szczególnie w naszej diecezji.



Kopiec Jan (red.), *Oblicza miłosierdzia w duchowości Europy. Bł. Maria Luiza Merkert – kontynuatorka dzieła św. Elżbiety w posłudze miłości miłosiernej*, (seria: Z Dziejów Kultury Chrześcijańskiej

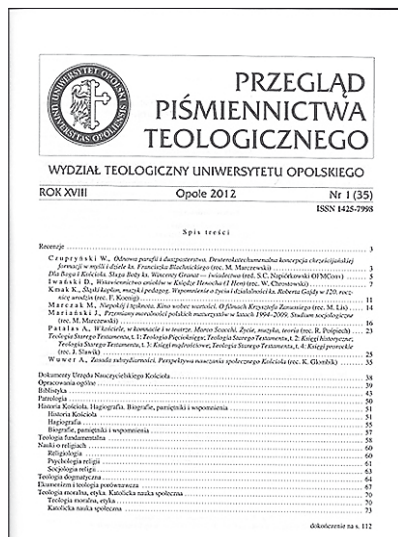


na Śląsku, nr 73), Opole, 2012, 286 s., cena 12,60 zł

Niniejsza publikacja ma na celu ukazanie oblicza miłosierdzia, które wyraża się m.in. w dobrych czynach Sióstr Zgromadzenia św. Elżbiety. Zostało w niej przedstawione kształtowanie się i rozwój tego Zgromadzenia na ziemiach śląskich. Ukazana została niezwykła duchowość św. Elżbiety Węgierskiej, jednej z wielkich postaci średniowiecza, a także bł. Marii Luizy Markert – „niewiasty dziełnej”, żyjącej w XIX w.



Widok Norbert (red.), *Przeгляд Piśmiennictwa Teologicznego*

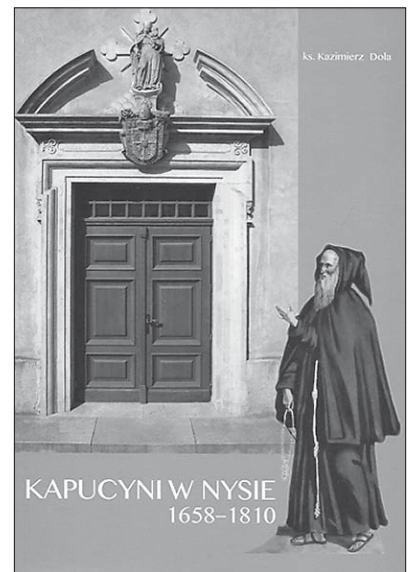


Rok XVIII, (czasopismo, nr 1-35), Opole 2012, 112 s., cena 12,50 zł

Jest to czasopismo o charakterze bibliograficznym, które zamieszcza opisy książek wydanych w Polsce. Zawiera recenzje i omówienia książek z teologii oraz dyscyplin pokrewnych tj. filozofii, psychologii religii, kultury i sztuki, historii Kościoła itp. Czasopismo to jest dużą pomocą dla studentów i pracowników naukowych, którzy zbierają materiały do swoich prac naukowych.



Dola Kazimierz, *Kapucyni w Nysie 1658–1810*, (seria: Z Dziejów Kultury Chrześcijańskiej na Śląsku, nr 71), Opole, 2012, 300 s., cena 27,00 zł



Niniejsza publikacja zawiera następujące rozdziały: 1. Droga kapucynów na Śląsku, 2. Założenie i budowa klasztoru w Nysie, 3. Źródła utrzymania, 4. Siedziba kustosz, 5. Życie codzienne konwentu, 6. Dom formacyjny, 7. Problemy życia klasztornego, 8. Apostolat. Duszpasterstwo, 9. Kasata klasztoru w 1810 roku.

Przygotował:
Piotr Juszczyszyn

Nowości Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego



Barska A., *Świat kobiet w krajach Maghrebu. Wokół tradycji i nowoczesności*, Stud. i Mon. Nr 480, ISBN 978-83-7395-512-7, Wyd. UO, 2012, format B5, 202 s., cena 19,95 zł

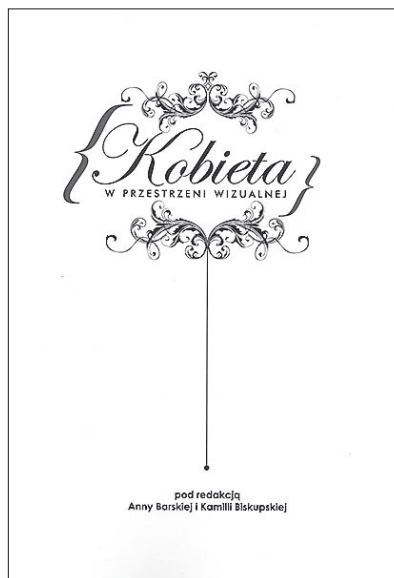
Książka ukazuje przemiany społeczno-kulturowe, jakie dokonały się w trzech krajach Maghrebu od uzyskania niepodległości (Tunezja – 1956, Maroko – 1956, Algieria – 1962) aż po dzień dzisiejszy. Punktem wyjścia jest wizerunek kobiet ukształtowany przez tradycję i religię muzułmańską, a także określony we współczesnym prawodawstwie. Przemiany spowodowały zachwianie, a niekiedy wręcz znikanie nakazów, związanych z postrzeganiem ciała czy rozumieniem honoru. Rozstrzygnięcia obyczajowe w niektórych przypadkach zostały zastąpione zapisem prawa. Przyznane kobiecie prawo do nauki i wynagradzanej pracy pozwoliło jej na aktywność w przestrzeni pozadomowej, na podjęcie działań w obronie równości, gwarantowanej zapisem w konstytucji. Za swoisty przejaw nowoczesności w Maghrebie należy uznać zjawisko relatywnie świeże, a mianowicie organizacje i stowarzyszenia kobiece podejmujące walkę o własne prawa. Kobiece stowarzyszenia i związki odwołują się do zdolności negocjacyjne kobiet jako grupy społecznie autonomicznej o specyficznych prawach i przywilejach. Skupiając się na przejawach nowoczesności, zwrócono uwagę na feminizm maghrebski, którego specyfika wynika z kontekstu kulturowego i sposobu rozumienia pozycji kobiety w rodzinie i społeczeństwie. Na możliwość w miarę szerokiej aktywizacji publicznej kobiet miały wpływ zmiany systemu prawnego i transformacja modelu patriarchalnego. W *Epilogu* zostały przedstawione wydarzenia, jakie wystąpiły w krajach Maghrebu na przełomie 2010 i 2011 roku, określane jako rewo-

lucja kaktusowo-jaśminowa, zwane też wiosną arabską. Zarówno zachowania, jak i deklaracje kobiet aktywnych w rewolucji arabskiej dowodzą, że walczą one o wspólne wartości, które nie są ani męskie, ani kobiece: honor, szacunek, prawa człowieka. Tymczasem rzeczywistość okazała się bardziej złożona i tym samym trudna do jednoznacznego określenia.

Książka adresowana jest do socjologów, antropologów kulturowych, studentów, a także osób zainteresowanych sytuacją społeczno-kulturową krajów Maghrebu.



Barska A., Biskupska K. (red.), *Kobieta w przestrzeni wizualnej* + CD, ISBN 978-83-7395-495-3, s. 286, Wyd. UO, 2012, format B5, 286 s., oprawa miękka, cena 24,15 zł



Niniejsza publikacja jest interdyscyplinarnym zbiorem ujęć kobiecości i kobiety we współczesnym, nasyconym obrazami świecie. Zakres tematyczny zebranych artykułów jest szeroki i wielowątkowy. Są to opowieści o obrazie kobiety w przekazie starych i nowych mediów, współczesnej sztuce, filmie oraz literaturze. Do książki dołączona jest płyta CD, na

której znajduje się materiał wizualny poddany analizie w zebranych artykułach.

Książka adresowana jest do badaczy, studentów oraz innych osób zainteresowanych z jednej strony obrazowaniem kobiety we współczesnych mediach, literaturze, sztuce, z drugiej zaś strony szeroko ujętą ikonosferą życia społecznego.



Dąbrowska E., *Pejzaż stylowy nowej literatury polskiej*, Stud. i Mon. Nr 426, ISBN 978-83-7395-364-2, Opole: Wyd. UO 2012, format B5, 288 s. + 16 s. nieliczb., oprawa miękka, cena 29,40 zł

Głównym tematem książki jest nowa i najnowsza literatura polska w jej stylowo-artystycznym zróżnicowaniu. Opis literacko-kulturowych zjawisk (z perspektywy końca XX i początku XXI wieku) ujawnia nie tylko ich cechy charakterystyczne, ale także nowe formy literackiej komunikacji. Z jednej strony poznajemy literaturę w „językach nowej wrażliwości” (estetyka codzienności, potoczności), z drugiej ponowoczesne narracje z literacką tradycją, z bliższą i dalszą historią, z polską tożsamością („A ja, kim jestem?”). Obecne w nowej rzeczywistości (po przełomie 1989 roku) tonacje literackiej rozmowy między tekstami i podmiotami wiele mówią o zmianie punktów widzenia, ale też wartościowania tradycji i historii (krytyczny dystans, parodie, ironie, groteski). Analizowane w odmianach czasu teraźniejszego style i tematy nowej literatury prowadzą do określenia odmian stylowo-tekstowych – od stylu przekładu życia na literaturę („fotografia wierszem”; „fotografia prozą”), poprzez mityzacje i liryzacje prozy współczesnej do form multimedialnych i interaktywnych. Wpływ estetyki nowych mediów na sztukę literacką znajduje swoje odzwierciedlenie w „ruchomych granicach

Nowości Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego

literatury” (literatura ponowoczesna w dobie Internetu), w jej stylu liberackim (estetyka totalna: zwielokrotniona forma bycia dzieła literackiego i jego odbiorcy w swobodnych „nawigacjach” po tekstowych rozgałęzieniach sieci: „ekrany wyświetlają inne ekrany”). Pokazana w książce wielość artystycznych zjawisk dowodzi ich „ruchliwej natury”, również tego, że literatura jest „dziwną instytucją”, jak mówi Derrida, która „pozwala powiedzieć wszystko, wyłamać się spod reguł, przemieścić je, a więc także ustanowić, wynaleźć, a nawet podejrzliwie potraktować...”

Praca jest adresowana do literaturoznawców, studentów filologii oraz odbiorców ciekawych nowych postaci współczesnej sztuki literackiej.



Geisler R. (red. nauk.), *Kultura organizacyjna Uniwersytetu Opolskiego*, ISBN 978-83-7395-4916-5, Opole: Wyd. UO, 2012, format B5, 98 s., oprawa miękka, cena 12,60 zł

Praca dotyczy analizy zjawiska kultury organizacyjnej Uniwersytetu Opolskiego. Stanowi przedstawienie wyników badań społecznych (ilościowych i jakościowych) przeprowadzonych przez pracowników Wydziału Ekonomicznego oraz Instytutu Socjologii UO w związku z realizowaną *Strategią rozwoju Uniwersytetu Opolskiego*. Autorzy przedstawiają problematykę występowania modelu kultury organizacyjnej na uniwersytecie w obszarach modelu obowiązującego i pożądanego oraz kwestii kultury pracy i tożsamości uniwersytetu i jego pracowników.

Praca jest adresowana do specjalistów kultury organizacyjnej w naukach o zarządzaniu oraz w socjologii organizacji oraz do pracowników wyższych uczelni i studentów kreujących w swoich uniwersytetach kulturę organizacyjną.



Pietrzak M., *Zagadnienie empirycznych podstaw etyki. Studium krytyczne metaetyki posthume'owskiej*, ISBN 978-83-7395-4942-5, Opole: Wyd. UO, 2012, format A5, 178 s., oprawa miękka, cena 17,85 zł

Autor pracy stara się odpowiedzieć na kilka prostych pytań. Po pierwsze: dlaczego filozofia nowożytnego empiryzmu nie była w stanie zbudować spójnej koncepcji etyki opartej na doświadczeniu? Po drugie: na czym mogłaby polegać rola doświadczenia w budowaniu etyki? W niniejszej książce znajdzie czytelnik próbę odpowiedzi na powyższe pytania. Odpowiedź ta jest dwuczęściowa. Z jednej strony dokonana zostaje analiza treści empirystycznych koncepcji etyki, poczynając od Hume'owskiego antyracjonalizmu, aż do stanowisk emotywistycznych zajmowanych przez empirystów współtworzących tzw. trzeci pozytywizm. Z drugiej strony autor podejmuje próbę wskazania na możliwość zbudowania spójnej koncepcji etyki opartej na doświadczeniu, a posiłkuje się przy tym koncepcjami Tadeusza Czeżowskiego, Ludwiga Wittgensteina, Johna Deweya i Hilarego Putnama.

Praca jest adresowana do filozofów i studentów filozofii, którzy interesują się zagadnieniami fundamentów etyki oraz historii etyki i metaetyki XX-wiecznej.



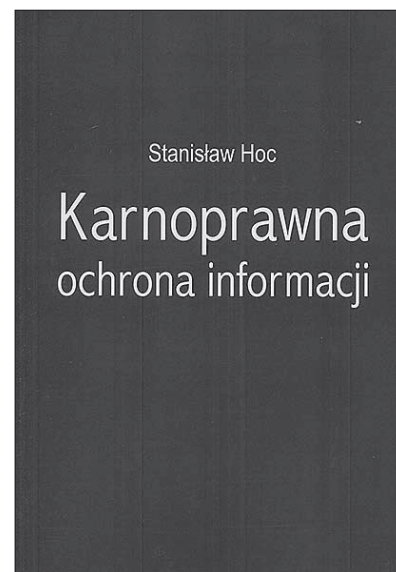
Kozerska E., Sadowski P., Szymański A. (red. nauk.), *Egalitaryzm i elitaryzm. Tradycja i przyszłość Europy*, ISBN: 978-83-7395-479-3, Opole: Wyd. UO, 2012, format B5, 366 s., oprawa twarda, cena 43,05 zł

Praca stanowi próbę wypracowania stanu równowagi pomiędzy powszechnym dążeniem do równości a elitaryzmem rozumianym jako promowanie tego, co ponadprzeciętne. Jak pokazała historia, brak owej równowagi zwykle

miał tragiczne skutki. Od najdawniejszych czasów pojęcia egalitaryzmu i elitaryzmu stanowiły wyzwanie dla polityków, filozofów i teoretyków prawa. Tym razem kwestia stała się przedmiotem rozważań romanistów, historyków prawa i znawców doktryn polityczno-prawnych. Do specjalistów właśnie tych trzech dziedzin praca jest przede wszystkim adresowana. Jednak może być także ciekawą inspiracją dla teoretyków prawa, historyków i teologów.



Hoc S., *Karnoprawna ochrona informacji*. Wyd. 2 (poprawione i uzupełnione), Stud. i Mon. Nr 481, ISBN: 978-83-7395-514-1, Opole: Wyd. UO, 2012, 300 s., format B5, oprawa miękka klejona, cena 29,40 zł



Książka jest pierwszą na rynku wydawniczym monografią omawiającą problematykę przestępstw przeciwko ochronie informacji w ujęciu kodeksowym i pozakodeksowym. Zawiera głębokie wątki teoretyczne, odnosi się do praktyki prokuratorsko-sądowej, wskazuje na funkcjonowanie systemu ochrony informacji. Z badań autora wynika, iż wykrywalność sprawców tych przestępstw jest niska, sytuacja ta powinna ulec zmianie.

Nowości Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego

Rozważania zawarte w pracy, ze względu na uwzględnienie orzecznictwa i kompleksowego dorobku doktryny mogą stanowić inspirację do dalszych badań oraz inicjatyw legislacyjnych. Autor odnosi się również do aktów prawa międzynarodowego, które dostrzegają zagrożenie cyberprzestępczością.

Monografia adresowana jest do studentów, doktorantów, pracowników naukowych, a także do praktyków – sędziów, prokuratorów, radców prawnych, funkcjonariuszy i żołnierzy służb specjalnych, policjantów, pełnomocników ochrony informacji niejawnych, pracowników pionu ochrony i odpowiedzialnych za ochronę tajemnic zawodowych.



Szymańska J., *The interpersonal stage in academic written discourse*, Stud. i Mon. Nr 473, ISBN 978-83-7395-497-7, Opole: Wyd. UO, format B5, 100 s., oprawa miękka, cena 14,70 zł

„Sceniczność interpersonalna dyskursu akademickiego” to roz-

prawa o dialogicznej i interpersonalnej naturze językoznawczych tekstów akademickich. Opisuje wielogłosowość komunikacji, zazwyczaj konwencjonalnie opisaną i zaszufladkowaną. Metaforycznie tekst jest tutaj sceną, na której prócz autora i czytelnika pojawiają się postaci wzbogacające proces przekazywania myśli.

Praca jest adresowana do studentów seminariów z językoznawstwa stosowanego – analizy dyskursu i tekstuologii, do naukowców językoznawców zajmujących się analizą dyskursu i tekstuologii.

Ponadto ukazały się:

„**Język a Edukacja**” 1: *Kształcenie językowe*, (red. nauk.) J. Nocoń, B. Skowronek, ISSN 2299-5528, Opole Wyd. UO, 2012,

format B5, oprawa miękka, cena 15,75 zł

„**Opolskie Studia Administracyjno-Prawne**”, t. X/3/2012, (red. nauk.) W. Kaczorowski, ISSN 1731-8297, Opole: Wyd. UO 2012, format B5, 116 s., oprawa miękka, cena 11,55 zł

„**Rocznik Biblioteki Głównej Uniwersytetu Opolskiego**” R.IX/2012, (red. nauk.) W. Matwiejczuk, D. Szewczyk-Kłós, ISSN 1506-588X, Opole Wyd. UO, 2012, format B5, oprawa miękka, cena 12,60 zł

„**Studia Miejskie**” 2012, t. 7, (red. nauk.) J. Słodczyk, ISSN 2082-4793, Opole: Wyd. UO 2012, format B5, 136 s., oprawa miękka, cena 11,55 zł

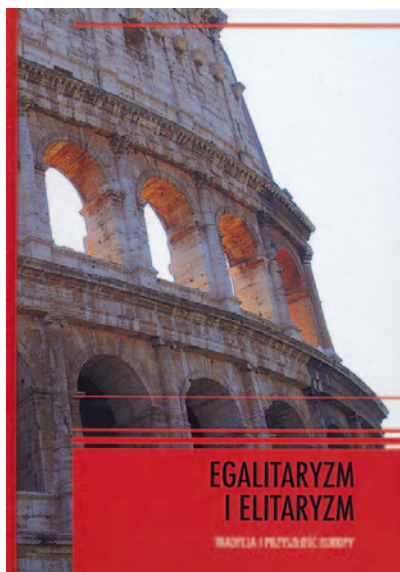
Przygotowała:
Lidia Działowska

Pełna oferta Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego znajduje się na stronie internetowej wydawnictwa www.wydawnictwo.uni.opole.pl tam też działa księgarnia internetowa

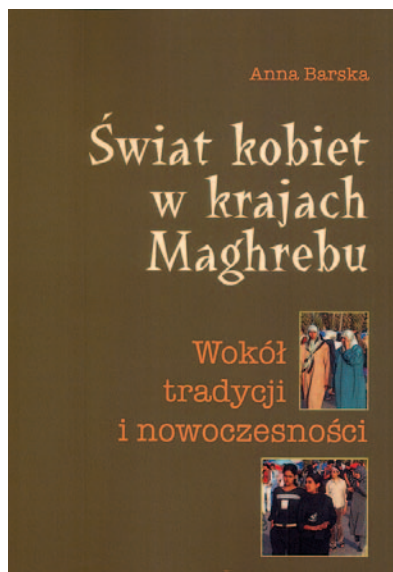


25 października br. gośćmi Senatu UO byli nowi samodzielni pracownikom naukowci: dr hab. Irena Mudrecka z Instytutu Nauk Pedagogicznych i dr hab. Kamil Antonow z Wydziału Prawa i Administracji. W drugim rzędzie (od lewej): prorektor prof. Marek Masnyk, rektor prof. Stanisław S. Niciejka, prorektorzy – prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i prof. Janusz Słodczyk

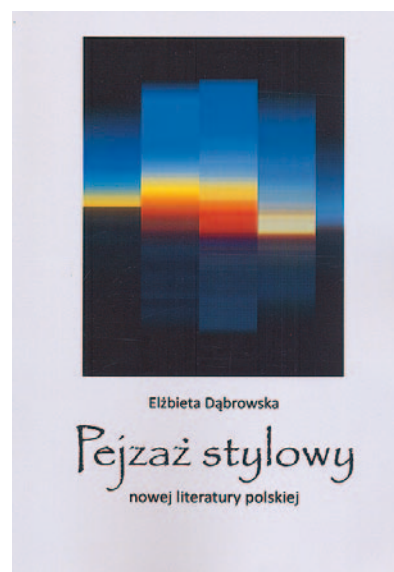
Nowości Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego



Kozerska E., Sadowski P., Szymański A. (red. nauk.), *Egalitaryzm i elitaryzm. Tradycja i przyszłość Europy*, ISBN: 978-83-7395-479-3, Opole: Wyd. UO, 2012, format B5, 366 s., oprawa twarda, cena 43,05 zł



Barska A., *Świat kobiet w krajach Maghrebu. Wokół tradycji i nowoczesności*, Stud. i Mon. Nr 480, ISBN 978-83-7395-512-7, Wyd. UO, 2012, format B5, 202 s., cena 19,95 zł



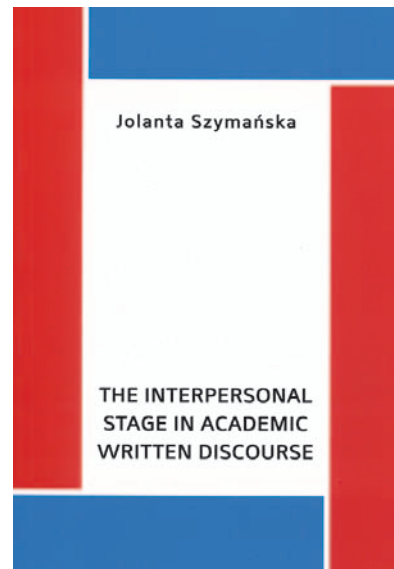
Dąbrowska E., *Pejzaż stylowy nowej literatury polskiej*, Stud. i Mon. Nr 426, ISBN 978-83-7395-364-2, Opole: Wyd. UO 2012, format B5, 288 s. + 16 s. nieliczb., oprawa miękka, cena 29,40 zł



Pietrzak M., *Zagadnienie empirycznych podstaw etyki. Studium krytyczne metaetyki posthume'owskiej*, ISBN 978-83-7395-494-5, Opole: Wyd. UO, 2012, format A5, 178 s., oprawa miękka, cena 17,85 zł



Geisler R. (red. nauk.), *Kultura organizacyjna Uniwersytetu Opolskiego*, ISBN 978-83-7395-4916-5, Opole: Wyd. UO, 2012, format B5, 98 s., oprawa miękka, cena 12,60 zł



Szymańska J., *The interpersonal stage in academic written discourse*, Stud. i Mon. Nr 473, ISBN 978-83-7395-497-7, Opole: Wyd. UO, format B5, 100 s., oprawa miękka, cena 14,70 zł

Sztuka na salonach

Tak dziś, po remoncie i modernizacji, wygląda budynek Instytutu Sztuki UO przy ulicy Wrocławskiej w Opolu. Przeprowadzka trwa. Sztuka powoli zadomawia się w przestronnych, urokliwych wnętrzach, które sfotografował Tadeusz Parcej.



Instytut Sztuki od frontu



Na parterze budynku zamieszkała rzeźba



Stara, ceglana ściana przy schodach prowadzących na piętro



W pracowni projektowania graficznego



Widok z pracowni rzeźby